

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 4/234

1967



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

J. MIEROSZEWSKI :

PEWNE RZECZY NAZWANE PO IMIENIU

NOWY DZIAŁ — «DOKUMENTY» :

**STALIN I ATAK HITLERA NA ZSSR ♦ KRY-
ZYSY BITWY ♦ POD OCHRONĄ PAŃSTWA
— UNIWERSYTET WARSZAWSKI —**

SPIS RZECZY

Zbigniew A. Jordan:	<i>Perspektywy ewolucji marksizmu</i>	3
Paweł Hostowiec:	<i>Notatnik nieśpiesznego przechodnia</i> ..	16
Witold Gombrowicz:	<i>Fragment z dziennika</i>	23
Czesław Dobek:	<i>Człowiek na czworakach</i>	33
Adam Czerniawski:	<i>Koniec</i>	59

W I E R S Z E

Bogumił Andrzejewski:	<i>Zamach stanu — Rewolucja — Szakolonidzi obejmują władzę</i>	64
Danuta Irena Bienkowska:	<i>O Adamie zawsze</i>	67
„ „ „	<i>Tabletki</i>	67
„ „ „	<i>Na horyzoncie snów</i>	68
Josif Brodskij:	<i>Przepowiednia</i>	69
„ „	<i>Bóg na wsi</i>	70
„ „	<i>Piosenka</i>	70

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Pewne rzeczy nazwane po imieniu</i> ..	72
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	82

DOKUMENTY

—	<i>Stalin i najazd hitlerowski na ZSSR</i> ..	92
Michał Bragin:	<i>Kryzysy bitwy</i>	102
L. Wołyński:	<i>Pod ochroną państwa</i>	106

O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA

Michał Chmielowiec:	<i>Dwie stare moralności</i>	111
---------------------	------------------------------------	-----

KRONIKA KULTURALNA

Jerzy Gajek:	<i>Dziesięć „jesieni” w Warszawie</i>	116
—	<i>Komunikat „Polonia Technica”</i>	121

K S I A Ź K I

Michel Garder:	<i>O książce Jana Librachy</i>	122
Piotr Wandycz:	<i>Dwa wydawnictwa</i>	125
Wacław Iwaniuk:	<i>Niedoszły polski bard</i>	128
Benedykt Heydenkorn:	<i>Dwie orientacje</i>	132
Maria Czapska:	<i>Szlachectwo rodu Mickiewiczów</i>	135
Wacław Lednicki:	<i>Moja odpowiedź Z. Markiewiczowi</i> ...	139
—	<i>Nadane nowości wydawnicze</i>	141



Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	143
--------------	----------------------------	-----



J. Korson:	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	144
------------	----------------------------------	-----



K R A J

—	<i>Uniwersytet Warszawski</i>	152
J. Grzybowski-Holm,		
Al. Janta, St. Lubdziecki:	<i>Listy do Redakcji</i>	158

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Kwiecień — Avril

1967

INSTYTUT



LITERACKI

NOTA BIOGRAFICZNA

Bogumił ANDRZEJEWSKI, ur. w Poznaniu w 1922. Gimnazjum w Poznaniu i Zakopanem. Udział w II wojnie światowej. Ranny pod Tobrukiem w 1941. Studia anglistyki oraz języka staro-norweskiego w Oriel College, Oxford; magisterium w 1947. W latach 1948-52: studia językoznawstwa ogólnego i klasycznego języka arabskiego w Szkole Studiów Orientalnych i Afrykańskich Uniwersytetu Londyńskiego, oraz praca badawcza w Afryce. Wykładowca (*lecturer*) języków kuszyckich w tej samej Szkole. (1952-65). Praca badawcza w Afryce 1957-58. Doktorat z dziedziny języków kuszyckich 1962. Od 1965, docent (*reader*) języków kuszyckich Uniwersytetu Londyńskiego. Praca badawcza w Afryce, 1966. Publikacje w języku angielskim drukowane w czasopismach naukowych w W. Brytanii, Włoszech, Niemczech i Stanach Zjednoczonych; oraz trzy książki z dziedziny kuszytologii. Publikacje w języku polskim: wiersze w *Afryce i Azji*, w *Polsce Walczącej*, *Mieczu Ducha*, *Nowej Polsce*, *Kulturze i Wiadomościach*; zbiór poematów *Na wszelki wypadek*, wydany w 1957 w Londynie przez Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Członek Rady Kierowniczej i jeden z założycieli *Africa Centre* w Londynie



WPŁATY NA FUNDUSZ "KULTURY"

Peter Raina, Berlin	F. 100,00
Czesław Borowicz, Buenos Aires	F. 245,00
M. Barski, Argentyna	F. 58,00
Edmund Januszkiewicz, Battle Creek, Mich. (USA)	F. 24,50
F. Strociak, Park Ridge, Ill. (USA), po raz szósty	F. 14,60

DZIĘKUJEMY!



OD REDAKCJI

*Chcielibyśmy w miarę możliwości publikować w „ZESZY-
TACH HISTORYCZNYCH” bibliografię ważniejszych opraco-
wań i artykułów, dotyczących najnowszej historii Polski. Nie
będąc w stanie śledzić całej prasy światowej (jak również pism
emigracyj wschodnioeuropejskich z prasą rosyjską włącznie) —
prosimy naszych Czytelników o pomoc i o nadsyłanie wycinków.*

*Ponawiamy również prośbę o nadsyłanie materiałów do działu
„WYDARZENIA MIESIĄCA” na adres:*

J. KORSON,
112, Meadvale Road,
LONDON, W.5.,
Grande Bretagne.

Perspektywy ewolucji marksizmu

„Marksizm” jest słowem wieloznacznym, gdyż posługujemy się nim na oznaczenie co najmniej trzech różnych rzeczy. Mówimy o marksizmie mając na myśli idee i poglądy Marksa w podobny sposób w jaki mówimy o saint-simoniźmie lub proudhoniźmie mając na myśli idee i poglądy Saint-Simona lub Proudhona. Tak rozumiany marksizm nazwać można marksizmem historycznym. Chociaż istnieją trudności w interpretacji lub rozumieniu poglądów Marksa z powodu niejasności jego stylu lub pojęciowych zawiłości i kompetentny badacz nie ma trudności w odróżnieniu autentycznej zawartości tej myślowej konstrukcji od interpretacyjnych zmian, uzupełnień i zniekształceń wprowadzonych później cudzą ręką.

Oprócz marksizmu historycznego mamy liczne odmiany marksizmu interpretatorów. Przez marksizm lub marksizmy interpretatorów rozumiem te różne wersje marksizmu historycznego, które zaczęły się pojawiać pod koniec ubiegłego wieku jako próby zastosowania nauki Marksa w interpretacji nowych historycznych wydarzeń i tendencji społecznych. Marksizm interpretatorów był najczęściej dziełem ludzi czynu, którzy przekształcali naukę Marksa w program działania mającego na celu całkowitą zmianę politycznej i społecznej rzeczywistości. Biorąc pod uwagę, iż marksizm interpretatorów miał na oku cele praktyczne raczej aniżeli teoretyczne, zmierzał do przekształcenia świata raczej niż do jego zrozumienia, słuszną jest rzeczą nazwać go marksistowską ideologią.

Wreszcie marksizmem nazywa się programy polityczne partii komunistycznych oraz deklaracje ideowe ruchów społecznych, które odwołują się bądź do historycznego marksizmu bądź do jednej z jego ideologicznych wersji oraz przyjmują ją jako podstawę praktycznego działania i światopoglądowej orientacji. Dla odróżnienia od marksizmu historycznego i ideologicznego będzie go nazywał marksizmem praktycznym.

Jasną jest rzeczą, iż między ideologią marksistowską i marksizmem praktycznym istnieją bliskie związki i że oddziałują one na siebie wzajemnie. Ideologia inspiruje i uzasadnia politykę partii komunistycznych, ale z kolei doświadczenia polityczne często prowadzą do ideologicznych rewizji. W pewnych okresach wydawać się może, iż to wzajemne oddziaływanie „teorii” i „praktyki” ustaje całkowicie. Ideologia zastyga w kształcie niezmiennym i staje się katechizmem. Tak się rzeczy pozornie miały w okresie tzw. kultu jednostki, ale nawet wówczas stalinowska ortodoksja przechodziła różne koleje, gdyż pod naporem wymagań życia nadawała równobrzmiącym ideologicznym sformułowaniom treść w rzeczywistości różną.

Jak wiadomo, od tego czasu nastąpiły wielkie zmiany. Dogmatyzm, tzn. bezkrytyczny stosunek do ideologicznych przesłanek, figuruje obecnie wysoko na liście „błędów i wypaczeń minionego okresu”. Potępienie dogmatyzmu niewątpliwie oznacza początek nowego rozdziału we wzajemnych stosunkach marksizmu ideologicznego i praktycznego. Powstaje w związku z tym pytanie, jakie możliwości kryje w sobie przyszłość. Czy wstrząs jaki nastąpił po śmierci Stalina był jednorazowym ideologicznym i politycznym doświadczeniem, po którym nastąpi nowy okres stabilizacji? Czy też był to może początek długiego procesu kolejnych i wzajemnie warunkujących się zmian politycznych, ekonomicznych, społecznych i ideologicznych, które ostatecznie przekształcą cały obszar pod wpływami Rosji Sowieckiej w stopniu nie mniejszym aniżeli stało się to w następstwie Rewolucji Październikowej? Moim zadaniem jest zająć się tą drugą alternatywą i omówić szanse ewolucji ideologii marksistowskiej.

Tło historyczne dzisiejszych perspektyw

Wbrew konwencyonalnej mądrości, historia nie jest *magistra vitae*. Ale historia jest nauczycielką rozumienia życia. Pozwala dostrzec doniosłość i kierunek szybko przemijających wydarzeń, w których jesteśmy uwikłani oraz dostarcza orientacji w ocenie różnych możliwości, różnych alternatyw rozwojowych potencjalnie zawartych w teraźniejszości. Z tej przyczyny warto jest zwięźle nakreślić historyczne tło i początki problemów stojących przed współczesną ideologią marksistowską.

Wspominałem o tym, iż istnieje wiele interpretacji historycznego marksizmu i że ich liczba stale wzrasta. Tak np. jedną z ostatnich marksistowskich ideologii jest odkrycie tak zwanego „młodego Marksa”, Marksa-egzystencjalistę, Marksa-oswobodziciela od wszelkiej alienacji. Mamy również współczesny neo-marksizm, reprezentowany przez takich pisarzy jak C. Wright Mills, Sartre, Bloch lub Kołakowski. Neo-marksizm jest ruchem ograniczonym do kręgu intelektualistów, których zna, rozumie i czyta bardzo niewielu ludzi. Chociaż nie jest on pozbawiony znaczenia, gdyż uderza w podstawy ustalonego porządku, dostar-

cza nowych idei i otwiera nowe perspektywy, rola współczesnego neo-marksizmu ograniczona jest do funkcji krytycznych i do roli społecznego sumienia.

Źródeł porażek, konfliktów i napięć we współczesnym praktycznym marksizmie należy szukać w odległej przeszłości, w sporach dotyczących środków, jakie prowadzą najszybciej lub najskuteczniej do społeczeństwa socjalistycznego. Historycznie najważniejsze ideologie marksistowskie powstały wokół sporów tego właśnie typu. W szczególności dwie debaty dotyczące środków realizacji socjalizmu pozostawiły trwałe ślady w historii i zawały decydująco na rozwoju wydarzeń od końca pierwszej wojny światowej. Pierwszą z nich była walka z rewizjonizmem Bernsteina w Socjaldemokratycznej Partii Niemiec, a drugą — walka z rewizjonizmem Lenina w Rosyjskiej Partii Socjaldemokratycznej. Jak wiadomo, pierwsza toczyła się o to, czy najwłaściwszą metodą budowy socjalizmu jest reformizm czy też rewolucja. W drugiej spór był pozornie całkowicie teoretyczny i oderwany od życia. Chodziło o to, która interpretacja Marksa, wolontarystyczna lub deterministyczna, jest poprawna i zgodna z duchem jego nauki. Chociaż Bernstein i Lenin ponosili porażki w teoretycznej dyskusji, ich punkt widzenia zwyciężył w praktyce.

Bernstein był pierwszym marksistą, który dostrzegł, iż rozwój wydarzeń w Anglii, Francji i w Niemczech nie potwierdził przewidywań Marksa dotyczących przemian systemu kapitalistycznego. System kapitalistyczny nie zmierzał do katastrofy; nie prowadził do wzrastającego zubożenia klas pracujących; nie wymagał wzmoczonej eksploatacji robotników dla utrzymania zysku kapitalisty. System kapitalistyczny uchronił się od katastrofy gdyż, mówiąc językiem Marksa, zdołał stale rozwijać siły produkcyjne. Marks widział jasno, iż w ramach kapitalistycznej organizacji produkcji następował szybki wzrost ekonomiczny, ale przypuszczał, iż jest to faza przejściowa po której sprzeczności kapitalistycznej produkcji zwolnią proces wzrostu i wreszcie całkowicie go uniemożliwią. Wbrew tym oczekiwaniom — pod koniec życia sam Engels dostrzegł błędność przewidywań Marksa — siły produkcyjne kapitalizmu stale rosły a wraz z nimi wzrastał dostatek, z którego korzystały również klasy pracujące. Bernstein wyciągnął z tego wniosek, iż socjalizm nie był stanem społecznym, który przychodzi nieuniknienie w wyniku ślepego działania sił, nad którymi ludzie nie posiadają kontroli. Socjalizm jest ideałem, jaki osiągnąć może zbiorowy, zorganizowany i solidarny wysiłek klasy robotniczej. Jako ideał socjalizm jest celem, do którego droga prowadzi przez nieustanną walkę o poprawę warunków pracy i płacy, o wzrastającą miarę równości i sprawiedliwości, o humanizację wszystkich stosunków społecznych. Rewizjonizm Bernsteina był pierwszym doniosłym ogniem od rewolucyjnego socjalizmu XIX wieku do socjalizmu demokratycznego naszych czasów.

Rewizjonizm Lenina nie dotyczył środków realizacji socjalizmu, ale środków zdobycia władzy. Marks nigdy nie był wyznaw-

cą tezy o bezużyteczności politycznego działania i przypisywanie mu tego poglądu, jak się nieraz czyni, jest rzeczą absurdalną, jeśli się zważy, iż Marks poświęcił znaczną część życia działalności politycznej. Marks był jedynie przekonany, iż skuteczna działalność polityczna musi opierać się na ludzkiej sile materialnej, która z kolei jest wytworem społecznym, a jako wytwór społeczny poza zasięgiem ludzkiej interwencji. Z tej przyczyny działanie polityczne, jeśli ma być skuteczne i prowadzić do zamierzonych skutków, musi zawsze brać pod uwagę okoliczności społeczne. W tym i w tym tylko sensie Marks podporządkował politykę ekonomice i uznawał nadrzędność procesów społecznych nad politycznymi. Woluntaryzm Lenina polegał na rewizji tej właśnie tezy Marksa. Odrzucił on nadrzędność procesów społecznych nad politycznymi i w historycznej ewolucji społeczeństw ku socjalizmowi podporządkował ekonomikę polityce. Zdyscyplinowana organizacja rewolucjonistów jest w stanie stworzyć materialną siłę ludzką, z której pomocą zdobywa władzę, a po zdobyciu władzy organizuje bazę ekonomiczną swego własnego istnienia i budowy socjalizmu.

Ta woluntarystyczna interpretacja Marksa była podstawą działania Lenina. Rosji przyniosła rewolucję a partii Lenina władzę w Rosji, ale nie zapewniła oczekiwanych sukcesów w budowie socjalizmu. Partie komunistyczne w krajach bloku sowieckiego dokonały wszystkich zmian, jakie miały nastąpić w wyniku „wywłaszczenia wywłaszczycieli”: zniósły własność prywatną środków produkcji i przywileje dawnych klas posiadających, upaństwowiły wszystkie dziedziny życia ekonomicznego, upowszechniły dostęp do wykształcenia i wprowadziły szeroko rozbudowany system świadczeń społecznych. Ale formacje społeczne i państwowe, które powstały w wyniku odgórznej rewolucji, nie nabrały cech społeczeństw socjalistycznych. Nawet jeśli pominiemy okres stalinizmu z jego długą listą „błędów i wypaczeń”, tak zwane społeczeństwa socjalistyczne pod niejednym względem podobne są do społeczeństw kapitalistycznych, jakie Marks miał przed oczyma gdy pisał *Kapitał*. Człowiek jest w nich nadal istotą wyzyskiwaną, poniżoną i ujarzmioną, przedmiotem a nie osobą, zależną od arbitralnych decyzji uprzywilejowanej elity władzy. Jak to niedawno pisał Adam Schaff w swej głośnej książce *Marksizm a jednostka ludzka*, aparat przymusu nie obumiera w społeczeństwach socjalistycznych. Przemoc istnieje nadal i pozbawia jednostkę jej praw obywatelskich, unicestwia jej pragnienia i nadzieje, wymaga ślepego posłuszeństwa i pozbawia prawa do samodzielnego myślenia. Wbrew zapowiedziom nie znikają klasy społeczne, gdyż odradzają się pod nową postacią. Powstaje nowa warstwa ludzi uprzywilejowanych, przekonanych o swej nieomylności, którzy utożsamiają własne interesy z dobrem ogólnym, a przeto nie znoszą żadnej krytyki i przeciwstawiają się wszelkiej zmianie, gdyż może ona naruszyć ich stan posiadania.

Jednym z następstw podporządkowania ekonomiki polityce jest polimorficzność i policentryzm praktycznego marksizmu.

Rozwój sił produkcyjnych jest wielkością wymierzalną. Istnieć mogą różnice zdań w jaki sposób najlepiej wymierzyć proces ekonomicznego wzrostu, ale zastosowanie uzgodnionej metody pomiaru prowadzi do tego samego rezultatu, w granicach dopuszczalnego błędu, niezależnie od tego kto tę metodę zastosuje. Jeżeli kryterium postępu w budowie socjalizmu jest rozwój sił wytwórczych, a tego sprawdzianu nie można pominąć nawet jeśli się go traktuje jako sprawdzian cząstkowy, postęp w budowie socjalizmu posiada określone fazy, które można określić w oparciu o obiektywne kryteria. Natomiast jeśli procesy społeczne i ekonomiczne podporządkowane są polityce, proces budowy socjalizmu jest wyznaczony przez decyzję polityczną, do której obiektywnych kryteriów oceny zastosować nie można. Dróg do socjalizmu jest wówczas tyle ile istnieje odrębnych ocen politycznej sytuacji oraz politycznych decyzji. Ich wady i zalety są oceniane w sposób mniej lub bardziej dowolny. Nie ma bowiem sposobu bezstronnego uzgodnienia różnic opinii, które nie dotyczą faktów, a ich interpretacji uwarunkowanych przez odmienne skale wartości. Gdy zabrakło wszechwładnej ręki Stalina i nikt nie zdołał zająć jego miejsca w całym obozie komunistycznym, woluntarystyczna ideologia Lenina spowodowała rozpadywanie się pozornie jednolitego bloku, doprowadziła do polimorfizmu praktycznego marksizmu, stała się źródłem wielkich różnic programowych między partiami w Rosji Sowieckiej, Chinach, państwach komunistycznych Azji i Europy, oraz w partiach komunistycznych w świecie demokratycznym. Wreszcie, ideologia Lenina jest bazą policentryzmu w stosunkach między partiami komunistycznymi.

Praktyczny marksizm oparty o woluntarystyczną ideologię Lenina stanął przed licznymi niebezpieczeństwami, z których wielu nie zdołał uniknąć. Po pierwsze, istniała możliwość, którą Trocki bardzo wcześniej przewidział, iż dyktatura proletariatu przekształci się w dyktaturę partii nad proletariatem a demokratyczny centralizm partii we władzę absolutną jednego człowieka nad partią. Przewidywanie Trockiego spełniło się w pełni w okresie „kultu jednostki”, a „kult jednostki”, jak wiadomo, stał się „stylem myślenia i działania wszystkich społeczeństw komunistycznych”. Mówiąc inaczej, stalinizm jest formą politycznego ustroju, która wyrasta z leninowskiej woluntarystycznej ideologii. Jak to pięknie Camus powiedział, woluntaryzm Lenina prowadzi do tego, iż wola władzy zajmuje miejsce pragnienia sprawiedliwości społecznej a rewolucyjne zamierzenia budowy socjalistycznego społeczeństwa przekształcają się w rywalizację elity rządzącej o korzyści i przywileje władzy. Ta degeneracja elity wynika z systemu rządzenia i stanowi szczególny przypadek tej prawidłowości, jaką Lord Acton wykrył w wydarzeniach historii: wszelka władza deprawuje, a władza absolutna deprawuje w sposób absolutny. W warunkach, w których wola władzy zajmuje miejsce woli sprawiedliwości społecznej, budowa socjalizmu przestaje się różnić od procesu jaki Marks określił mianem „pierwotnej

akumulacji" i „akumulacji kapitału”, z wszystkimi problemami społecznymi towarzyszącymi wczesnym okresom industrializacji. Choć praktyczny marksizm zredukowany do metody śpiesznego uprzemysłowienia krajów gospodarczo zapóźnionych posiada dużą siłę atrakcyjną dla nowych państw Afryki i Azji, traci on jednocześnie bezpowrotnie swą treść moralną i humanistyczną. Wyższość socjalizmu nad innymi systemami wynikać miała z tego faktu, iż stawia dobro każdej jednostki — w przeciwstawieniu do dobra określonej klasy lub warstwy — ponad wszystkimi innymi celami. Uprzemysłowienie, tzn. przejście od tradycyjnych do nowoczesnych form społecznego współżycia i skuteczna metoda podnoszenia powszechnego dobrobytu, stanowi jedynie środek, jakkolwiek ważny i niezbędny, osiągnięcia tego nadrzędnego celu. Należy przypomnieć, iż analiza i ocena praktycznego marksizmu z tego punktu widzenia nie jest już dzisiaj ograniczona do obserwatorów zachodnich, ale również dochodzi do głosu w dyskusjach i publikacjach ukazujących się w krajach socjalistycznych. Głoszą ją rewizjoniści i także lojalni członkowie partii komunistycznych. We wspomnianej książce Schaff ostrzega partie komunistyczne, iż sprzeniewierzają się socjalistycznym ideałom hołdując teoriom i stosując praktyki, które nie służą dobru człowieka. Schaff pisze, iż człowiek i jego sprawy są centralnym zagadnieniem socjalizmu i zapoznanie tego faktu jest główną przyczyną wszystkich wypaczeń praktycznego marksizmu w Polsce i w innych krajach socjalistycznych. Sprawą najbardziej naglącą staje się pytanie, co należy czynić, by ideał socjalistycznego społeczeństwa stał się rzeczywistością.

Ewolucyjne perspektywy

Analiza sytuacji ideologicznej w krajach socjalistycznych po śmierci Stalina zależy w pewnej mierze od naszych własnych przesłanek, od naszych poglądów o człowieku i społeczeństwie lub siłach kształtujących historię. Tylko wówczas, gdy wierzymy iż zdołaliśmy wykryć ogólne prawa rozwoju społecznego, możemy dokonywać ekstrapolacji lub formułować przewidywania. Ale nawet przewidywania wyprowadzone z praw potwierdzonych przez doświadczenie często się nie sprawdzają. Ponadto, jest rzeczą całkowicie bezpodstawną przypuszczać, iż znamy prawa społecznego rozwoju. Analiza sytuacji ideologicznej w krajach socjalistycznych w jej aspekcie dynamicznym lub ewolucyjnym opiera się w najlepszym razie na obserwacji pewnych tendencji, których istnienie stwierdzamy, ale których wyjaśnić, to znaczy, sprowadzić do praw powszechnych, nie jesteśmy w stanie. Takie tendencje mają tę właściwość, iż będąc zależne od nieznanych nam czynników mogą nagle zniknąć lub zmienić kierunek, a w ten sposób unicestwić nasze oczekiwania. Z tej przyczyny należy otwarcie stwierdzić, że rozważania nad perspektywami ewolucji ideologii marksistowskiej należą do sfery spekulacji. Choć wyko-

rzystują wnioski, jakie doświadczenie życiowe nasuwa, oraz opierają się na wiedzy o świecie społecznym i człowieku, ich podstawa faktyczna jest krucha, a typ wnioskowania zawodny. Są to trudności, jakie łączą się nieodmiennie z każdym przewidywaniem, ale warto je przypomnieć, by nie przecenić wartości rozważań nad perspektywami ewolucji marksizmu.

Istnieje pewna diagnoza sytuacji ideologicznej w krajach socjalistycznych, którą można nazwać diagnozą Gomułki, gdyż jego wypowiedzi w sprawach ideologicznych często ją zakładają. Diagnoza Gomułki sprowadza się do stwierdzenia, iż istnieją źli i dobrzy komuniści i że źli komuniści błędy popełniają a dobrzy je naprawiają. Co Stalin i Bierut w przeszłości wypaczyli, Chruszczow i Kosygin, Gomułka i Kliszko wyprowadzają na proste drogi. Praktyczny marksizm nie popełnił żadnych błędów, które były społecznym skutkiem ideologicznych założeń. Dlatego każdy rewizjonizm jest w istocie zbędny a w praktyce szkodliwy. Błędy minionego okresu są błędami politycznymi, a błędy polityczne sprowadzają się do cech osobistych Stalina i innych przywódców komunistycznych. Wystarczy, by losy komunizmu spoczywały we właściwych rękach, by nie powtórzyły się błędy i wypaczenia minionego okresu.

Niebezpieczeństwo diagnozy Gomułki polega nie tylko na tym, iż odznacza się ona dziecinnymi wyobrażeniami o procesach społecznych i politycznych jako dziele złych lub dobrych ludzi, ale także na tym, iż jest ona wyrazem konserwatywnej ideologii, przeciwstawiającej się wszelkiej zmianie i rewizji. Fakt, iż diagnoza Gomułki jest ideologią konserwatywną, ideologią opartą na zgoła nie marksistowskich wyobrażeniach o historii, nie oznacza wcale, iż nie odniesie ona zwycięstwa nad innymi ideologiami w ramach partii komunistycznych. Gdyby wydarzenia tak się miały potoczyć, nastąpiłby okres stabilizacji lub ohamowania ewolucyjnych procesów.

W samej strukturze organizacji i ruchów społecznych kryją się z reguły duże zasoby inercji, ponieważ trwałość istnienia tych organizacji częściowo zależy od mechanizmów utrudniających zmianę. Partie postępowe, radykalne i rewolucyjne ostygają w zapale reform po dojściu do władzy. Podczas gdy na użytek zewnętrzny nadal obowiązuje deklaracje przepojone duchem rewolucyjnego mesjanizmu, w praktycznym działaniu dochodzą do głosu grupy zachowawcze hołdujące konserwatywnej ideologii, która sprzyja umocnieniu zdobytych pozycji i łączących się z nimi przywilei. Ludzie nie organizują rewolucji przeciw samym sobie i nie dokonują świadomie zmian, które zagroziłyby ich interesom. Przeto wydarzenia historyczne często następują po sobie ruchem wahadłowym. Po rewolucji przychodzi kontr-rewolucja, po reformacji — kontr-reformacja, po wstrząsach starym porządkiem społecznym — odradzanie się dawnego porządku rzeczy.

Diagnoza Gomułki posiada społeczne źródła i uwarunkowania w pewnych trwałych cechach ludzkiej natury i społecznych urzą-

dzeń. Do tych czynników odwołuje się pogląd sformułowany przez profesora Bocheńskiego, który sugeruje iż praktyczny marksizm wywodzący się z leninowskiej ideologii (tzn. marksizm-leninizm) wcale nie znajduje się w stanie rozkładu i nie zniknie w okresie życia jednego pokolenia. Marksizm-leninizm daje się porównać do wielkich religii, takich jak Buddyzm, Chrześcijaństwo lub Islam, które przez długie okresy w swych dziejach trwały bez zmiany, dominując i determinując losy ludzi żyjących w kręgu ich wpływów. Może lepiej byłoby powiedzieć, idąc w ślady analogii między marksizmem i wielkimi religiami, iż po wstrząsach reformacji, której przyczyną były błędy i upadek moralny macierzystego kościoła, nastąpił długi okres poreformacyjnej stabilizacji, okres odrodzenia i umocnienia się wpływów rzymskiego kościoła. Ten pogląd nazywać będę w skrócie diagnozą poreformacyjną.

Diagnoza poreformacyjna wychodzi z założenia, iż w wyniku niedawnych wstrząsów marksizm praktyczny przestaje być doktryną środków, mianowicie środków zdobycia i utrzymywania się przy władzy. Marksizm praktyczny jest obecnie zmuszony zająć się gruntownie doktryną celów społecznych i moralnych, jakim miał służyć i jakie miał urzeczywistnić. W następstwie tej reorientacji nastąpi oczyszczenie ideologii marksistowskiej, pojętej jako system filozoficznych założeń, socjologicznych przesłanek i sądów o wartościach, z różnych nonsensowych obciążeń i przeszarżowanych pojęć. Jeśli tak potoczą się wydarzenia, ideologia marksistowska (marksizm-leninizm) zamiast się rozpadać wzrośnie na siłach, wpływie i mocy atrakcyjnej. Do tego samego wniosku prowadzi totalny charakter ideologii marksistowskiej. Ideologia totalna nie może na długą metę odciąć się od wpływu zmian dokonujących się w następstwie szybkiego rozwoju nauki, postępu wiedzy oraz ulepszeń we wszystkich dziedzinach ludzkiej działalności. Skutki wpływu zewnętrznego na ideologię marksistowską, jakie prawie nie istniały w przeszłości, są już dzisiaj widoczne. Jak profesor Bocheński twierdzi, ideologia marksistowska przestała być monolitycznym systemem i trzy warstwy wierzeń lub doktryny możemy rozróżnić w jej obrębie. W pierwszej warstwie znajdują się dogmaty podstawowe, które każdy musi uznać jako absolutnie prawdziwe i które tylko partia może zmienić lub zrewidować. Do nich należy np. twierdzenie, iż wszystko jest materią, lub że Bóg nie istnieje. Drugą warstwą tworzy spekulatywna nadbudowa, do której należą twierdzenia z zakresu filozofii, historycznego materializmu, ekonomiki lub socjologii. Spekulatywna nadbudowa posługuje się językiem zrozumiałym tylko dla specjalistów i ideologów i w życiu szarego człowieka nie odgrywa bezpośrednio większej roli. Uznawać ją muszą wszyscy, ale pozostawiona jest duża swoboda w formułowaniu i interpretacji tej nadbudowy. Wreszcie do trzeciej warstwy należą twierdzenia wolne od ideologicznej kontroli, chociaż tworzą one część ideologii i z niej logicznie się wywodzą. Przypuszczalnie są to sprawy dotyczące lokalnych urządzeń społecz-

nych, obyczajów lub sposobów rozwiązywania problemów społecznych, takich jak walka z pijaństwem, prostytutką, przestępczością lub chuligaństwem. Ta znacznie luźniejsza struktura ideologii daje jej szanse ostania się próbie czasu. Ponieważ pozostawia pewien zakres swobody swym wyznawcom, jest ona skuteczniejszym narzędziem zachowania w czystości podstawowych artykułów wiary.

Analogia między sytuacją ideologiczną marksizmu i dziejami kościoła w okresie poreformacyjnym wymaga uzupełnienia. Prawdą jest oczywiście, iż po reformacji kościół rzymski odrodził się i wzmocnił na siłach. Ale to odrodzenie było częściowo wynikiem przyswojenia sobie poglądów i dążeń jego przeciwników. Kościół przyswajając sobie doktrynalne treści reformy nadał im jedynie swoistą interpretację. Jak słusznie podkreśla Leszek Kołakowski, nie tylko herezja jest funkcją ortodoksji, ale również ortodoksja jest funkcją herezji. Naprawa wewnętrzna kościoła rzymskiego polegała na wchłonięciu pewnych idei reformacji, na asymilacji jej składników ideowych w takiej formie, iż przestały one działać jako czynniki rozkładu w obrębie kościoła. Ponadto w okresie poreformacyjnym oprócz kościoła rzymskiego istniały inne kościoły i sekty protestanckie. Zamiast jednej wiary chrześcijańskiej istniało jej kilka wersji, każda z nich podważając roszczenia do prawdy absolutnej rywalizującego kościoła. Chrześcijaństwo, a wraz z chrześcijaństwem, kościół rzymski, przetrwało wstrząsy reformacji ale za cenę rozpadnięcia się na kilka samorządnych kościołów nie uznających żadnego nadrzędnego autorytetu. Uznanie w danym kościele powiernika prawdy absolutnej stało się dobrowolnym aktem wiary wierzącego, a nie warunkiem niezbędnym przynależności do chrześcijaństwa. Z wielością rywalizujących kościołów łączyło się prawo jednostki do życia poza wszystkimi kościołami.

W świetle pełniejszej analogii trafność diagnozy poreformacyjnej staje się wątpliwa. Nie bierze ona bowiem pod uwagę tych czynników, które podważają w ludzkiej świadomości autorytet wszystkich ideologicznych założeń, łącznie z przywilejem partii do decydowania o tym, które z ideologicznych założeń stanowią dogmat niewzruszony. W jaki sposób partia, która ujawniła „kult jednostki”, zbrodnie Stalina, terror, torturowanie więźniów, łamanie prawa, miliony ludzi skazanych na powolną śmierć w obozach pracy przymusowej i wiele innych przestępstw, może nadal rościć sobie prawo do nieomyślności i głosić wyższość ustalonego przez siebie systemu rządzenia nad wszystkimi innymi? W jaki sposób może ona wyjaśnić w sposób zgodny z własnymi założeniami kult Stalina i cały system jego rządów nie przyznając jednocześnie, iż Stalin był wytworem warunków społecznych i politycznych, jakie leninowski socjalizm stworzył? W jaki sposób ma wyjaśnić fakt, iż między zapowiedzią doskonałego społeczeństwa udzieloną przed pół wiekiem a rzeczywistością dzisiejszą istnieje nadal rażąca, dotkliwa i bolesna rozbieżność? W jaki wreszcie sposób może nadal głosić po ujawnieniu tych wszystkich

faktów, iż praktyczny marksizm ma do spełnienia historyczną rolę w świecie?

W pewnym sensie to ostatnie pytanie ma kluczową rolę. Albowiem dopóki istniała wiara, iż partia trzyma w swym ręku klucz do tajemnic historii i ludzkiego przeznaczenia, można było wybaczyć aberracje przywódców, ich błędy a nawet zbrodnie, podobnie jak wierzący katolik wybacział inkwizycję, tępienie innowierców, prześladowanie przeciwników i inne występki papieży w dalekiej przeszłości. Partia która wyznaje, że klucz do historii zgubiła i już go nie posiada, traci uprzywilejowaną pozycję i osądzana jest zwykłymi ludzkimi kryteriami.

Wspomniane wyżej pytania dręczą i gnębią sumienia i umysły wielu lojalnych komunistów. Jak jeden z nich pisał, sprawa stalinizmu „boli i straszy”, budzi poczucie wstrętu i wstydu, uświadamia konieczność walki przeciw możliwości nawrotu tych zjawisk. Niebezpieczeństwo recydywy stalinizmu, w tej lub innej formie, bardziej jeszcze zaprzęta umysły ludzi nie partyjnych, których partia komunistyczna potrzebuje i których poglądy partię penetrują. Problem odpowiedzialności moralnej w życiu publicznym i politycznym należy do spraw pasjonujących środowiska młodzieży. Polityczne implikacje tego stanu rzeczy oraz jego wpływ na postawy do partii komunistycznej są zbyt oczywiste, by trzeba było je omawiać. Nie oznacza to oczywiście, iż ideologia marksizmu musi niebawem rozpaść się i zniknąć całkowicie, co być może nie mogłoby się obyć bez niebezpiecznych wstrząsów. Nasuwa się natomiast przypuszczenie, iż ideologia marksistowska znajduje się pod stałą silną presją napięć i konfliktów, jakie sama w przeszłości stworzyła i jakich nie rozwiązała. Te widma przeszłości i siły przez nie wyzwolone — rozbicie ślepej wiary w autorytet partyjny i bezmyślną dyscyplinę, lęk przed „dogmatyzmem”, przekonanie iż każdy ma prawo i obowiązek do samodzielnego myślenia, szacunek dla niezależności charakteru i uznanie wagi moralnych kryteriów w życiu publicznym — mogą być chwilowo zmuszone do milczenia i trwać w stanie utajonym, ale nie przestaną one toczyć partii od wewnątrz i zmuszać jej do szukania nowych dróg i rozwiązań. Jest rzeczą mało prawdopodobną by dawna ideologiczna uległość mogła być odbudowana. Siłą lub ekonomicznym przymusem tego się nie dokona, a naturalna regeneracja jest psychologicznie i socjologicznie wykluczona. Utrata wiary w partię i wszystkie tego faktu następstwa są procesem nieodwracalnym. Gdy raz się rozpoczął, nic go nie zatrzyma.

Teza iż ideologia marksistowska ulegać będzie powolnej ewolucji, opiera się na istnieniu antydoktrynalnych i antyideologicznych czynników w społecznej pamięci ludzi, które znajdują wyraz w ich postawach, ocenach i działaniu. Istnieją poszlaki, iż ta presja zamiast maleć będzie wzrastać w miarę upływu czasu, to znaczy, w miarę dorastania, dochodzenia do znaczenia i stanowisk ludzi młodych, nie identyfikujących się z przeszłością i nie obarczonych odpowiedzialnością za przeszłość.

Przypuszczenie, iż obecna stabilizacja stosunków w krajach socjalistycznych jest pozorna i stanowi fasadę poza którą procesy ewolucyjne zapoczątkowane destalinizacją i „odwilżą” toczą się dalej własną koleją, może również odwołać się do tzw. teorii społeczeństwa przemysłowego. Teoria społeczeństwa przemysłowego związana jest z nazwiskiem R. Arona, który uporządkował i usystematyzował wyniki badań wielu socjologów.

Proces uprzemysłowienia należy odróżnić od systemu kapitalistycznego lub socjalistycznej gospodarki społecznej, które stanowią jego ramy instytucjonalne. Chociaż proces industrializacji przebiega odmiennie stosownie do warunków społecznych i politycznych, jego skutki są niezależne od polityczno-społecznego kontekstu. Innymi słowy, procesowi uprzemysłowienia towarzyszą pewne charakterystyczne przemiany w strukturze społecznej danego kraju, a takie przemiany znajdują wyraz w postawach ludzi i w ten sposób kształtują sytuację ideologiczną. Teoria społeczeństwa przemysłowego inspirowane różnorodne przypuszczenia o powolnym upodobnianiu się państw kapitalistycznych i socjalistycznych. Nie będę zajmował się tą wysoce kontrowersyjną sprawą, gdyż wykracza ona poza zakres omawianych zagadnień. Należy jedynie podkreślić, iż rozpatrując industrializację jako czynnik upodobniający różne systemy społeczne, gospodarcze i kulturalne nie można ignorować tych różnic instytucjonalnych, ponieważ nie są one jednoznacznie wyznaczone przez strukturę społeczną danego kraju. Z faktu iż dwa społeczeństwa znajdują się w tej samej fazie rozwoju cywilizacji przemysłowej nie wynika wniosek, iż te dwa społeczeństwa przestają się różnić pod każdym innym względem.

Pierwszą główną tendencją cywilizacji przemysłowej jest zmniejszanie się procentu siły roboczej zatrudnionej w rolnictwie i zwiększanie się procentu pracowników zatrudnionych w przemyśle i usługach. Jednocześnie maleje procent samodzielnie zatrudnionych pracowników w wyniku ich przechodzenia na pracę najemną. Nie oznacza to jednak stałego wzrostu liczby robotników fabrycznych. Od pewnego punktu procesu uprzemysłowienia relatywna liczba pracowników fizycznych przestaje wzrastać. Charakterystyczną tendencją społeczeństwa przemysłowego jest wzrost dwu kategorii pracowników najemnych — pracowników fizycznych i nie fizycznych, to znaczy, urzędników. Z tej przyczyny społeczeństwa przemysłowe są również nazywane społeczeństwami biurokratycznymi.

W miarę postępu industrializacji pojawiają się dwie dalsze tendencje społecznie doniosłe. W wyniku ekonomicznego wzrostu poprawa warunków bytu obejmuje coraz szersze warstwy społeczeństwa. Lub mówiąc inaczej, znika proletariat miejski, gdyż coraz więcej ludzi osiąga stopę i styl życia drobnego mieszczaństwa. Po wtóre, cywilizacja przemysłowa wymaga stałego wzrostu kwalifikacji wszystkich pracowników. Z procesem uprzemysłowienia idzie w parze zanikanie analfabetyzmu, wzrost szkolnictwa średniego i wyższego, co z kolei prowadzi do rosnącego

zróznicowania społecznego pod względem kwalifikacji. Tak więc poprawa warunków życia, różnicowanie się funkcji społecznych, a wreszcie upowszechnienie i wzrost liczby różnych kwalifikacji zawodowych powodują dwie doniosłe zmiany w strukturze społecznej. Po pierwsze, rozrasta się drobna burżuazja kosztem zmniejszania się proletariatu miejskiego. Po wtóre, powstają nowe klasy średnie — w odróżnieniu od dawnych klas średnich składających się z niezależnych zawodów liberalnych — do których należą najemni pracownicy o wysokich kwalifikacjach i wysokich zarobkach.

Istnieje duża zgodność opinii co do tego, iż w społeczeństwach przemysłowych podnoszenie się warunków życia jest skutkiem ekonomicznego wzrostu, wzrostu dochodu narodowego lub rozwoju sił produkcyjnych, a nie następstwem zmniejszania się nierówności ekonomicznych. Społeczeństwo przemysłowe jest społeczeństwem nie-egalitarnym lub mówiąc językiem Ossowskiego — nieegalitarnym społeczeństwem bezklasowym (bezklasowym w tym sensie, iż pobudza dużą ruchliwość pionową). Sprawa ta jest skomplikowana i nie można się z nią uporać w kilku zdaniach. Na ogół w cywilizacji przemysłowej nierówności nie znikają, ale natomiast ulegają pewnemu złagodzeniu.

Społeczne następstwa tych zmian strukturalnych są bardzo doniosłe. Zanika tradycyjny styl życia dawnych klas i warstw, gdyż istnieje wielka ruchliwość pionowa i obudza się niczym niezaspokojone pragnienie poprawy losu. Rezygnacja i bierność, zadowolenie z tego, co się posiada, z funkcji i miejsca zajmowanego w społeczeństwie, charakteryzują społeczeństwa tradycyjne, w których istniejący porządek przyjmowany jest jako nieunikniony, ponieważ bądź nałożyła go opatrność bądź nieuchronne prawa społeczne. Natomiast w cywilizacji przemysłowej istnieje stan nieustannego poruszenia i żądań lepszego życia. Jeśli podstawy porządku społecznego nie są trwałe i uznane są za dzieło człowieka, mogą być one przez człowieka zmienione i ulepszone. Cywilizacja przemysłowa znosi uległość wobec władz, ustalonego porządku, hierarchii społecznej i państwowej.

Po wtóre, stała jeśli nawet powolna, poprawa warunków bytu, ruchliwość pionowa, postępowe zróznicowanie społeczne, stwarzają postawy wykluczające uciekanie się do środków przemocy, przewrotów i rewolucji. Trudno wątpić o tym, iż w krajach o wysoce rozwiniętej cywilizacji przemysłowej nastroje rewolucyjne zanikają, przemoc, gdy jest stosowana, wymaga prawnej legitymacji, a miejsce ich zajmują metody rozwiązywania konfliktów przez negocjacje, wzajemne ustępstwa i kompromisy. Starcia interesów nadal mają miejsce i stają się nawet częstsze, ale bardzo rzadko zamieniają się w wyniszczającą próbę sił między przeciwnikami. Gdy można wiele stracić, pokojowe metody negocjacji i kompromisu są uznane za bardziej skuteczne.

Należy podkreślić, iż ten zespół cech charakteryzujących społeczeństwo przemysłowe odnosi się do wysoce rozwiniętych krajów zachodnich, w których ponadto cywilizacja przemysłowa

występuje w połączeniu z instytucjami demokratycznymi. Czy industrializacja krajów takich jak Polska i jej sąsiedzi w Europie Środkowo-Wschodniej pobudzi postawy charakterystyczne dla cywilizacji przemysłowej w krajach demokratycznych?

Byłoby rzeczą ryzykowną i nieuzasadnioną udzielić na to pytanie jednoznacznej, twierdzącej lub przeczącej odpowiedzi, jeżeli odpowiedź ta ma być czymś więcej aniżeli wyrazem naszych życzeń i pragnień. Ale można, jak się zdaje, postawić tezę nieco oględniejszą. Jest rzeczą wysoce prawdopodobną, iż zespół postaw cywilizacji przemysłowej, popada w konflikt z rządami autokratycznymi, zamkniętą elitą władzy i dogmatyczną ideologią. Trudno jest wyobrazić sobie, by w cywilizacji przemysłowej istnieć mógł immunitet i nietykalność aparatu władzy wobec wszelkiej krytyki ze strony obywateli, by istniała prawomocność pewnego porządku na tej zasadzie, iż jest on zgodny z partyjnym rytuałem lub wreszcie by o poprawie warunków bytu, zaspokojeniu żądań i roszczeń decydować miała karta partyjna lub partyjny patronaż. Nie jest rzeczą wykluczoną, by również w społeczeństwie przemysłowym władza absolutna i autokratyczna spoczywała w rękach małej grupy ludzi, którzy zmuszają innych do posłuszeństwa — w imię historii, interesów klasy, rasy lub narodu — oraz rozdzielają dochód narodowy oraz inne społeczne nagrody stosownie do własnych wyobrażeń o dobru zbiorowym. Ale ten stan rzeczy pociągałby za sobą ograniczenia w sprawnym działaniu cywilizacji przemysłowej, która wymaga swobody dochodzenia roszczeń społecznych i swobodnej pionowej ruchliwości. Cywilizacja przemysłowa i rządy autokratyczne zamkniętej elity władzy prawdopodobnie nie mogą współistnieć na długą metę.

Ta analiza prowadzi do konkluzji, iż postępom cywilizacji przemysłowej w państwach socjalistycznych będzie prawdopodobnie towarzyszyć ewolucja ideologii marksistowskiej. Będzie ta ewolucja polegać na powolnym słabnięciu roszczeń, iż ideologia marksistowska jest absolutnym i naturalnym układem odniesienia dla całej ludzkości; na wzrastającym liczeniu się z faktami, co pociągnie za sobą kształtowanie polityki w oparciu o doświadczenie raczej niż o ideologię; oraz na stosowaniu metod negocjacji i kompromisu w zaspakajaniu żądań zamiast dotychczasowych arbitralnych i narzuconych siłą decyzji. Oznaczałoby to powolne ustępstwa i ograniczenia w wykonywaniu władzy. W warunkach pokoju i wzrastającego dobrobytu absolutyzm polityczny ma nikłe szanse przetrwania po porzuceniu poglądu o absolutnym charakterze ideologii.

Zbigniew A. JORDAN

Notatnik nieśpiesznego przechodnia

W zrzeszeniach artystów plastyków, zwłaszcza w miastach mniejszych, odległych od wielkiego fermentu myśli, artyści starsi, którzy uczyli się rysunku i innych arkanów swego rzemiosła, zostali zmajoryzowani przez młodszych, wychodzących ze szkoły pomysłowości i obrazoburstwa. W salach wystawowych tych zrzeszeń obrazy, prócz rzadkich tworców muzy abstrakcyjnej, znikły w ostatnich latach niemal całkowicie. Zastąpiły je produkty *pop-artu*, *happenings* i inne, trochę niespodziane w tych miejscach przedmioty. Wczoraj np. oglądałem w miejscowej galerii związkowej wystawę młodych artystów angielskich, legitymujących się tym, że wystawiali już na weneckiej *Biennale*. W głównej sali stały na podłodze dwie kompozycje. Jedna składała się z kilku pomalowanych na czerwono desek, opartych o rodzaj kozła. Razem wyglądało to na zastygły pod lakierem kąt warsztatu stolarza wyrabiającego trumny. Druga różniła się tylko materiałem: składała się z ustawionych bez widocznego porządku płatów malowanej blachy. Można by je nazwać tworamii sztuki egzystencjalnej w tym sensie, że przedmioty te nic nie przedstawiały, nic nie sugerowały, po prostu były. W bocznych salach zawieszono kilkanaście płócien o 6 metrach kwadratowych powierzchni. Powleczone były czarną farbą ze słabo widocznym, zaledwie trochę jaśniejszym, prostokątnym rysunkiem geometrycznym. Ekspонатów takich nie warto było sprowadzać zza morza; można je było taniej zrobić na miejscu.

Zresztą miejscowi biennaliści okazują więcej fantazji. Podobne przedmioty widziałem niedawno wystawione w galerii miejskiej. Dwa z nich zwróciły moją uwagę. Pierwszy był tarczą z błyszczącego plastyku o falistej powierzchni, sugerującej kształt piersi, po której toczyła się tędy i nazad czerwona piłka. Drugi,

bardziej wymyślny, był dużą zieloną skrzynią, z której, przez okrągłe otwory, powiewały ręce w długich, gumowych rękawiczkach, ruchem suszącej się na wietrze bielizny. Ten ostatni przedmiot kupiła za 4.000 franków zuryska fabryka rękawiczek. Od pół wieku bohema wykazuje niepospolite zdolności handlowe.

Wystawy te ożywia szczerzy czy udany zapal protestu przeciw ustalonym uprzednio w dziedzinie sztuki pojęciom oraz chęć stworzenia czegoś nowego, zrywającego radykalnie z tradycją. Wśród eksponatów szukalibyśmy jednak na próżno przedmiotów mogących wywołać trwalsze zainteresowanie, lub chęć dłuższej kontemplacji. Każda z tych wystaw jest tylko epizodem walki, barykadą z zastygłym dokoła echem werbli i trąb.

Wywoływane przez nie wrażenie nowości trwa tylko krótką chwilę. Trudno zresztą, aby było inaczej. Bunt części plastyków trwa już przeszło pół wieku. Mija właśnie 57 lat od chwili, gdy T. F. Marinetti wystąpił z głośną propozycją sprzedania w Ameryce zawartości włoskich muzeów, aby oczyścić miejsce dla nowej sztuki. Na rok bieżący przypada 50-ta rocznica narodzin w zuryskiej piwnicy grupy *dada*.

Tylko najstarsi wiekiem mogliby pamiętać początki ikonoklazmy i okoliczności powstania tego zjawiska. Ale i ja sam, który oglądałem wystawę futurystów w Wenecji w 1910, widziałem Marinettiego, bywałem u Hugo Balla w sławnej piwnicy zuryskiej i czytywałem ówczesne manifesty nowatorów, nie jestem pewien, co nazywano wówczas pompieryzmem, dlaczego oburzano się na „zgubną manię krytyczną”, którą Marinetti obiecywał wypłenić we Włoszech, ani jakie były bezpośrednie powody buntu artystów. Przedmiot protestu znikł z naszej pamięci, pozostały tylko jego formy, przekazane przez futurystów i dadaistów.

Manifestacje artystyczne futurystów miały w sobie coś z niefrasobliwości włoskich wiercipiętów. Sztuka *dada*, przetykana wspomnieniami z *la belle époque*, była wesoła i ironiczna. Obecni spadkobiercy tych prądów biorą siebie bardziej na serio. Dawni buntownicy nieśli całe ryzyko swego przedsięwzięcia. Obecnych wnuków ich chroni mit sztuki rewolucyjnej, awangardowej, postępowej, patrzącej w przyszłość. Zbuntowana niegdyś „nowa sztuka” przybrała charakter instytucyjny. W handlu wprowadzie ten towar nie chwytą, ale oglądać go można pod dostatkiem w galeriach zrzeszeń artystów, galeriach miejskich, na wystawach subwencionowanych.

W miastach mniejszych dyrektorzy galerii nie odczuwają żadnych skrupułów, wypełniając swe sale najdziwniejszymi przedmiotami. Są pewni poparcia miejscowych *barbudos* i czynników mniej lub więcej oficjalnych, zafascynowanych lub onieśmielonych przez mit sztuki „postępowej”. Gdyby któryś z nich przebrał

miarę i utracił posadę, uszedłby za ofiarę obskurantyzmu i z tym stemplem znalazł zaraz lepiej płatną posadę dyrektora galerii w innym, większym mieście.

Istotnym niebezpieczeństwem dla przemysłu rewolucji permanentnej jest znudzenie i obojętność publiczności. Dlatego wszystko, co mogłoby ożywić mit awangardy, każda sensacja z tej dziedziny znajduje poparcie kustoszów sztuki zbuntowanej.

Nie zdziwiłem się też wcale, otrzymując od dyrektora berneńskiej *Kunsthalle* pismo, zapowiadające pierwszy w Szwajcarii występ nowojorskiego *Living Theater*. Trupa ta, ścigana w Ameryce za długi, od trzech lat objeżdża Europę pod kierownictwem reżyserki o swojskim nazwisku, Judyty Maliny, budząc zdumienie i podziw krytyki i publiczności.

Antypowieści nie budzą więcej sensacji. Można je czytać w *livres de poche*; niedawno ukazała się o nich niemiecka monografia, licząca koło 400 stron. Antypoezja miała urok nowości w piwnicy dadaistów. Wycięte z gazety wyrazy mieszano tam w kapeluszu Hugo Balla, Tristan Tsara wyciągał je na chybił trafił i kleił na ścianie, po czym odczytywał głośno powstały w ten sposób tekst, pełen nieoczekiwanych asocjacji. Zalecana przez André Bretona *écriture automatique* spopularyzowała ten rodzaj literacki, nie budzący dziś ani zdziwienia, ani sprzeciwu. Antyteatr natomiast jest pomysłem istotnie nowym. Dotąd znaliśmy tylko teatr absurdu, chodźmy zobaczyć absurd teatru.



Living Theater wystąpił w sali teatru Alhambra, w której widziałem kiedyś Operę Pekińską, zanim ten niezapomniany zespół artystów zginął tragicznie w wypadku lotniczym.

Publiczność jednak nie była ta sama. Już u wejścia widoczne było, że składa się z samych *anti*, niechętnych tradycyjnym porządkom. Był to chłodny wieczór zimowy, i tylko jedno skrzydło drzwi wejściowych było otwarte. Idąc gęsiego, wszyscy mogli przejść przez to ciasne miejsce w ciągu kilku minut. Tymczasem pierwszych trzystu widzów sparło się pode drzwiami, przeszkadzając sobie nawzajem. Każdy chciał wejść na siłę. W rezultacie posuwano się bardzo wolno; z trudem wrywano się z tłoku, siejąc oderwane guziki. Drugi zator wytworzył się na schodach. Kilku wysokich i barchystych mężczyzn o wyglądzie goryli tamowało ruch, filtrując jak gdyby publiczność. Przyszło mi na myśl, że na widowni był tego dnia król haszyszu lub inny monarcha świata podziemnego w towarzystwie własnej eskorty.

Przewyciężając te przeszkody publiczność powoli wypełniała salę, wyprzedaną do ostatniego miejsca. *Living Theater* ścia-

gnął widzów z całej Szwajcarii. Na sali widać było licznych *barbudos*, dziennikarzy, krytyków, słowem zwykłą publiczność większych wernisaży. Nie brakło jednak też honoratoriów z innych sfer. O dwa rzędy przede mną siedział otoczony rodziną Charlie Chaplin. U wejścia zauważyłem smukłą sylwetkę Nell Walden¹, ostatniego być może świadka i uczestnika pierwszego buntu artystów. W 1912-1914 w salonie jej spotykali się Koschka, Kandinsky, Klee, Marinetti, Boccioni, Apollinaire, De-launay, Archipenko, Chagall i inni.

Zapadła ciemność. W kilka sekund później reflektor oświetlił na środku sceny aktora w pozycji żołnierza stojącego na warcie. (W *Living Theater* aktorzy nie noszą kostiumów; ukazują się na scenie w stroju niezamównej młodzieży, jadącej na majówkę w wagonie 3-ej klasy). Mijały minuty, aktor stał bez ruchu. Oczy miał przymknięte jak gdyby patrzył na koniec swego nosa. Mijały dalsze, coraz dłuższe minuty. Na sali dały się słyszeć szmery, rozmowy. Z tylnych rzędów wyszedł zażywny *barbudo*, tupiąc głośno nogami przeszedł środkiem sali i stanął na scenie obok samotnego aktora. (Czy był aktorem, czy kimś z publiczności?) Tupanie dało się słyszeć ze wszystkich stron. Aktorzy wychodzili z różnych kątów sali, ustawiali się w szereg na scenie i wykrzykiwali oderwane, niezrozumiałe wyrazy. (Z programu można się było dowiedzieć, że recytowali po kolei wyrazy, znajdujące się na banknotach jednodolarowych). W tym miejscu reflektor zgasł. Pierwsza scena programu była skończona.

Dwie następne, również bardzo dłużące się sceny, grane były w zupełnej ciemności. Zrazu słyhać było niejasne brzęczenie gitary i odległe echo cikliwej, stroficznej pieśni. Następnie z różnych stron i na różnej wysokości zaczęły ukazywać się punkty świetlne, a salę wypełnił zapach kadzidła.

Gdy zapalono światło, publiczność była znudzona i niecierpliwa. Rozmawiano, palono papierosy.

Scena czwarta zaczęła się koło palącej się na podłodze świecy. Zrazu jeden, potem dwóch, pięciu i dziesięciu aktorów siedziało i chodziło dokoła tej świecy. Wreszcie jeden z nich głosem znużonym powiedział: *Freedom now* i powtarzał te słowa, monotennie i mechanicznie kilkanaście razy. Potem dały się słyszeć inne slogany: *Stop the War in Viet Nam, Change the World. Do it now* i td. Powtarzano je przez dłuższy czas aż do uprzykrzenia. W końcu wszyscy stanęli dokoła świecy i zaczęli mruzczyć przez nos, najpierw coraz głośniejsze, potem coraz cichsze. W tym miejscu zrobiono przerwę.

1. Mąż jej, Herwarth Walden, wydawał w Berlinie awangardowy tygodnik *Der Sturm* (1910-1932) i miał galerię obrazów. W 1926 wyjechał do Rosji, gdzie zginął w niewyjaśnionych okolicznościach.

Scena ze sloganami, wyglądająca na pożyczoną z innej opery, była zapewne niezbędnym ukłonem w stronę tzw. inteligencji lewicowej. Mit sztuki rewolucyjnej i „postępowej” jest częścią mitologii ogólnej tej inteligencji. Bez lewicowych koneksji byłby zapewne w ogóle nie do utrzymania. Wnosić to można z przykładu futurystów, którzy pierwsi podnieśli bunt, i na których powoływały się pierwsze roczniki awangardy. Opowiadając się we Włoszech za faszyzmem, futuryści utracili jak gdyby swą prymogeniturę i swój autorytet w dziedzinie sztuki. Dla przedsięwzięcia w rodzaju *Living Theater* ukłony na lewo należą do dobrej administracji.

Scena piąta: sześciu aktorów siedzi rzędem na podłodze. Przychodzi siódmy z rolką papieru klozetowego i wydziela po kilka kartek każdemu z siedzących. Ci wycierają w nie głośno nosy i po każdym siąknięciu robią głęboki wdech. Ich gimnastyka oddechowa trwa dłuższy czas, komplikuje się i wchodzi wreszcie na jakąś drogę pośrednią między ćwiczeniami yogów i epilepsją.

Scena szósta wznowia zapomnianą sztukę żywych obrazów. Światło co chwila gaśnie i zapala się znów, ukazując czterech aktorów zastygłych nieruchomo w dziwnych kontorsjach.

Scena siódma przedstawia grę ruchową. Aktorzy, ustawieni naprzeciw siebie w dwa rzędy przerzucają się jak gdyby niewidzialną piłką. Gesty ich komplikują się, przyspieszają i kończą ogólnym zamieszaniem.

Ósma i ostatnia scena, grana z udziałem całego zespołu, jest zapewne arcydziełem reżyserskim Judyty Maliny. Zadając kłam recytowanym poprzednio hasłom pacyfistycznym, przedstawia coś w rodzaju *bellum omnium contra omnes*. Ogarnięci wystudionym szaleństwem, aktorzy duszą się i depczą nawzajem. Akcja toczy się żwawo; trudno odróżnić czynności poszczególnych protagonistów; wreszcie widać było tylko kupę ciał drgających w konwulsjach. Po pół godzinie walka ustała; scena była zasłana trupami; nikt się nie ruszał. Po chwili kilku nieboszczyków wstało i wzięło się do robienia porządku, to jest do układania trupów w stosy, jakie widziałem podczas epidemii cholery a potem grypy hiszpańskiej.



Kiedy porównuję objawienie się nowej sztuki w *Living Theater* i w grupie *dada*, przychodzi mi na myśl przeciwstawienie Simone Weil między *la pesanteur et la grâce*. *Living Theater* jest przedsięwzięciem nierównie cięższego kalibru od ironicznych, wesołych i eklektycznych improwizacji dadaistów. Jest w nim trochę za dużo rygoru, metody i konsekwencji.

Najciekawszym eksperymentem nowojorskich nowatorów zdać się być ich próba obchodzenia się bez słów, niezbędnego dotąd tworzywa teatru, w odróżnieniu od baletu i pantomimy. Jeżeli pominiemy scenę ze sloganami, będącą raczej dziełem administracji niż kierownictwa artystycznego, słowem posługiwano się tylko w jednej odśłonie, tam mianowicie, gdzie recytowano słowa znajdujące się na banknotach jednodolarowych. Jeżeli chodzi o słowa, których związek z wymawiającym je nie da się ustalić, wybór ten wydaje się doskonały. Nawet *grunitus* wieprza, wychodząc z ust człowieka, określa w jakiś sposób jego osobowość. Słowa z banknotu nie dają do niej żadnego klucza. Zapewniają mówiącemu całkowitą anonimowość.

Gdzie nie ma słów, tam nie ma też nazwisk, pozwalających odróżnić jedną osobę od drugiej. Aktorzy *Living Theater* pozostają anonimami. Jest to pierwsza konsekwencja braku słów. Lecz także ich role, typy i charaktery pozostają nieokreślone, bo jak je opisać bez słów? W *Comedia dell'arte* charaktery można było poznać z kostiumów i gestów. Nawet marionetki zdradzają od razu, kogo mają przedstawiać. W *Living Theater* nie ma kostiumów. Aktorzy są tam bez nazwiska i bez twarzy.

Artystom i amatorom teatr ofiarowuje możliwość zostania, chociażby na przeciąg jednego wieczoru, czymś innym niż są na codzień, stworzenia sobie nowej osobowości. Dla widzów metamorfoza ta, odbywająca się w ich oczach, jest ważną częścią składową spektaklu. *Living Theater* nie obiecuje nic podobnego. Daje swym adeptom możliwość zostania niczym, zmycia swej codziennej osobowości, nie zastępując jej niczym innym. Ten rodzaj depersonalizacji, mający być może pewne podobieństwo do niektórych reguł zakonnych, może pociągać jako eksperyment, ale czy na długo? — Jaki pan ma zawód? — Wyzbywanie się co wieczór osobowości. — Z programu dowiadujemy się, że aktorzy zmieniają się często w *Living Theater*. Tego można się było domyślać.

Obchodząc się bez słów, można obejść się też bez infabulacji. Sceny grane w *Living Theater* są okrucami źle poddającymi się opisowi. Autorzy scenariuszów zniechęcają z góry do poszukiwania w tych obrazach ukrytego sensu.

Wieczór spędzony w teatrze przeciwstawiał się zawsze powszedniości. Poważny czy wesoły, był zjawiskiem odświętnym. Będąc raz w Mediolanie podczas zamieszek, widziałem jak publiczność, potykając się o resztki barykad na nieoświetlonych ulicach, szła do teatru *La Scala* w wieczorowych strojach. Z *Living Theater* wszelka odświętność została wypędzona. Na scenie jak i na widowni przeważają ubrania z manchesteru i kolorowe koszule bez krawatów.

Teatr wreszcie był zawsze poważną czy wesołą rozrywką. *Living Theater* jest pierwszym, który wpisał nudę do swego programu. Sceny wloką się w nim bez powodu i bez końca, ku utrapieniu publiczności. Teatr zdaje się nawet czerpać pewną dumę z cierpliwości widzów. Jeden z krytyków pisze z entuzjazmem: *Boredom is irrelevant to the Action Theater experience...*

Zamierzając stworzyć antyteatr w dosłownym znaczeniu nowatorzy amerykańscy wzięli się do tego z cierpliwością i metodą. Wyrzucili za burtę słowo, żywego aktora, czynnik zabawy i rozrywki, zbliżając się rezolutnie do granicy, za którą nic nie ma. Czy po tylu amputacjach w *Living Theater* pozostało jeszcze coś z teatru po prostu? Owszem, tak. Pozostało coś trudno uchwytnego, czego sami autorzy eksperymentu nie brali, być może, pod uwagę. Pozostał mianowicie budynek i zamieszkujący go od tysiącleci *genius loci*. Kto bowiem zgodziłby się patrzeć przez pół godziny na sześciu facetów, ucierających sobie nos papierem klozetowym, gdyby nie pokazywano ich w teatrze za drogie pieniądze? Oczywiście analogia nastrocza się tu z opisaną wyżej wystawą „młodych artystów angielskich”. Kto pograżyłby się w estetyczną medytację nad grupą malowanych na czerwono desek, gdyby deski te nie stały w głównej sali berneńskiej *Kunsthalle*?

Paweł HOSTOWIEC

PACZKI BEZ CŁA - PRZEKAZY PIENIĘŻNE DO POLSKI



Tel: FRE. 7838

\$ = 72 zł. £ = 201 zł.

PRZEDSTAWICIELSTWO
BANKU P.K.O.

HASKOBA LTD

81 CROMWELL Rd., LONDON S.W. 7

BIURO PODRÓŻY: ANGLOPOL TRAVEL Ltd.
38 Thurloe Place, LONDON S.W. 7 Tel. KEN 3223

Fragment z dziennika

30. X. 66

Muszę (bo widzę, że nikt mnie w tym nie wyręczy) sformułować na koniec główny problem naszych czasów, dominujący bez reszty całą *episteme* zachodnią. Nie jest to problem Historii, ani problem Egzystencji, ani problem Praxis, czy Struktury, czy Cogito, czy Psychizmu, ani jakikolwiek inny z problemów, które rozsiadły się w polu naszego widzenia. Problemem naczelnym jest problem *im mądrzej, tym głupiej*.

Wracam do niego, choć już wielokroć o niego zatraćiałem... Głupota, jakiej doświadczam — i coraz silniej, w sposób coraz bardziej upokarzający — która mnie gniecie, osłabia — bardzo się wzmogła odkąd zbliżyłem się do Paryża, najbardziej ogłupiającego z miast. Nie przypuszczam abym ja tylko czuł się w jej zasięgu; mnie się zdaje, że wszyscy biorący udział w wielkim marszu świadomości współczesnej nie zdołali zagłuszyć w sobie jej kroku towarzyszącego... jej przedzierania się zaroślami tuż, tuż... Zastanawiałem się i zastanawiam, jak ustalić Prawo, określające najzwęższej tę sytuację specyficzną Ducha europejskiego. Nie widzę nic innego, oprócz

IM MĄDRZEJ, TYM GŁUPIEJ.

W istocie: tu nie mowa o tym pewnym kontyngencie głupoty, jeszcze nieprzewyciężonej, z którą rozwój prędzej czy później się załatwi. Tu by szło o głupotę, postępującą w parze z rozumem, która z nim razem wzrasta. Spójrzcież na wszystkie festyny intelektu: te koncepcje! Te odkrycia! Perspektywy! Subtelności! Publikacje! Kongresy! Dyskusje! Instytuty! Uniwersytety! A jednak: głupio.

Muszę się zastrzec, że prawo *im mądrzej, tym głupiej*, formułując bez odrobiny żartu. Nie, to tak naprawdę... I zasada odwrotnej proporcjonalności zdaje się dosięgać samej istoty rzeczy, albowiem coraz szlachetniejszej jakości rozumu odpowiada coraz nikczemniejsza kategoria głupstwa, to głupstwo staje się coraz bardziej ordynarne i nie dzięki czemu innemu, tylko właśnie wskutek prostactwa swojego, wymyka się coraz subtelniejszym instrumentom kontroli intelektualnej... rozum nasz za mądry by móc się obronić przeciw głupocie tak głupiej. W *episteme* zachodniej to co jest głupie, jest głupie w sposób gigantyczny — dlatego jest nie do uchwycenia.

Pozwolę sobie tytułem przykładu wskazać na głupotę towarzyszącą naszemu, coraz bogatszemu, systemowi komunikacji. Każdy przyzna, że system ten został ostatnio wspaniale rozbudowany. Precyzja, bogactwo, głębia języka w ekspozycjach już nie tylko kapitałnych, ale nawet ubocznych, lub zatrącających o publicystykę (jak krytyka literacka) są godne najwyższego uznania. Ale zalew bogactwa wywołuje znużenie uwagi, więc wzrastającej precyzji towarzyszy wzrastające roztargnienie. Rezultat: zamiast wzrastającego porozumienia, wzrastające nieporozumienie.

I w dodatku jakieś zgoła prostackie komplikacje włączają w paradę. Bo ten krytyk (poprzestańmy na tym przykładzie) jest wprawdzie uczony, naładowany lekturami, zorientowany, ale jest też zapracowany, załatany, znudzony, wyjałowiony. Pędzi on na jedną więcej premierę by zobaczyć jedną więcej sztukę i, po takim jednorazowym obejrzeniu, wykropić na chybcika jedną więcej recenzję — która w rezultacie będzie dogłębna i powierzchowna, znakomita i spartaczona. I, niestety, nie widać by *episteme* zachodnia zdolna była rozwiązać te sprzeczności systemu komunikacyjnego, ona nawet nie może ich zarejestrować, gdyż są poniżej jej poziomu... Bezbronność *episteme* wobec głupoty najjaskrawszej jest cechą charakterystyczną naszych czasów.

Pewna moja znajoma opowiadała mi jeszcze przed wojną, że kiedy pili podwieczorek na werandzie przyszedł stryj Szymon. — Jak to — zapytałem — przecież Szymon od pięciu lat leży na cmentarzu? — Ano, właśnie — powiedziała — przyszedł z cmentarza, w tym samym garniturze, w którym go pochowaliśmy, przywitał się, siadł, napił się herbaty, pogawędził trochę o urodzajach i odszedł na cmentarz. — Jak to, a wy nic na to?!... — Cóż chcesz, mój drogi, wobec takiej *bezczelności*... Oto czemu *episteme* nie może zdobyć się na ripost: zbyt beczelnie głupie!

Ale... jakież luksusy!

L'écriture n'est jamais qu'un langage, un système formel

(quelque verité qui l'anime); a un certain moment (qui est peut-être celui de nos crises profondes, sans autre rapport avec ce que nous disons que d'en changer le rythme), ce langage peut toujours être parlé par un autre langage; écrire (tout au long du temps) c'est chercher à decouvrir le plus grand langage, celui qui est la forme de tous les autres" (Roland Barthes).

Hm... co?... Trzeba przyznać: nie brak im tupetu!

My, tak zwani artyści, jesteśmy alpinistami z urodzenia; taka więc wspinaczka intelektualno-werbalna jak najbardziej nam odpowiada; gdyby tylko nie przeprawiała o zawrót głowy.



Dotknąłem tu głupot naszego systemu komunikacyjnego. Rzućmyż okiem na girlandę głupstwa, owijającą się wokół naszej erudycji.

Przecież to skandal, żeby oni dotąd nie mieli języka na wyrażenie swojej ignorancji; Wciąż i wyłącznie muszą wyrażać zatem swoją wiedzę, swoje „opanowanie przedmiotu”.

Gdy zasiadają na podium i głos zabierają, klamka zapadła: muszą wiedzieć, nie wolno nie wiedzieć, lub wiedzieć mniej więcej, nawet gestem, nawet mrugnięciem, nie mogą zasygnalizować, że ich wiedza dziurawa i na chybił trafił...

Na obszarze wszystkich dyskusji, trawiących *episteme* zachodnią, nie dojdzie was jeden jedyny głos, który by zaczął od „dokładnie nie wiem... nie znam... dobrze nie przeczytałem... kto by tam to wszystko zapamiętał... nie ma czasu na czytanie... coś tam wiem, ale niezbyt...” A przecie od tego trzeba by zacząć! Ale któżby się poważył! Mogliby tak zacząć, ale wszyscy naraz, dawszy sobie uprzednio słowo honoru!

Episteme tedy jest skłamana. Dzieją się rzeczy brzydkie. Gdy niedawno pewien znakomity filozof odwiedził pewnego znakomitego filozofa, rzekłem: — No, to się nagałają o filozofii! — Ależ skądże znowu! — odpowiedział mi ktoś poinformowany. — Przecież nie będą na tyle niedyskretni, żeby sprawdzać nawzajem swoje lektury!

Forma przekazywania myśli od najdawniejszych czasów jest ta sama — to nie podlega ewolucji — to zawsze ten sam sznureczek słów biegnący w poprzek papieru. I ten tasiemiec słowny dosięgnął już słońca! Dlaczego nie krzykną, że to przechodzi ich siły?



Zatrączę jeszcze o oczywistą głupotę metod, chorych na tę

samą wewnętrzną sprzeczność, o której już nadmieniałem. Metody humanistycznej *episteme* zachodniej są tym bardziej ścisłe, im bardziej ich obiekt jest nieokreślony; tym bardziej naukowe, im mniej ich obiekt nadaje się do naukowego ujęcia.

Fakultety humanistyczne uniwersytetów pękają od ciężkiej, profesorskiej, bzdury. *Delenda est Cartago!* Likwidować!



Ale co z sobą mam począć?

Tkwię w tym!

Odkąd zacząłem uprawiać literaturę, wciąż muszę niszczyć kogoś żeby siebie ratować. Jeśli w „Ferdydurke” zaatakowałem krytyków, to przecież żeby się wyłączyć z tego „układu”, żeby się uniezależnić. Moje napaści na poetów, malarzy, też dyktowane były potrzebą wyodrębnienia się, wyłączenia. Umierałem ze wstydu na myśl, że będę „artystą”, jak oni, że stanę się obywatelem tej śmiesznej republiki dusz naiwnych, kółkiem tej okropnej maszynierii, członkiem tego klanu. Za nic!

Ale w miarę upływu lat moje słowa, te słowa napisane, coraz bardziej odbiegają ode mnie, już są tak daleko, w obcych językach, w różnych wydaniach, których nierzadko na oczy nie widziałem, w rękach komentatorów, o których nic nie wiem... nie panuję już nad tym, coż więc ze mną się dzieje, w jakim języku, jakim kraju? Stałem się literaturą i moje bunty to też literatura. A prawo *im mądrzej, tym głupiej* ma jak najpełniejsze do mnie zastosowanie.

Cóż więc? Skoczyć na *episteme*, złapać ją za gardło, bić się z tym jak don Kiszot? Znowu? I jedno jest pewne: mój bunt znajdzie wydawców, komentatorów, czytelników, zostanie gładko wchłonięty przez mechanizm. Przecież nie ma nikogo w *episteme*, kto by nie był świadomy jej niedorzeczności i kto by, mimo to, nie był jej częścią składową. Trzeba by jakoś chytrze... może tak naiwnie, tak prostodusznie, żeby to stało się nieodparte... Nie. Naiwność z premedytacją? Nie. Jakieżże siły potrzeba, żeby tym wstrząsnąć! Nie mogę. Nie stać mnie. I brak czasu. Muszę doglądać tłumaczeń. Też korespondencja. Inne zadania. Więc co? Nic. Trudno. Nie mogę wszystkiego sam robić. Niech kto inny. Kto? Gdybym był wodzem! Być wodzem i mieć za sobą armię, gotową uderzać. Tam, gdzie palcem wskażę! Na nic! Jestem sam. Nikt mnie nie podtrzyma. Czyż można wysiadać z pociągu, toczącego się po szynach? Bić głową o mur? Po co? Żeby się dowiedziano, że mur istnieje. Któż tego nie wie? Wszyscy wiedzą, wszyscy wiedzą wszystko, ale to wiedza prywatna... Duma. Pociesz się, że przynajmniej swojej godności bro-

nisz. Czy będę mniej śmieszny za kilka wieków dlatego, że napisałem to, co tu napisałem? Boże święty! To tylko, ot, aluzja, sugestia, szkic, niejako wstęp, och, ja przecież tu w dzienniku piszę tak na dziesięć procent, nie więcej. *Sapienti sat*. I zresztą, kto to pisze?... Kto?

Hallo, hallo! Kto mówi?

Nie wiem.



Gdy czytam

Gdy piszę

Gdy biorę udział

Gdy funkcjonuję

Zawsze i wszędzie natrafiam na prawo

Im mądrzej

Tym głupiej.

Otóż jest ciekawe, że gdy cały nasz wysiłek duchowy na przestrzeni wieków zmierza do wyodrębnienia się z głupoty i przewyciężenia jej, w samym łonie ludzkości głupota zdaje się współżyć z rozumem. Skład osobowy ludzkości zapewnia głupocie niepoślednią rolę. Ludzkość składa się z mężczyzn, kobiet, młodzieży i dzieci — już to jedno skazuje nas na wieczną oscylację pomiędzy rozwojem a niedorozwojem, głupota odżywa w każdym pokoleniu. I czyż ona nie jest konieczna do życia, czyż bez niej kobieta chciałaby rodzić, czy byłby możliwy rozkaz, posłuszeństwo, mechaniczna praca, czyż kolej, kopalnie, biura, fabryki, mogłyby pracować bez tej oliwy we wszystkich swoich trybach? Czyż bez lekkości, lekkomyślności głupkowatej, byłaby do wytrzymania śmierć? Kondycja ludzka? Wysiłek *episteme* zmierzający do oczyszczenia się z głupoty, nie znajduje potwierdzenia w organizacji wewnętrznej gatunku ludzkiego, gdzie raczej należałoby mówić o podziale ról: jedni wyrażać mają wyższą, drudzy niższą świadomość.

Nie, Kancie! Twoja Krytyka, choćby najbardziej ścisła i najgłębsza, w siódmych potach pisana, nie wystarczy. Siekierę złap! Złap, mówię, siekierę, wypadnij z siekierą i ciach, na prawo i lewo, dzieci i kobiety, młodzież i robotników, i w ogóle wszystkich, tak, wszystkich i wszystkich!... Tępienie głupoty nie może się odbywać tylko na papierze! Zabijać! Hę... co to ja powiedziałem?

1. I. 1967

Wstąpiliśmy wczoraj z Ritą w rok 1967. We dwoje, bez

szampana, przyglądając się z okna ciszy, pustce, naszego pięknego placu du Grand-Jardin, z dachami spiętrzonymi starego Vence, z wieżą katedry, ze skalistymi ścianami gór w głębi, które księżyc zalewał mistycznym światłem.

Księżyc był tak silny, że widać było z drugiej strony tafle morza za Cap d'Antibes.

Prawie nic mi się nie zdarza. Nieszczególny stan zdrowia stał się dla mnie czymś w rodzaju klasztoru. Żyję, jak mnich. O dziewiętej śniadanie, potem pisanie, o dwunastej poczta, spacer samochodowy w góry, połączony z przechadzką, wracamy, śniadanie, gazeta, drzemka, korespondencja, lektury... Odwiedzamy najczęściej Marię Sperling i Józefa Jaremę, którzy mają ładny domek i piękniejszy ogród na jednym ze wzgórz nad Niceą.

Nie brak wizyt, bo jednak to jest salon Europy, ciągle ktoś się pojawia, z Ameryki, z Australii, ze Szwecji, z Polski, na święta zatręśnienie królów, finansistów, maharadzów, admirałów, gwiazd filmowych. Ale nic się nie zdarza. Nieraz z wysiłkiem, dochodzącym do samoudręki, staram się odgrzebać w głowie jakiś zapomniany szczegół sprzed lat. Na przykład — nad tym głowiłem się wczoraj wieczór, i w nocy przed zaśnięciem, i dziś rano — do jakiej to bramy, na jakiej ulicy, schroniłem się przed ulewą, wtedy, we wrześniu 1955-go, w Buenos Aires, podczas rewolucji, gdy zwiewałem z mego zagrożonego mieszkania do Russa.

Mimo wszystko sporo w tym gorzkiej ironii: że, niby, gdy po wieloletnim poście argentyńskim dorwałem się na koniec do tak eleganckiego kraju, do tak wysokiej cywilizacji, do takich pejzażów, do takiego pieczywa, ryb, przysmaków, takich dróg, plaż, pałacyków, kaskad i wykwintów, że, niestety, ja z samochodem, z telewizją, z gramofonem, z frigidaiem, z psem, z kotem, ja w górach, w słońcu, w powietrzu, nad morzem, że ja musiałem wstąpić do klasztoru. Ale w głębi duszy przyznaję jakąś rację Sile, która nie zezwoliła, bym w sposób zanadto łapczywy zabrał się do spożywania mojego sukcesu. Wiedziałem od dawna, od samego początku — byłem poniekąd z góry uprzedzony — że sztuka nie może, nie powinna, przynosić osobistych korzyści... że jest imprezą tragiczną. Co innego wydaje mi się niesprawiedliwe: że sama praca artystyczna tak mało dostarczyła mi przyjemności bardziej czystych, dozwolonych artyście; jeśli jednak pisanie przysparza mi pewnej satysfakcji, to jest ona zimna jakaś, zawzięta i nawet niechętna; ale jakże często piszę, jak uczeń w szkole, odrabiający zadanie; a częściej w strachu; albo w dręczącej niepewności. To prawda, iż, bywało, dochodziłem do zupełnej obsesji, nie byłem w stanie się oderwać, godzinami jeszcze po oderwaniu się od papieru trwałem w dziwnym, jałowym, podnieceniu powtarzając zdania, zwroty świeżo napisane

(pamiętam taki spacer maniacki w Buenos Aires, nad rzeką, gdy w głowie huczały mi już nawet nie zdania, a luźne słowa, ze „Ślubu”). Ale to miało charakter rozpedzenia, galopu jakiegoś, rozedrgania, roztrzęsienia, nie wiele miało wspólnego z radością.

Może to już niesprawiedliwe i trochę okrutne, że moje wysokie powołanie zostało opatrzone aż tak okropnym brakiem złużeń, bezlitosną trzeźwością. Złość, która we mnie wzbiera na myśl o artystach, jak Tuwim, d’Annunzio, czy nawet Gide, nie byłabyż bez związku z tym, że oni jednak byli w stanie przeczytać komuś swój tekst bez tego rozpaczliwego podejrzenia, że nudzą? A też myślę, że odrobina poczucia tego, co nazywamy społecznym znaczeniem artysty, byłaby bardziej wskazana, niż ta moja pewność że społecznie jestem zerem, istotą marginesową. To jednak dość smutne: oddawać się sztuce, a jednocześnie być tak poza sztuką, poza jej ceremoniałem, hierachiami, wartościami, urokami — z chłopską prawie nieufnością — chłopskim, chytrze niechętnym, uśmieszkiem.

A gdyby znów przyjąć, że u podstaw tej sprawy leży nader przyjemna i zbawienna lekkomyślność, to dlaczego, pytam, nigdy nie zaznałem tych spisków i zabaw, tych artystycznych wybryków i harców, co Skamandryci — lub romantycy za Wiktora Hugo — surrealiści, czy inna rozbrykana młodzież? Czas mój był krwawy i surowy, zgoda. Wojna, rewolucja, emigracja. Ale dlaczego ten właśnie czas sobie wybrałem (gdym się rodził, w 1904-ym, w Małoszycach)?

Jestem święty. Tak, jestem święty... i asceta.

W moim życiu jest sprzeczność, wytrącająca mi talerz z jadłem akurat, gdy go przybliżam do ust.



Nie wiem, co pisać, Nie wiem, co pisać po ukończeniu „Opetki” i nie wiem co pisać w tej chwili, w dzienniku. Sytuacja nie do pozazdroszczenia.



Le Clézio? Niech będzie Le Clézio, choć nie mam pojęcia co by tu o nim... Le Clézio odwiedził mnie z żoną wkrótce po moim przybyciu do Vence i wywarł jak najlepsze wrażenie, poważny, inteligentny, szczery. Dramatyczny (ma 27 lat) i skupiony. Bardzo urodziwy, a bardziej jeszcze fotogeniczny, więc „Express” i inne *revues* wałą jego fotografie na całą stronę.

Prasa widzi w nim czołową sławę literatury francuskiej à l’heure de promesse, jest już znany w Europie, skatalogowany jako przyszły Camus Francji, ludzie przystają, gdy idzie ulicą.

Dwadzieścia siedem lat, a już trzy powieści (ci Francuzi, rzeczywiście...).

Pomijając niewygody tej nieco karkołomnej pozycji, Le Clézio — tak mi się zdaje — jest zagrożony z dwóch stron. Pierwsze niebezpieczeństwo, to gatunek życia jaki mu przypadł w udziale, zbyt rajsco-idylliczny. Zdrow, krzepki, opalony wśród kwiatów Nicei, z ładną żoną, krewetki, rozgłos i plaża... czegoż chcieć więcej? Jego powieści dyszą mrokiem nieprzeniknionym najsłabszej rozpacz, gdy on sam, młody bóg w majteczkach kąpielowych, zanurza się w lazury słone morza Śródziemnego. Ale ta kontrowersja jest zbyt naskórkowa, aby go mogła naprawdę skompromitować i dopiero drugi jad, o wiele bardziej przenikający, staje się wehikułem tej pierwszej trucizny. Ten drugi jad, to uroda.

Musiałbym go znać, gdy miał lat czternaście, trzynaście, aby móc o tym coś konkretniejszego powiedzieć. Tak jak go widzę obecnie, on broni się przed urodą przede wszystkim głosem — który jest niespodziewanie gruby, męski, solidny — tudzież krańcowym tragizmem swej wizji świata, a także heroizmem postawy etycznej. Mimo to zdarzają mu się pewne koncesje, jego żona, na przykład, też jest ładniutka i mają samochodzik sportowy niezłej marki, niemniej przystojny. A też uważam za bardzo znaczące i charakterystyczne iż mieszkają w Nicei na placu, który się nazywa *Ile de Beauté* (Wyspa Piękności). Nie będę twierdził, naturalnie, że umyślnie ten plac sobie wybrali, ale w życiu zdarzają się takie zbieżności niedyskretne, demaskujące ukrytą tendencję... ten przypadek, moim zdaniem, nie jest wyłącznie przypadkiem.

Le Clézio tedy składa się z kontrastów: z jednej strony uroda, zdrowie, sława, fotosy, Nicea, róże, samochodzik, z drugiej ciemność, noc, pustka, samotność, absurd, śmierć. Ale jego największa trudność to, iż w nim dramat staje się urodziwy, powabny. On się buntuje, „młodość, nie wiem co to jest, to nie istnieje”, powiedział w którymś wywiadzie... ale nie wziął pod uwagę, że młodym nie jest się dla siebie samego, młodym jest się dla innych, poprzez innych.

Jedyne co by go mogło uratować, to śmiech.



Nadeau mi pisze, że wydrukuje w *La Quinzaine* mój auto-wywiad, nieco prowokujący pod adresem strukturalizmu. Na pewno jestem otoczony wrogami. Ci z „Nouveau Roman Français” i z „Nouvelle Critique” nie mogą mnie strawić, gdyż mówię im wszędzie, gdzie mogę, iż są okropnie nudni. A jednak jestem

złączony z tymi ludźmi, posuwamy się mimo wszystko w tym samym kierunku. Forma.



Londyński „Dziennik Polski” ubolewa: „Sposób, w jaki krytycy angielscy obeszlę się z „Pornografią”, jest doprawdy wysoce przykry”. Przykry? Rozkoszny chyba i przesłodki! Albowiem rozmaite pokurcze w prasie emigracyjnej, którym założyłem za skórę (słusznie, bo pierwsi mnie zaczepiali) mogą się odgryźć wyliczając z miną zasmuconą, że w jednej recenzji powiedziano, że „Pornografia” jest szalona, w drugiej, że głupia, w trzeciej, że obłąkana.

A w londyńskim „Tygodniku Polskim” czytamy: „Derdywurke, tak zatytułował recenzję z „Pornografii” krytyk „Times Literary Supplement”. Ów przekreślony tytuł pierwszej powieści Gombrowicza, „Ferdydurke”, ma być charakterystyką nowej powieści: pierwsza część tego neologizmu sugeruje „brudny” (*dirty*); druga część *work*, czyli utwór. Całość oznacza „świńską książkę”, czy coś w tym rodzaju”.

Piers Read, autor tej recenzji, pisze mi: „Jestem do pana dyspozycji, gdyby pan chciał żebym im wysłał sprostowanie. Ale chyba nie warto. Przecież nie można interpretować tytułu bez związku z samą recenzją, gdzie mowa, że pan jest jednym z największych pisarzy europejskich. Jakże to brudne! Czy rzeczywiście w środowisku polskim jest pan narażony na takie brudy?”

No i cóż, kmiotki? Piers Read jest synem sir Herberta Read’a, zasłużonego historyka sztuki, przyjaciela Bertranda Russell’a i innych znakomitych mężów. Więc naturalnie w tych kołach, jak również w redakcji „Times’a”, będą sobie pogadywać dżentelmeni popijając whisky: „Ten biedny Gombrowicz, jakież to okropne że w środowisku polskim jest narażony na takie brudy!” Oj, kmicie! Urządzacie obchody, uroczystości, wydajecie kupę forsy, żeby to się popisać kulturą, a potem wypśnie się wam taki nie pachnący drobiazg i więcej szkody wam przyniesie, niż Kopernik z Szopenem i z Małcużyńskim pożytku.

Łatwo się nadymać Kopernikami. Trudniej znaleźć inteligentne i uczciwe podejście do żywych wartości narodu.

Nie koniec na tym. Tej pewnej konsternacji w wyższych sferach angielskich odpowie huczne rozradowanie Warszawy. Tow. Kliszko wpada do gabinetu tow. Gomułki: — Towarzyszu! Otrzymaliście już list anonimowy z Londynu z wycinkiem z „Dziennika Polskiego”? — Nie, ale otrzymałem właśnie list anonimowy z Londynu z wycinkiem z „Tygodnia Polskiego”! — Wspaniale! Zaraz prześlę do wszystkich gazet! Mają do nas pretensję intelek-

tualiści, że nie wydajemy w Polsce tego jakiegoś Gombrowicza, że zabroniliśmy prasie pisać o jego zgniłych, europejskich, prestiżach... Dobrze, zakaz odwołany, obie wzmianki skrupulatnie zostaną przedrukowane, niech naród wie że mamy rację nie wydając powieści tak świńskich, jak ta „Pornografia”! Towarzyszu! Literatura emigracji jest zgniła, ale prasa emigracji ma jednak zdrowe odruchy! (Obaj tańczą powiewając wycinkami. Muzyka. Balet, Confetti).

Cóż, obrońcy kultury polskiej? A co się tyczy samejże, żeby tak się wyrazić, świńskości, to znałem pewnego Polaka, który zapadał w długie rozmyślenia. Po czym, ocknąwszy się, mówił: — Świnia świni tylek ślini. — Co masz na myśli? — zapytałem w końcu. Odpowiedział: — Myślę o Polakach.

Witold GOMBROWICZ

O S T A T N I E W I A D O M O S C I

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Człowiek na czworakach

Autobus odjechał w dół po czarnej drodze. Cedzik został sam, wydany na łup marcowego wiatru hulającego po podmiejskiej pustce.

Przed Cedzikiem daleko w dole, aż po rozplywający się w szarości horyzont, leżało miasto. Domy, kościoły, kina, wielkie magazyny i wieże szklanych biurowców ciągnęły się hen, aż po śródmieście, którego stąd nie było widać. Tylko we mgle ledwie widoczna sterczała na tle nieba Poczta Wieża. Malutka i skromna jak odłamana zapałka.

Tam, w tym szeroko rozpostartym mieście był dom Cedzika, było jego życie i jego wczorajsza praca. Ze strachem pomyślał o długiej drodze, jaką musiał odbyć do tego wzgórza, do miejsca nowej pracy, nowego mozołu codziennego.

Odwrócił się od Londynu. Przed nim piętrzyła się ceglana masa fabryki. Pod płaskim dachem biegł dokoła napis powtarzający jedno słowo: BELLS.

Bells. Bells. Bells. Niskie budyneczki jak baraki obozowe leżały obok drogi prowadzącej do głównej bramy. Po tej drodze ciągnęły samochody, na których pudłach namalowano: BELLS.

Dalej gdzieś, jeszcze bardziej za miastem, niżej, leżały inne fabryki, zakłady, magazyny, domy mieszkalne i główna ulica przedmieścia ze sklepami i ludźmi. Tu, jak przed więzieniem, pusto i solennie. Nikt nie przechodzi, nikt nie wygląda z wielu niemych okien. W bramie strażnik w czapce z napisem Bells patrzy podejrzliwie.

— Na prawo — powiada do siebie Cedzik dodając sobie otuchy i idzie ku mniejszemu budynkowi ze szkła i aluminium. ADMINISTRATIVE OFFICES.

Na podwórzu wiele samochodów. Niektóre opuszczone, wy-

gaśle, inne cofają się pod magazyn z otwartymi skrzydłami tylnych drzwi gotowe przyjmować ładunek skrzynek z nadrukiem: BELLS.

Wszedłszy po schodach na pierwsze piętro, Cedzik zapukał do drzwi z napisem: *Information*. Brzydka dziewczyna ruda i chuda przyjęła go bez zapału.

— Mister Sysik? — spytała zaglądając do kalendarza. — Mister Smith na pana czeka.

Za sekundę Cedzik siedział na twardym krzeselku naprzeciw czarniawego młodego człowieka i odpowiadał na niezliczone pytania.

— Gdzie pan pracował?

— W fabryce trykotaży jako magazynier.

— Dlaczego pan odszedł?

— Fabryka zbankrutowała.

— A przedtem gdzie?

Pytania uderzały jak kule z karabinu maszynowego. Jedno po drugim. Cedzik starał się odpowiadać w tym samym tempie.

Wreszcie badanie skończyło się. Mister Smith ochylił się do tyłu i zaczął przemowę.

— Bells jest najstarszą fabryką kiełbasek w tym kraju. Mamy swoje doświadczenie i tradycję — ważność słów podkreślał kiwnięciem brody. — Zarząd fabryki traktuje robotników dobrze. Dajemy im wszystko: świetne warunki pracy, opiekę lekarską, zabezpieczenie na przyszłość, dwa tygodnie chorobowego urlopu i w niektórych wypadkach pomagamy nawet kupić dom. Ale w zamian żądamy lojalności. Stałej, wytrwałej pracy. Nie możemy pozwolić sobie na szkolenie pracownika, który po dwu tygodniach przeniesie się gdzie indziej. Raz wszedłeś do fabryki i stanąłeś do pracy, to musisz trwać jak żołnierz na posterunku. Tylko my nazywamy siebie nie żołnierzami, ale „ludźmi Bellsa”. Rozumie pan, mister Sysik? „Człowiek Bellsa”. To zaszczyt i zabezpieczenie na całe życie. Ile pan ma lat? — Czterdzieści pięć — skłamał Cedzik.

— No... — zastanowił się mister Smith. — Zasadniczo przyjmujemy młodych, ale w naszych warunkach może pan śmiało liczyć na piętnaście lat pracy.

— Tak jest — potwierdził Cedzik bez zapału.

— Nogi pan ma silne? Stać pan może przez cały dzień?

— Na ostatniej robocie cały dzień byłem na nogach.

— Wobec tego wszystko w porządku. Sally — zawołał Smith i natychmiast weszła brzydka dziewczyna.

— Harry jest?

— Jest proszę pana.

— Dasz panu Sysikowi broszury i regulamin i poznasz z Har-

rym. Idzie pan na „chipolatę”. — Cedzik nie rozumiał wcale, co to znaczy, ale uśmiechnął się — praca łatwa i czysta. Harry to nasz najlepszy *foreman*.

— Dobrze panu będzie u nas, mister Sysik — i mister Smith schylił głowę wyłączając się ze sprawy i kierując uwagę na swe papiery.

W dużej kancelarii, gdzie pracowały same dziewczyny, ruda sekretarka pana Smitha wręczyła Cedzikowi plik broszur.

Bells' Employers Adviser. Bells Monthly. All About Bells. History of Bells. 100 Years of making Sausages. Wszystko kolorowe, błyszczące, pachnące farbą drukarską. Widać nie brakowało na broszury popytu i wydawano wciąż świeże.

Sekretarka otworzyła drzwi na korytarz.

— Harry — zawołała.

Wszedł wielki mężczyzna w białym kitlu. Głowę miał wysoko podstrzyżoną, twarz nalaną tłuszczem i małe oczka szeroko rozstawione, patrzące bez wyrazu. Na górnej kieszonce kitla, na czerwonej podkładce widniał napis: H. Hartman.

— Mr Sysik — powiedziała ruda — to jest Harry, pana rodak.

Cedzik stał zdrętwiały i nie mógł zdobyć się na wyciągnięcie ręki.

— Boże! Boże! — jęczał bezgłośnie — ten człowiek tutaj? Ze wszystkich ludzi na świecie, on?

Kiedy wreszcie podniósł prawicę do powitania, poczuł jak dłoń ściska mu żelazne imadło.

— Hartman jestem — powiedział mężczyzna spokojnie i w jego świńskich oczkach nie było śladu rozpoznania.

Patrzył na Cedzika obojętnie, bez uśmiechu.

Wychodząc tego dnia z domu Cedzik przewidywał najgorsze rzeczy. Zawrócą go od bramy, powiedzą, że posada zajęta, uznają za niezdolnego...

Potrzebował tej roboty bardzo. Kilka tygodni temu skończyła się praca u Buchmana. Dobra praca. Był magazynierem w fabryce trykotaży i czuł się świetnie na tej posadzie. Niewiele odpowiedzialności, niewiele roboty, czysto, ciepło, dobra zapłata i miłe uczucie, że jest się kimś. Kimś dla dziewczyn maszynistek, którym dostarczał nici i zamków błyskawicznych. Wobec *bossa* nie znającego nigdy stanu swego magazynu czuł pewną przewagę. Zadowolalo to jego ambicję. Ostatecznie nie była to wielka degradacja. Niestety, Buchman zbankrutował.

— Człowieku — mówił Adamek — nie wyobrażaj sobie, że znajdziesz posadę w Banku Angielskim. Przed każdym z nas stoi tylko: Fabryka biskwitów, sztuczna biżuteria, albo robota na budowie.

Cedzik postanowił zbuntować się przeciw takiej doli, ale wtedy właśnie Jadwiga powiedziała, że jest w ciąży. Wszystko nabrało innego sensu.

Trzeba było brać pierwszą posadę, jaka się zdarzy. Pracować, pracować już nie tylko na siebie i żonę, ale i na przyszłego syna.

Cedzik zostawił jednego syna w Polsce. Chłopak dwadzieścia trzy lata i kończył uniwersytet. Wysyłając synowi paczki i oglądając przysłane fotografie, Cedzik myślał z żalem jak mało go zna. Może już w ogóle nie pozna bliżej?

Gdyby nie ożenił się w Niemczech z Jadwigą, miałby może do owego dalekiego syna inny stosunek. Teraz rad był, że ciotka opiekuje się Jackiem.

Cedzik patrzył na Jadwigę usiłując dostrzec oznaki ciąży i z rozczuleniem wracał do owych czasów, gdy w uniesieniu i niepokoju zarazem czekał na urodzenie Jacka. Teraz inne, nowe życie. Odpowiedzialność i mus zdobycia pieniędzy. Wtedy właśnie spotkał Dotcińskiego. Były major, dowódca Cedzika, był jak dawniej rubaszny, hałaśliwy i pewny siebie. Gdzie pracuje?

— Panie drogi, w kiełbaskach. Rozumie pan, w fabryce kiełbasek. Jadł pan kiełbaski Bellsa? To właśnie ja te kiełbaski wyrabiam. Może nie najszlachetniejsze zajęcie, ale dobrze płatne i dobre stosunki w pracy, a to najważniejsze:

A potem Cedzik zwierzył się, że szuka zajęcia.

— Tylko do Bellsa — huknął major. — Bells dobrze płaci, Bells człowieka urządza na całe życie. Popatrz pan, przez Bellsa mogłem kupić dom. Fabryka dała pożyczkę. I emerytura zapewniona. Panie drogi, u Bellsa pracuje kilkudziesięciu naszych. Nie będzie pan samotny.

Za dwa dni Dotciński zatelefonował i krzyczał do słuchawki tryumfująco:

— Wszystko załatwione. W poniedziałek rano o ósmej zgłosi się pan w fabryce. *Administrative Offices*, na prawo od bramy...

Było jeszcze ciemno tego ranka, gdy Cedzik ubierał się pośpiesznie, aby zdążyć na czas. W mroku sypialni widział kształt Jadwigi leżącej pod kołdrą. Spała, więc nie budząc jej pocałował delikatnie w ucho wychylające się spod poplątanych włosów.

Był zdenerwowany, jak żołnierz przed bitwą, jak podsądny idący na rozprawę. Przewidywał same klęski. Nie myślał nigdy, że spotka Hartmana.

Szli w głąb fabryki. Hartman prowadził. Przecisnęli się między samochodami na podwórzu i weszli w przejście między budynkami, jak w wąwóz. Z jednej strony wznosiła się ściana z cegły, mająca tylko u samej góry rząd zakratowanych okienek, z drugiej bok olbrzymiej hali z falistej zardzewiałej blachy. Od głównego budynku dobiegał szum i terkot maszyn wprawiających mury

w stałe drzenie. Z prawej, zza falistej blachy, słychać było kwik świń, pokrzykiwanie ludzi, motory samochodów i stąd dochodził Cedzika mdły, słodkawy zapach chlewu.

Hartman milcząc szedł przodem. Wstąpili na żelazne schodki, a potem postępowali pod górę cementową pochylnią. Z prawej strony otwarta od góry ściana obniżała się stopniowo, aż otworzyła się jak galeria, z której mogli zajrzeć w dół. Hartman przystanął i wskazał ręką na to, co się dzieje na dole.

Tam była mordownia świń. Na dnie, jak na małej arenie otoczonej wysokimi ścianami, biegali ludzie zaganiając świnię. Gdzieś z tyłu niewidoczni oprawcy wypychali je przez niskie drzwiczki. Wchodziły opornie jedna za drugą i popychane, bite pałkami, kopane ustawiały się w niezgrabną kolejkę. Wysoki Murzyn, ubrany tylko w podkoszulkę i sine spodnie, czekał na nie z wielkimi cęgami. Cęgi te przytwierdzone były do elektrycznych kabli. Wprawnym szybkim ruchem Murzyn łapał świnię cęgami za głowę poza uszami i zwierzę padało natychmiast.

Wtedy wyskakiwał drugi Murzyn i zakładał na tylne nogi łańcuch. W sekundę nieruchoma świnią jechała w górę. Na jej miejsce waliła się następna. I znów jechała do góry, do jakiejś mrocznej czeluści w głębi budynku.

Łańcuch zgrzytał tuż koło głowy Cedzika. Widział z bliska wędrujące do góry świnię i stwierdził z przerażeniem, że są jeszcze żywe. Drgają im przednie kończyny zwisające bezwładnie. Krzywią się rozpaczliwie pyski, jakby chciały łapać powietrze.

Spojrzał w dół. Dwie świnię wyrwały się z kolejki po śmierć. Cofając się tyłem przymknęły do blaszanej ściany i stały patrząc na mordowanie nieruchome, jakby obojętne.

Oprawcy nie widzieli tego wcale. Machali kijami zaganiając inne, wciąż nadchodzące. Jedna za drugą, jedna za drugą. Gdzieś w hali szumiały samochody. Ludzie zrzucaли przywiezione zwierzęta, gonili, pchali. A tu miarowo, jedna po drugiej, ujmowane wprawnie cęgami za głowy padały rażone elektrycznym prądem. I zaczepione o nieustający w ruchu łańcuch szły w górę.

Cedzik spojrzał na Hartmana. Ten wpatrywał się uporczywie w jeden punkt. Usta wykrzywiał mu szydlerczy uśmiech. Stamtąd, z dołu, Murzyn operujący elektrycznymi cęgami podniósł głowę do góry. Na chwilę spojrzenia ich się spotkały. Złe, nienawistne, zabójcze.

— *Schwarze Affe* — zaklął Hartman — *Damned Negro*.

Murzyn na dole tylko na sekundę był odwrócony ku nim, ale Cedzik przeraził się nienawiścią ziejącą z jego czarnych, przekrwionych oczu. Wyglądał jak zwierzę, które gotowe jest skoczyć do gardła człowiekowi zaglądnącemu do jego jamy. Jama jednak była za głęboka.

Następna świnia znalazła się na miejscu kaźni. Murzyn odwrócił się i szybkim, precyzyjnym ruchem powalił ją na ziemię.

I jeszcze raz spojrzął w górę. Hartman już odchodził.

Postąpili dalej, w głąb budynku, w górę po schodach. Hartman prowadził bez objaśniania.

Znaleźli się w napełnionej parą hali, gdzie wokół maszyny ze skrzydłami drewnianymi, jak koło staroświeckiego statku rzecznego, biegła szeroka niecka napełniona parującą wodą. Niecką spływały popychane drewnianymi łopatami trupy świń. Cedzik zobaczył, że każda ma podcięte szeroko gardło. Ktoś, gdzieś nożem kończył dzieło Murzyna z cęgami.

Umorusany człowiek podczepiał świnie na łańcuch i jechały teraz pionowo ociekając wodą. Za nimi grabki w bezustannym ruchu zgarniały z wody szczecinę. Chodziły jakieś szczotki, hałasowały zgrzebła i syczał ogień gazowy napełniając piekłem kabinę, przez którą przesuwiał się wolno trup za trupem.

Szli dalej okrążając żelazną nieckę, ogień i zgrzebła. Weszli do długiego korytarza. Po obu stronach stali ludzie w białych kitlach zabрызganых krwią. Każdy trzymał noż. Środkiem na łańcuchu nad głębokim ściekiem betonowym jechały świnie. Ludzie z nożami dziabali, krajali, drażyli. Każdy coś ciął, każdy coś wyjmował i rzucał: albo do ścieku albo za siebie.

Cedzik poczuł mdłości, ale nie zamykał oczu. Przerażony szedł naprzód czując, że te noże i szpikulce krają jego ciało, ćwiartują jego zwłoki.

To że prawie wszyscy rzeźnicy byli czarnymi, to że pracując wciąż śpiewali zawodząc monotennie, nadawało całej scenie nastroj piekielny.

Wreszcie wyszli znów na schody, tym razem w dół. Uderzył w nich wizg i charkot. Przechodząc bokiem koło sali, skąd dobywały się te hałasy, Cedzik zobaczył mężczyzn w ciemnych chałatach z jakimiś przyrządami w rękach. Skakali jak czarty, a od czasu do czasu spod aparatów, którymi wywijali, dobywały się iskry i niebieski płomień oświeślał zielone ściany.

Cedzik spojrzął pytająco na Hartmana.

— Tu się ćwiartuje świnie. To są elektryczne piły — po raz pierwszy odezwał się ponury przewodnik.

Jechali wielką windą do góry. Obok nich szczupły i smutny Hindus wioził słoninę na blaszanym wózku. Pchał ten wózek przed sobą i usiłował się uśmiechać, ale jego jelenie oczy płakały.

Stanęli na progu wielkiej, widnej sali. Wzdłuż obitych białą blachą stołów stały po obu stronach setki mężczyzn. Każdy pochylał się uważnie operując wielkim, ostro zakończonym nożem, jak chirurg. Białe kitle osmarowane były na brunatno krwią

i tłuszczem. Po środku stołów biegł pas transmisyjny przynosząc przed każdego kilkukilowy kawał mięsa.

Takim samym pasem w koszykach drucianych odchodziły pokrajane resztki wieprzy. W dół spadały kości.

Kilkadzieśiat długich stołów, setki ludzi. Mięso przewalające się bezustannie, skrobanie noży, skupione twarze białych, czarnych, żółtych. Miarowy ruch krajania wdrożony wielomiesięczną, czy wieloletnią praktyką.

Cedzik szukał oczyma pustego miejsca, w którym będzie stał wśród tych ludzi-robotów.

— Tam — pokazał palcem Hartman — tam jest pana znajomy Dotciński, czy jak go tam.

Lekceważący ton głosu zabolął Cedzika. Była mowa o jego przełożonym z wojska, majorze Dotcińskim. Dojrzał go i natychmiast skulił się w sobie. Nie chciał by major go spostrzegł.

Postarzały, zmęczony Dotciński wyglądał w swym zaplamionym chałacie jak „muzułmanin” z obozu; siwa głowa chwiała się bezwładnie na chudej szyi, ramiona opadły w dół, twarz pochylała się nisko nad stołem.

— Rano — pomyślał Cedzik — a jak będzie wieczorem?

— Chodź pan — pociągnął go Hartman — tu pracują *dumm-kopfen*. Pan jest za delikatny do tej roboty. Ja pana urządzę u siebie. Idzie pan?

Cedzik jeszcze się ociągał.

Szerokimi, czystymi schodami szli w górę.

— A tutaj jest kantyna — pokazał Hartman oszklone drzwi przechodząc dalej.

Stanęli przed wejściem do nowej sali. Dochodził ich szum maszyn i głosy kobiece. Z korytarza nadszedł dobrze ubrany mężczyzna. Miał na sobie czyściutki płaszcz, biały jak śnieg, włosy zaczesane i wybrylantynowane, i błyszczące buty. Uśmiechał się po angielsku.

— Mister Watson — powiedział Hartman — *here is mine friend Secik*. Ja go biorę do siebie. Potrzebuję człowieka do maszyny, mister Watson. O *key*?

— O *key* — machnął ręką pan Watson i nie spojrzawszy na Cedzika poszedł dalej uśmiechając się w przestrzeń.

— *Boss* — objaśnił Hartman — on dobry, *ja*, tylko mu nie nastąpić na nogę.

Weszli do sali, w której Cedzik — teraz już wiedział ostatecznie — miał pracować dla firmy Bells.

Tu nie było długich przez całą salę stołów. Robotnice grupowały się wokół maszyn i przyrządów przypominających szpitalne aparaty. Butle wysoko zawieszone, rury przezroczyste, napętnio-

ne różowawym płynem. Stoły błyszczące aluminium i czyste metalowe kosze.

Szli między tym wszystkim, aż Hartman zatrzymał się przed maszyną mielącą mięso i słoninę. Stał tu młody czarny chłopiec.

— Wacek, to jest pan Cedzik, będzie z tobą pracował. Naucz go jak i co. On będzie zamiast Bednorza. *Fajn?*

— *Okey, boss* — roześmiał się chłopak.

Mówili ze sobą po polsku i Cedzikowi podobał się jego przyszyły towarzysz pracy. W uśmiechu chłopca nie było usługowości wobec Hartmana ani strachu.

Spojrzawszy raz jeszcze na niego Cedzik ocknął się jakby powrócił do świata, z którego wyszedł przekraczając bramę fabryki Bells.



Pierwszy dzień pracy Jadwiga uczyła pierożkami. Cedzik nie mógł przełknąć ani kaska. Czuł w ustach smak surowizny, prześladował go zapach gotowanego mięsa, przypominał sobie niecki farszu i maszynę, nad którą się pochylał...

— Jesteś nieswój? — pytała Jadwiga troskliwie.

— Po prostu jestem zmęczony — odpowiedział Cedzik, mimo woli ze złością.

W nocy leżał nie mogąc zasnąć. Jadwiga pochrapywała przewracając się obok. On patrzył w ciemność wściekły na sen, który nie chciał nadejść i wyzwolić go z nieprzyjemnych myśli.

— Powinienem rzucić tę pracę — zastanawiał się szukając rozpaczliwie jakiegoś rozwiązania. — Nie mogę tam wrócić. Ale gdzie pójdę? Do sztucznej biżuterii zarabiać grosze? Teraz?

— Co ci się śniło? — pytała Jadwiga przy śniadaniu. — Słyszałam jak przewracałeś się i jęczałeś. Znowu obozowe zmary?

Objęła go ciepłymi rękami za głowę i przycisnęła do siebie. Powstał i uciekł, bojąc się rozplakać.

Czy mógł jej powiedzieć wszystko? Nikomu przecież nigdy się nie zwierzył. Tylko Hartman wiedział. Jeden Hartman, kapo z obozu. Tam był taki sam: wielki, nabrzmiały ważnością i udający obojętność. Trzymał pałkę w łapach i zaganiał „muzułmanów”. Można było z nim żyć. Nie dręczył, nie dokuczał. Metodycznie i punktualnie katował jednego dziennie. Wybierał sobie ofiarę obserwując nieszczęsnego cały dzień. Potem z byle przyczyny walił. Raz na tydzień bił mocniej i wtedy ofiara już nie wstawiała.

No cóż, to był jego sposób utrzymania się przy życiu. Nie przyszedł do obozu na ochotnika.

Każdy jakoś starał się przeżyć. Nawet za cenę upokorzenia. Upokorzenia wobec kapo?

Tego nikomu Cedzik nie mógł opowiedzieć. Tyle lat przeszło, że nikt już nie potrafiłby zrozumieć.

W fabryce Hartman był „o key”. Z początku Cedzik nie zdawał sobie sprawy, dlaczego Hartmana wszyscy nienawidzą.

Na sali pracowały przeważnie kobiety. Obok każdej maszyny mielącej farsz stały dwa stoliki; przy jednym kobiety napełniały śliskie flaki i przekręcając wprawnie długą kielbasę dzieliły ją na małe segmenty; przy drugim stole układano po kilka kielbasek i pakowano w przezroczyste woreczki. Pchający wózki mężczyźni zwozili mięso, tłuszcz, paczki z mieloną bułką i pudełka przyprawy. Wacek z Cedzikiem przy jednej z maszyn melli i mieszało to wszystko i podawali dalej do maszyny napełniającej kiszkę.

Dokoła opłatywały ich rury doprowadzające wodę, karbol, jakieś soki i powietrze.

Cedzikowi wciąż zdawało się, że pracuje we wnętrznościach olbrzymiego potwora, gdzie wszystko razem poskręcane, pomieszane, błyszczące metalem i kafelkami w ciągłym ruchu produkuje łajno.

Gdyby nie Wacek, trudno byłoby się przyzwyczaić.

Wszyscy dokoła byli obcy. Cedzik zastanawiał się, gdzie są ci liczni u Bellsa Polacy. Wśród kobiet przeważały Murzynki. Wiele też było jeleniookich Hindusek i dziewczyn z Pakistanu. Tylko kilka białych kobiet, starych i zniszczonych, jakby już nie mających sił odejść stąd, siedziało za stołami przeważnie przy pakowaniu. Słoninę przywoził wysoki, zgarbiony Grek z Cypru. Pomp doglądał niski chytry Pakistańczyk. Mulat z Jamajki o cerze żółtawej jak stare złoto pchał wózek z mięsem.

— Sto narodów — powiedział mister Watson, gdy przechodził obok Cedzika — sto narodów pracuje obok siebie w zgodzie. *United Nations* u Bellsa. Nad tym wszystkim panował Hartman. Chodził między maszynami i stołami i co chwila przystawał udzielając instrukcji, zagadując coś z udaną uprzejmością. Uśmiechano się do niego twarzą w twarz, ale gdy odchodził szły za nim spojrzenia złe i pogardliwe.

— Przeklęty Niemiec — kłął Wacek.

— Dlaczego Niemiec?

— Nie słyszy pan? Słowa nie powie, żeby nie dodać jakiegoś niemieckiego *Schweinereine*.

— Nie lubią go?

— Nie lubią? — śmiał się Wacek. — Nienawidzą i doczekają się za swoje pewnego dnia... — Wacek pociągnął ręką po gardle.

Wacek przyjechał niedawno i został u ojca na stałe. W Polsce chodził do szkoły technicznej, ale tu nie było mowy o studiach, przynajmniej na razie.

Obiecywał sobie, że kiedy nauczy się języka, wstąpi do *college'u*.

— Ale jak tu się uczyć, panie Cedzik? Kiedy? Człowiek po pracy zmęczony jak koń, czy mu w głowie nauka? Te „overtajmy” zjadają człowieka. Czy to kto widział, żeby kończyć o ósmej wieczorem? Kiedy się uczyć?

— Panie Wacku — poważnie odpowiadał Cedzik — to zagadnienie całej emigracji. Najpierw łapaliśmy byle co, aby się utrzymać. Tymczasowo. Obiecywaliśmy sobie, że nauczymy się języka i zaczniemy pracować w swoim fachu. Ale raz zaczępiwszy się, ciągnęło się dalej i dalej. A w pracy trudno nauczyć się angielskiego.

— Od kogo? — wołał Wacek rozglądając się po sali — od Hindusów, Pakistańczyków, Murzynów?

— Tak, tak — kiwał głową Cedzik myśląc więcej o sobie, niż o młodym koledze.

— Skąd tyłu Murzynów? — dziwił się Wacek.

Cedzik starał się mu objaśnić zagadnienia Brytyjskiej Wspólnoty i odpowiedzialność angielską za „narody zacofane”.

— To przecież dobrzy robotnicy — bronił Murzynów. — Gdyby nie oni, brakłoby tu rąk do pracy w wielu dziedzinach.

— Niedługo zostaną sami Murzyni. Przed panem pracował ze mną Bednorz, dobry człowiek, tylko bał się Hartmana i nienawidził Murzynów. Powiedział, że idzie do takiej pracy, gdzie nie ma czarnych. Hartman też pies na czarnych. Tylko Murzynki lubi.

Wacek roześmiał się znacząco.

Przy jednym ze stołów pracowała Hortensja. Cedzik mógł ją dobrze obserwować, bo stał prawie naprzeciw niej. Była czarna jak sadza miała lśniąca skórę i sterczące w proste strączki włosy. Wielkie fioletowe wargi wyglądały jak soczysty owoc z nieznanego drzewa. Oczy czarne, prawie bez białek, błyszczały ogniem. Miała okrągłe ramiona wciąż w ruchu, wciąż przewijające się jak czarne węże. Spod fartucha wybuchały jej wielkie, nabrzmiałe piersi. Gdy przechodziła z jednej strony stołu na drugą, falowały jej biodra i przeżyły się pośladki.

— Zwierzę — myślał Cedzik i dreszcze przechodziły mu po plecach.

Hortensja była dziewczyną Hartmana. Każdy to wiedział. Gdy podchodził do ich stołu, zbliżał się do niej i kładł swą łapę na jej plecach. Gładził ją miętosząc palcami fartuch i ciało pod fartuchem.

Potem powoli odchodził, wyprężony, napięty jak kocur i od drzwi kiwał głową.

Hortensja ruszała za nim. Tak samo wolno, nie śpiesząc się szła uśmiechnięta triumfująco.

— Do magazynu — objaśniał Wacek — tam mają taki „huren dołek”, jak powiada Hartman. Pan Radek, magazynier, widział ich tam na stercie pudełek. Podobno ona krzyczy przy tym jak kobyła.

— Co nas to obchodzi, panie Wacku — zlekceważył całą sprawę Cedzik, ale wewnątrz trzęsła go złość.

— Nas to nie obchodzi — przyznał Wacek — ale on się doigra.

Okazało się, że wszyscy dokoła czekali, kiedy Hartman się doigra. Była to swego rodzaju gra. Obserwowano go pilnie. W oczy każdy był przyjemny. *Good morning mister Hartman. How are you mister Ejcz. Nice day Harry.* Za plecami uśmiechano się do siebie porozumiewawczo.

Hartman trzymał dyscyplinę. U niego w sekcji produkcja szła jak należy. Jeżeli ktoś nie nadązał, to odchodził na dół do sali, gdzie szedł *bonning*, czyli odkrawanie mięsa od kości, albo jeszcze niżej do pił i noży, do huku i rejwachu i wiecznego brudu. Kobiety wędrowały do pozornie łatwej pracy: do warzenia farszu, do „*pai*”, czyli pierogów. Tam była lżejsza robota, ale smród z kotłów, gdzie gotowało się mięso, przenikał ubranie. Dziewczyny od „*pai*” poznawano po zapachu nawet na mieście.

Spokojne, czyste nadziewanie sztucznych flaków, zwijanie w równe odcinki i pakowanie do koszyków było lepszym rodzajem pracy.

Trzeciego dnia Hartman zatrzymał się koło Cedzika.

— No panie Cedzik? Jak idzie. *Machen machen co?*

— Pomału — starał się nie patrzeć na Hartmana i zbywać go byle czym, ale wielki *foreman* podchodził bliżej i bliżej.

— U mnie zasada: *good work good pay, good pay good humor.* I jeszcze jedno panie Cedzik: *wie du mir, so ich dir.*



Z początku Cedzik nie mógł jeść w kantynie. Była to swego rodzaju choroba, przez którą każdy przechodził. Potem przyzwyczaił się. Czasem nawet jadał kielbaski: *The Best Sausages in the World. Bells Sausages.*

W kantynie spotkał po raz pierwszy Dotcińskiego. Pan major zmęczony i bez humoru siedział przy stoliku nad pustym talerzem.

— No i jak, drogi panie? Jak?

— Pan wie najlepiej — prawie ze złością odpowiedział Cedzik. — Co tu mówić wiele...

— No tak — kiwał głową Dotciński — już to nie to, co było dawniej. Kiedyś na każdym miejscu spotkał pan Polusa. Było koleżeństwo i współpraca. Dziś nabrali tych Murzynów...

Cedzik przyniósł sobie z bufetu jajka na bekonie i mętną kawę.

— A pan u Hartmana? Wytrzymuje pan? To kat, panie drogi, kilkunastu naszych zamęczył.

— Jak to zamęczył?

— No pracą. U niego albo wypruwasz flaki ze siebie, albo wont i do piłowania kości, albo jeszcze gorzej do sprzątanía. On wiele może. A pan z nim dobrze?

— Dlaczego jego nienawidzą?

— No właśnie dlatego, że on rządzi się jak jaki kacyk. Panie drogi, on może wcale nie jest Polakiem? *Volksdeutsch*. Głowę dam, że służył w niemieckiej armii, może nawet w SS. Co słowo, to po niemiecku.

— Dlaczego wszyscy Polacy się nie zbiorą i nie wyrzucą go stąd?

— Jak, panie drogi? Gdy skarżyli się na niego, to Smith powiedział: *No politics. Work, no politics*. Żeby znaleźć na niego jakiś dowód...

Cedzik pochylił głowę i straciwszy apetyt odsunął talerz. Wstali obaj.

— Ja stąd odejdę — powiedział major — jak tylko spłacę pożyczkę za dom.

Pochylił się jak pod ciężarem, kąciki ust opadły w dół i wyglądał jak smutny, pobity pies. Cedzikowi zrobiło się żal swego majora i pomyślał, że pewnie nigdy nie zdobędzie się na wymówkę, za to, że wpakował go do tej fabryki.

— Co robić, drogi panie — rzekł Dotciński z rezygnacją w głosie — gdzie iść. Przyjdzie poniedziałek, to człowiek z płaczem rusza do fabryki. Ale znów w piątek, gdy dadzą kopertę z pieniędzmi, to jakoś weselej. Dla tych pieniędzy wszystko robimy. I jak tu poradzić?

Odchodził do pracy. Za chwilę stanie przy stole i będzie długim nożem wykrawał kości z kawałków wieprzowiny, spadających regularnie z pasa transmisyjnego.

— Świńska historia — powiedział do siebie Cedzik. — Straszne świństwo! I zawrócił na swoją salę.

Wacek siedział jednym pośladkiem na stole i rozmawiał z wysoką Murzynką. Śmieli się. Cedzik pomyślał, że tak niewiele ich dzieli. Czarną kobietę i białego chłopca. Może zaczyna się coś między nimi? Nie, nic w rodzaju Hartmana, zwierzęcia w czasie ruiny. Wacek nie jest takim człowiekiem.

— To dobrze, że pracuję z nim, a nie z jakimś Murzynem —

pomyślał Cedzik i zaczął sobie robić wymówki, że upodabnia się do Hartmana, który stale powtarzał: *Bloody Blackies* i *schwartzes Schwein*.

Gdy Hartman wszedł na salę, wszyscy ruszyli się, choć przerwa jeszcze się nie skończyła. Każdy stanął na swoim miejscu czekając na włączenie prądu. Za chwilę zacznie się rejwach maszyn i gorączkowa praca.

Hartman skrzywiony i zły patrzył na salę trzymając rękę na dźwigni elektrycznego przełącznika.

Tego dnia Cedzik był świadkiem pierwszej awantury między dziewczynami i sądów Hartmana.

Cypryjka przy stole czarnej Hortensji nie umiała ani słowa po angielsku. Gdy wybuchła awantura, krzyczała jakimś piskliwym narzeczem, zalewając Hartmana niezrozumiałymi słowami. Wina była po stronie Murzynki. Ona zaczęła. Irlandki krzyczały wskazując na nią palcem. Ale Hartman orzekł inaczej. Kazał Cypryjce odejść. Nie zobaczyli jej więcej. Tylko Elisa, najbardziej wygadana z Cypryjek, czarna i sucha jak pogrzebacz, przyszła z innego piętra i nawymyślała Hartmanowi po angielsku. Wszystkie dziewczyny siedziały cicho i słuchały z zadowoleniem jak krzyczy na niego.

— *You bloody boss. You no boss, you unjust. She* — wskazywała palcem na Hortensję — *she is bloody tramp. You fire. You no good boss. I go to mister Smith. Today.*

Hartman nic sobie nie robił z krzyku, a kiedy miał dość, złapał Cypryjkę za ramię, wykręcił nią i wyprowadził za drzwi. Jeszcze z klatki schodowej dobiegały jej krzyki w wysokim „c”.

Od Smitha nie było żadnej wieści. Kierownik piętra, mister Watson, udawał, że nie wie o niczym. Gdzie i jak odeszła przepędzona Cypryjka, nikt nie chciał Cedzikowi powiedzieć.

— *Hurren* — skomentował całą sprawę Hartman — *schwarze Hurren*.

— No widzi pan? — gadał Wacek — to nie pierwszy raz.

Cedzik ładował maszynę milcząc. Wydawało mu się, że on jeden trzyma w ręku klucz do całej sytuacji. Tylko nie potrafi go użyć.



W połowie maja przyszły ciepła i Cedzik zaczął się dusić. Farsz pachniał surowym mięsem i słodkawymi korzeniami, od podłogi parowały chemikalia po codziennej dezynfekcji, z dołu zalatywał smród gotujących się odpadków na paje, a gdy otworzono okna, czuć było chlewem i słyszać pisk zwożonych transportami świń.

Najgorzej zanosiło od spoconych kobiet.

W tym czasie odszedł Wacek. Powiedział, że ma dość tej roboty. Poznał wreszcie trochę język i spiknął się z młodymi ludźmi w swoim wieku. Uświadomili go o tysiącu możliwości zatrudnienia. Poszedł tymczasem na budowę.

Na jego miejsce Hartman przyprowadził Karra, dość świeżego imigranta z Jamajki. Karr nazywał się inaczej, ale dla ułatwienia skrócono jego rodowe imię i nazwisko, z czego każdy był zadowolony. On sam wykazywał to zadowolenie pokazując ogromne, białe zęby. Nie był czarny. Jego skóra błyszczała jak mosiądz. Rysy twarzy też nie miały piętna Afryki, raczej jakiś Malaj albo pomalowany na ciemno Słowianin.

Karr był ze wszystkiego zadowolony. Na wszystko mówił „ye”, z wszystkim się zgadzał i z zapalem brał się do roboty.

Cedzik mógł się cieszyć z nowego towarzysza, jednak nie czuł się dobrze. Peszył go ten wieczny uśmiech ogromnej gęby, w której zębiska, wielkości końskich, obnażone były po różowe dziaśła.

Najgorsze ręce. Kościste i wąskie, były ogromnie ruchliwe. Ręce muzyka, dla którego trzeba by budować specjalne pianino, bo normalny instrument załamałby się pod pierwszym uderzeniem.

Karr w mig nauczył się obsługiwać maszynę. Cedzik poznał co to lenistwo. Nie potrzebował się wysilać jak z Wackiem, który co chwila przystawał, aby coś powiedzieć.

Niestety, Karr nie mył się, a gdyby się mył, to też nie wiadomo, czy to zabiłoby ostry zapach, który wydzielał. Cedzik odwracał się i krzywił nos. Raz na takim skrzywieniu przyłapał go Hartman.

— *Ja* — powiedział poważnie podchodząc — śmierdzi. *Ja*, czarny bzdzin. Ale co poradzić? Dawniej przychodzili lepsi ludzie, a teraz sami czarni. Nie ma innego, *ja*.

Karr jak pies, który przeczuwa, że o nim się mówi, śmiał się i kręcił głową.

Cedzik naturalnie był zły. Chciałby zapytać Hartmana, czy Hortensja też śmierdzi? Albo ta nowa, Nelly?

Właśnie w maju Nelly zaczęła wypierać Hortensję z łask *foreman'a*. Nic dziwnego: była młodsza, ładniejsza i wyraźnie zalecała się do wielkiego *boss'a*. Nie miała też takiej czarnej skóry. Wyglądała jak siostra Karra.

Musiała być Mulatką, bo miała długie, proste włosy, które upinała jak hebanowy hełm.

Cedzika czarowały jej oczy. Żaden z Murzynów nie miał tak czystych oczu. Białka Karra mogłyby być żółtkami, cieniutkie czerwone żyłki znaczyły je siateczką. Inni też wyglądali, jakby

kwę i zmęczenie zanieczyściły ich wielkie, wystające z oprawy czarnych rżęs gałki oczne. Tylko Nelly mogła się poszczycić prawdziwymi murzyńskimi białkami, takimi o jakich mówi się i pisze i pokazuje na scenie. Umiała tymi czarno-białymi oczami przewracać, wzdychając przy tym jak miech.

Naturalnie Cedzik, gdyby miał wybierać, skłaniałby się raczej do Zoi z Pakistanu. Ta miała delikatną przydymioną cerę i głodne oczy. Gdy patrzyła na niego, wydawało się, że chce mu przekazać ten swój głód. Czego? Głód miłości?

Pewnego dnia łapa Hartmana spoczęła na plecach Nelly. Dziewczyna nie miała na sobie prawie nic, prócz fartucha, zapinającego się na przodzie. Gdy się pochylała, widać było między guzikami jej miedzianą pierś w różowym biustonoszu. Gdy wyginała się na bok, fartuch opinał się na udzie przeciętym gumką majtek. Przelewała się wewnątrz fartucha jak dobrze nadziana kiełbaska potężnych rozmiarów.

Gdy ją przycisnął zaśmiała się na cały głos i wywinęła na bok.

— *What it is, boss? What?*

— *Good, strong worker.* Dobra czarna dupa.

A ona powtarzała za nim jak echo: dupa....

Tylko Cedzik rozumiał znaczenie tego komplementu.

Coraz częściej Hartman zatrzymywał się koło Nelly. Wreszcie poszła z nim. Musiała dobrze wiedzieć, gdzie idzie i po co. W progu przystanęła i obejrzała się na Hortensję.

Cedzik odwrócił głowę i zobaczył wykrzywioną rozpaczliwie twarz Karra. Po raz pierwszy Jamajczyk nie śmiał się. Patrzył ku drzwiom chwiejającym się po przejściu dziewczyny i płonął żądzą mordowania.

Gdy zobaczył, że Cedzik patrzy na niego, poruszył głową, jakby zrzucał z twarzy wyraz rozpacz i złości i nagle roześmiał się szyderczo.

— *You know? You know, she a tramp.*

Czy to miało znaczyć, że Nelly rzeczywiście jest włóczęgą bez domu?

— Poczekaj pan — powiedział Dotciński, gdy mu Cedzik opowiedział o Nelly — on się potknie. Tu oni mają swoją mafię. Czarni znaczą się. Trzymają ze sobą i jeden drugiemu pomaga. Hartmanowi takie gnienie Murzynek na pudłach w magazynie nie ujdzie na sucho. Niech tylko tak dalej.

— Co mu kto zrobi — machnął ręką Cedzik — on tu jak na swoich śmieciach.

— Coraz więcej Murzynów — mówił Dotciński patrząc w okno — coraz mniej porządných ludzi. Gdyby nie spłata za dom, dawno już odszedłbym.

Cedzik wstał. Jeszcze miał czas, ale nie mógł słuchać Dotcińskiego.

Rozmawiał z Karrem wypytując go o Jamajkę. W zimie, gdy deszcz i chłody dokuczały im obojgu, marzyli z Jadwigą, jakby to dobrze było wyjechać na Jamajkę. Inżynier Gorzak wyjechał i świetnie tam zarabia. Gdyby byli młodsii...

— *No good* — kręcił głową Karr — *no work, no food. Much money: very good. No work: very bad.*

Nie wiadomo było czy sam nie umie po angielsku, czy też stara się, aby Cedzik go zrozumiał. Wy tłumaczył, przecież jasno. Słońce, morze, piasek i palmy, ale *no work — no good*. Cedzik o tym dawno wiedział, jednak lubił marzyć. Dlaczego nie?

Zawsze planowali z Jadwigą wyjazd za morza, do cieplejszych krajów, do innych ludzi. Teraz nawet marzenia musiały ustać.

— Jedna pociecha — mówiła Jadwiga — że nasze dziecko będzie *British born*.

Z rozmyślań wyrwała Cedzika wielka kłótnia. Jak do niej doszło? Różnie mówili, w zależności od strony, którą trzymano. Najprawdopodobniej winą była po stronie Hortensji. Ona przecież czuła się poszkodowana zalotami Hartmana do Nelly. Dawno już patrzyły wrogo na siebie od dwóch stołów przedzielonych maszyną do kręcenia farszu i wieloma rurami plastikowymi.

Cedzik ujrzał je, jak darły się za włosy. Krzyk zrobił się ogromny. Kobiety piszczwały. Mężczyźni biegli, aby walczące rozdzielać.

Cedzik też pośpieszył. Na podłodze, mokrej i splamionej odpadkami mięsa, tarzały się dwie furie. Fartuchy fruwały, ręce, nogi gołe aż do pasa, skóra ciemna, fioletowa prawie, i skóra złota mieszały się jak w uścisku węzów. Darły się pazurami i gryzły, ze stóp pospadały pantofle i różowe pięty biły o podłogę, to śmigały górą kopiąc w powietrze.

Krzyczały przy tym wysokimi falsetami w nieznanym języku.

Najgorliwiej rozdzielał Karr. Wcisnął się na pół leżąc na podłodze między dwie harpie i próbował rozszczępić palce zwarte na czarnych pakułach włosów.

— *Wait* — zawołał mocny głos. Cedzik odwrócił się i zobaczył Watsona. Anglik schylił się ku podłodze, wziął do ręki rurę i jednym ruchem przerwał ją, czy rozkręcił. Z otwartego końca buchnęła woda. Watson skierował strumień na walczące dziewczyny i polewał je dokładnie.

To pomogło. Puściły się i powstały. Obok nich Karr. Wszyscy troje sapali i otrząsali się z wody. Dziewczyny patrzyły na siebie wściekle, ale milczały.

— *Go to work* — komenderował Watson.

Rozeszły się.

Hortensja już przy swoim stole odwróciła się i zawołała:

— *You Jamaican tramp. You bloody bitch.*

Na to Nelly zaczęła się śmiać triumfująco. Miała powód: była mniej poszkodowana, jedno tylko zadrapanie pod okiem i krew ciekąca z kącika ust. Włosy jej rozsypały się i była piękna w tej czarnej, splątanej masie otaczającej wysoko podniesioną twarz.

Hortensja miała podbite oko, puchnące z sekundy na sekundę, rozerwaną wargę krwawiącą jak befsztyk, nastroszone krótkie, sztywne włosy, w których brakowało kilku strzępków i podarty fartuch. Jej wielkie piersi wydobywały się na wierzch ledwo przytrzymywane brudnym biustonoszem.

Tak je zastał Hartman. Zjawił się już po bójce, gdy jeszcze sapały i prychały na siebie. Wszyscy dokoła wciąż milczeli nie mogąc zdobyć się na reakcję.

— Mr Hartman — powiedział Watson, który umocował wreszcie przewaną rurę — zrób sam porządek. To twój departament. Twoja sprawa.

Hartman w mgnieniu oka zrozumiał sytuację.

— *Black bloody hurren!* — krzyknął — *Crazy Dummkopfen.* Ja. Jak przymaluję jednej kurwie i drugiej — wołał po polsku i zaraz połapawszy się przeszedł na angielski — *I will not tolerate! I will not permit here to be any brothel.*

Zaczerwienił się z wściekłości i gotów był skoczyć albo w jedną stronę, albo w drugą. Patrzył tylko raz w prawo, raz w lewo ujarzmiając obie Murzynki wzrokiem.

— *You are doing brothel* — zawołał cienko Karr.

Skoczył na środek i stał przed Hartmanem wyzywająco. Był wyższy, ale tak szczupły, że wyginał się, jakby nim wiatr kołysał.

— *What, you?* — zdziwił się szczerze Hartman.

— *You are in it* — wołał Karr. — *Your bloody business. You fucking dog.*

Nagle Hartman uśmiechnął się, jakby mu ulżyło. Prawie po przyjacielsku spojrzał na Jamajczyka i podszedł bliżej. A potem w jednym mgnieniu uderzył. Pierwszym ciosem rzucił go na ziemię. Gdy Karr się podnosił, kolaniem rąbnął go w twarz i znów rozciągnął na podłodze. Potem czekał na Murzyna, gotów bić dalej, wprawnie, metodycznie, do ostatka.

Cedzik przełknął ślinę i szukał oczami czegoś, co mógłby wziąć do ręki. Wiedział, że to był nic nie znaczący odruch, że nigdy nie zdobyłby się na uderzenie Hartmana. Wziął jednak tłuczek do popychania farszu i postąpił krok naprzód.

Hartman musiał to dojrzeć, bo odwrócił się do Cedzika i skrzywił się wyzywająco.

Cedzik schylił głowę czując, że mu oczy nabiegają łzami.

Karr pozbierawszy się z podłogi podszedł do maszyny.

— *It is nothing* — mówił — *nothing. You shall see.*
Do kogo to mówił? Do Cedzika, czy do Hartmana?

Pracowali do końca dnia w takim milczeniu, że słychać było maszyny gdzieś w głębi budynku pod nimi. Czuli jak fabryka trzęsła się i huczała niby statek na pełnym morzu.

Hartman chodził bezustannie od stołu do stołu i przystawał kontrolując pracę. Dziewczyny rozmawiały tylko szeptem. Hortensja próbowała się uśmiechać, ale jej oko zachodziło spuchlizną.

Nelly upięła włosy, uporządkowała fartuch i trzymała wysoko głowę jak zwycięzca. Próbowała mrugać na Hartmana. On jej nie widział.

Karr zaś wodził wciąż wzrokiem za *foreman*'em i mruczał swoje: *You see. You see.*

Przed wyjściem Hartman podszedł do Cedzika.

— No? — zaczął jakby chciał wybadać, co Cedzik może powiedzieć. — No, Cedzik?

Ale Cedzik milczał uchylając się.

— Słuchajcie, Cedzik — wybuchnął Hartman — tu nie ma zabawy, albo tak, albo *los. Ja?* Nie ma zabawy! Ja tych czarnych zgnoję, *schwartzen gniden.* Ja ich zrobię na żółto. *Ja!* A wy Cedzik cicho. Ja nic nie chcę mówić, ani przypominać, ale znacie moją rękę, nie? Pierony murzyńskie. *Schwartz Dreck.*

— Co pan ode mnie chce? — odsuwał się Cedzik. — Ja idę do domu i nic nie wiem o niczym. Mnie to nie obchodzi. Ja nic nie chcę wiedzieć. Niczego nie chcę pamiętać.

— *To fajn, rychtyg fajn* — Hartman wyciągnął rękę, aby poklepać Cedzika, ale natrafił na próżnię. Cedzik odskoczył.

— Mam tego dość. Po same gardło! — mówił do siebie Cedzik wracając do domu. Ale gdy zobaczył Jadwigę grubą i nieruchawą, uśmiechającą się do niego całą swoją brzydką, rozlaną twarzą, tracił wiarę, że będzie mógł coś zmienić w swym życiu. Trzeba ciągnąć dalej.

Z tygodniówek u Bellsa już uskładali sobie trochę pieniędzy, które pozwalały patrzeć w przyszłość trochę weselej. Dziecko nie będzie nagie, znajdzie się na łóżeczko i może wózek.

Jadwiga ze wszystkiego się cieszyła, ale Cedzik stawał się coraz bardziej nerwowy.

— Najgorzej ze starymi ojcami — śmiał się doktor Łomicki. — W tym wieku nie powinno się płodzić dzieci.

Cedzik nie zdradzał się przed nikim ze swoich trudności w fabryce. Tak jak Dotciński, opowiadał o wspaniałościach Bellsa, tak jak major puszył się swoimi zarobkami i cieszył lekką pracą.

W nocy nie śpiąc przeżywał piekło. Znowu widział Hartmana na dziedzińcu obozowym zaganiającego barak na apel. Znowu czuł śmiertelny lęk, że na niego przyjdzie kolejka, że

dziś będzie jego dzień. I że nie wyjdzie żywy spod pałki i butów kapo.

Tylko żeby nie zauważył. Aż pewnego dnia kapo Hartman dostrzegł. Ale był w dobrym humorze.

— Hej ty — zawołał kierując na Cedzika swoją pałkę — pójdź no tu.

Zamiast bicia przyszło co innego. Cedzik skakał na czworakach, szczekał jak pies, podnosił nogę przy rogu baraku.

— Ja zawsze lubił psy — śmiał się Hartman — ty będziesz *mein Hund*.

Nikt nic nie powiedział. Cały barak udawał, że nie widzi. Gdy kapo przynosił *für mein Hund* pajdy chleba z masłem, biedni więźniowie patrzyli łakomie zazdroszcząc Cedzikowi szczęścia.

Ale jak to wszystko wytrzymać wspominając?

— Powinienem go zabić — stwierdził wobec siebie Cedzik i od razu wiedział, że to puste słowa nie zdolne nawet przynieść ulgi.

— Gdybyśmy znaleźli coś przeciw niemu — rozważał Dotciński, jakby to on potrafił zorganizować jakąś akcję.

— Jemu trzeba tylko dać sznurek — mówił Walkowski z załogi lodowni. — My znamy takich. Niech się ośmieli, niech zacznie naprawdę awanturować się, a sama administracja zrobi z nim porządek. *Give him a rope*, jak powiadają Anglicy.

— Gdybyśmy mieli jaki dowód przeciw niemu — powtarzał Dotciński. — Głowę dam, że był w SS.

— Dowód? Zastanawiał się Cedzik. Czy to co on ukrywał byłoby dowodem? W dodatku przecież Hartman uratował mu życie.

Ile razy spoglądał na bezczelną minę Hartmana, tyle razy chciał podejść do niego i uderzyć. Właśnie; tylko uderzenie w tę głowę mogłoby przynieść Cedzikowi ulgę.

Ale Hartman zbliżał się z uśmiechem porozumienia. *Wie du mir, so ich dir*.

Gdy Cedzik zasypiał, pochylała się nad nim twarz Karra szepczącego słowa pociechy:

— *You not worry your head. You shall see. You see.*



W poniedziałek rano poszedł do biura administracji.

Mister Smith nie poznał go i nie bardzo rozumiał.

— Ja nie chcę pracować, tam gdzie pracuję — powtarzał Cedzik — ja nie mogę.

— *O key, o key.* — Smith uspokajał Cedzika i wypytywał o co właściwie chodzi.

— Hartman? Ja wiem, że Hartman. Wy Polacy zawsze macie jakieś uprzedzenia. Ten nie chce pracować z kolorowymi, tamten zły na Hartmana.

— Nikt nie chce pracować z Hartmanem — zawołał Cedzik.

Mister Smith nie zareagował na ten okrzyk. Wyjął z szuflady wielki arkusz papieru, rozłożył go szeroko i studiował.

— Dobrze — powiedział nie podnosząc głowy — dam pana do magazynu. Grant dawno prosił o pomocnika.

I na tym sprawa się skończyła. Mister Smith już nie podniósł głowy, studiując coraz to inny papier. Cedzik powstał z krzesła, zaszurał nogami i wyszedł. W kancelarii nie wiedział, co dalej robić, ale ruda sekretarka jakby miała objawienie, wiedziała wszystko. Podała mu karteczkę. Parter, drzwi numer dziewiętnaście, na lewo od głównego magazynu.

Zdawało się, że w ciągu dosłownie pół godziny całe życie Cedzika uległo zmianie. Dostał kitel z drelichu khaki i biegał po fabryce roznosząc śrubki, kluczyki, zamki, noże do ostrzenia, ręczniki, zapasowe części do maszyn, wszystko o co wołano przez telefon.

Grant, stary i siwy Anglik, siedział za biurkiem i odbierał przez telefon zapotrzebowania. Wypisywał na kartce i wręczał bez słowa.

Szczęściem, pierwszym pomocnikiem Granta był Łopak, stary inżynier z Polski.

— No dostał się pan w dobre miejsce — przywitał Cedzika — ciepłe miejsce.

Cedzik patrzył na szeregi półek ciasno zastawionych rozmaitymi przedmiotami, których kształt, nazwa, przeznaczenie były mu zupełnie obce i myślał, jak sobie tu da rady.

— Nie trzeba się martwić, kolego — zrozumiał w lot Łopak — wszystko po tygodniu będzie proste. A tymczasem jakoś będziemy sobie pomagali.

Tylko z pozoru wszystko było proste i łatwe. Grant dawał karteczkę z wypisanym zapotrzebowaniem, Łopak brał za rękę i prowadził do odpowiedniej półki. I teraz zaczynało się uganianie po fabryce. To co poprzednio poznał, to była mała część. Teraz zagłębiał się coraz dalej i dalej w labirynt korytarzy, chodził do oddziałów, o jakich nie miał pojęcia. Piekarnia, wędzarnia, wielkie kadzie, gdzie połcie bekonu pływały się w ostro pachnących płynach, znowu piece tym razem wypiekające pierożki nadziewane mięsem, magazyny, laboratoria.

Wszędzie musiał dotrzeć. Wszędzie spotkał Polaków. Z każdym musiał choć kilka słów zamienić. Każdy pytał go o Hartmana.

To męczyło. Zamiast oderwać się od dawnego kapo, przybli-

żał się ku niemu. I znowu był jakby jego pupilkiem, tym który był najbliżej Hartmana.

— Jak tam ten bandyta Hartman?

— Wykończył pana, co?

— Takiego trzeba by przycisnąć raz w ciasnym kącie i koniec.

— Panie kolego, nie rozumiem, że Polacy nie potrafią zorganizować jakiejś wspólnej akcji.

Nikt z tych ludzi nie był poszkodowany. Nie stawali w obrobie Murzynów czy Murzynek. Uważali, że plami imię Polaka i za to trzeba go wykończyć.

Żaden nie miał powodu do nienawiści takiej, jaką płonął Cedzik.

Ale on właśnie mówił najmniej.

Zawędrował wreszcie na salę „chipolaty”. Ujrzał Hartmana urzędującego między maszynami.

Przy dawnej maszynie Cedzika nie było Karra. Stało tam dwóch smagłych, czarnych Pakistańczyków. Przybył też jeden Sikh w zielonym turbanie. Był stary, miał siwą brodę zwiniętą w wałek i garbił się nad michą farszu.

Nie było też Hortensji. Nelly w poplamionym chałacie wydawała się smutniejsza i brzydsza.

Hartman przyjął paczkę z żelaznymi ryjkami do maszyn do napełniania kiszek.

— No i jak, Cedzik? Fajno?

— Owszem — starał się zachować spokój. — Mam bardzo dobrą pracę.

— Ale pieniędzy mało?

To była prawda. Zarabiał o wiele mniej, za to wcześniej wracał do domu.

Uciekł z sali nie oglądając się. Gdy tak biegał po różnych oddziałach, dowiadywał się od plotkarzy o nowych wyczynach Hartmana.

— Pobił Sikha. Nikt nie wie dlaczego.

— Kombinuje z Greczynką Lisą. Taka czarna i sucha. Czy warto...

— Dostał znowu od Jonasa. Za Hortensję.

— Nie rozumiem — zatrzymał informującego Starościaka.

— No, nie wie pan? Oni już się raz bili. Jak zaczynał z Hortensją, to Jonas przyłapał go w bramie i nakładł Hartmanowi. Nikt niby tego nie widział. Nie było nikogo, aby świadczył.

— Co za Jonas?

— Ten co bije świnię elektryką.

W hali, gdzie ćwiartowano wieprze, spotkał Karra. Jamajczyk mrugnął na niego.

— *You shall see* — zawołał.

Nie wyglądał już tak wesoło jak dawniej. Twarz miał zmęczoną. Na jego fartuchu zaplamionym krwią i odpadkami kości wisiał długi prosty nóż.

Odrzuciwszy piłę tarczową, Karr złapał za nóż i zanim zaczął krajać raz jeszcze krzyknął Cedzikowi: *You shall see.*



Jadwiga czekała na rozwiązanie z dnia na dzień. Denerwowali się oboje coraz bardziej. Nie była młoda i przewidywali wszelkie komplikacje. Naturalnie nie mówili o tych obawach i to było jeszcze gorzej. Jej ręce się trzęsły. Narzekała na ciężką pracę, choć coraz mniej robiła, płakała bez powodu. Cedzik szukał ucieczki starając się wychodzić z domu jak najczęściej, pod byle pozorem, albo zasłaniał się gazetą.

— Jesteś nieczuły. Egoista.

Nie rozumiała, że lęk przed tym, co ich czeka, zaciskał mu gardło.

Pewnego wieczoru wybiegł do klubu i spotkał tam Wacka. Młody chłopiec ubrany był z krzykliwą elegancją i zachowywał się arogancko.

— Ma się pracę, panie Cedzik — wydymał wargi — człowiek nie potrzebuje orać a forsa leci. Trzeba mieć tylko główkę w porządku.

— Co pan robi?

— Handluję. Wszystkim handluję. Może pan kupi bilet na irlandzką loterię? A może trzeba panu czeków na wyjazd za granicę?

Odwrócił się od śmiejącego się bezczelnie Wacka i uderzył piersiami o Kolczyckiego. Ten rzucił się do całowania.

— Kopę lat. Co porabiasz? Jak się wiedzie?

Wreszcie zeszło na pracę. Gdy Kolczycki dowiedział się o fabryce Bellsa, skoczył po sufit.

— Ostatnie miejsce, gdzie można pracować. Natychmiast rzucaj to. Jeszcze dziś.

Cedzik roześmiał się. Nie mógł rzucać roboty w przededniu narodzin dziecka. W żadnym wypadku nie mógł tego uczynić „jeszcze dziś”.

Kolczycki, kolega jeszcze z gimnazjum, uważający się za wielkiego przyjaciela mniej energicznego Cedzika, nastawał.

— Ja ci dam polecenie do firmy elektrycznej. Tam właśnie potrzebują pomocnika buchaltera. Tyś kiedyś pracował w banku?

Cedzik wziął jakiś adres na kartce. Nie myślał więcej o nim. Obchodziło go tylko jedno: jutro musi iść znowu do fabryki. Chce, czy nie chce.



Szedł przez salę rzeźników. Odwracał oczy od zakrwawionych tułowi jadących wzdłuż rowu na odpadki i czarnych, czerwonych i żółtych diabłów śpiewających ponurą pieśń i krających trupy świńskie po kawałku.

Szedł na drugie piętro do sali sąsiadującej z „chipolatami” Hartmana. Zatrzymał go Karr. Nie miał na sobie fartucha, był w czarnym swetrze i ciemnych spodniach. W cieniu korytarza nikł zupełnie i gdy stanął przed Cedzikiem zdawało się, że jak diabeł wyskoczył spod podłogi.

— Sesik — powiedział — ty idziesz na górę?

— Tak.

— Ty zawołaj Harrego. Pójdź do Harrego i powiedz, że Jonas czeka. Tylko to powiedz. Jeżeli nie będzie chciał iść, powiedz mu: Jonas na ciebie czeka, ty tchórzu.

— Co ty chcesz ode mnie? Po co ci Harry?

— *You shall see* — roześmiał się Karr pokazując zęby, jedną jaśniejszą plamę w swej postaci.

Cedzik poszedł i nim skierował się do sali numer dwa, zajrzał do Hartmana. Ten siedział na stole i gadał z dziewczynami. Maszyny szły, kiełbaski wypełzały spod nich napełnione i oślizgłe. On tokował z zadowoloną miną.

— Hartman — zawołał Cedzik po angielsku — *Jonas is calling you. Jonas waits for you.* Jonas na ciebie czeka.

Sprawiło mu przyjemność wykrzykiwanie tych słów. Ale gdy zobaczył jak wszyscy podnoszą oczy i martwieją, jak z twarzy Hartmana znika śmiech, a nachodzi na nią ponura złość, Cedzik przeraził się swego czynu.

Szybko wycofał się uciekając do sąsiedniej sali.

Potem zostawiwszy zapasowe narzędzia wracał do magazynu myśląc o tym czy dobrze zrobił wypełniając polecenie Karra. To mogło z jego strony wyglądać jak wypowiedzenie Hartmanowi wojny. Nie miał wątpliwości, kto w niej zwycięży.

Szedł zły na siebie i przestraszony. Myślał poważnie, że będzie musiał rzucić tę pracę i szukać innej. Otwartej wojny z Hartmanem nie wytrzyma.

Gdy schodził w dół pochyłym korytarzem, nagle stanął. Nastąpiła cisza. Maszyny dzwoniące łańcuchami, terkoczące zębatymi kołami zatrzymały się.

— Koniec pracy pomyślał Cedzik i ruszył szybciej.

Nagle przed nim, za zakrętem, zabrzmiał ryk człowieka zaskoczonego śmiertelnym niebezpieczeństwem.

— Ratunku. *Help. Mein Gott.*

Cedzik skoczył naprzód. Przed nim dwóch mężczyzn szamotało się z trzecim.

— Hartman! — krzyknął Cedzik, ale jakaś łapa miękka i słona spadła mu na usta i uciszyła go.

— *Quiet* — powiedział głos, po którym poznał Karra. — *Be very quiet.*

Cedzik widział, jak do dwóch mężczyzn podskakuje trzeci. Razem pchają Hartmana, który już nie krzyczy. Widać zatkali mu usta.

Z boku widać w ścianie oświetlony prostokąt. To okno wychodzące na miejsce bicia świń. Tam w dole urzęduje Jonas ze swymi cęgami.

Trzech ciemnych mężczyzn ciągnie Hartmana w stronę tego okna. Coraz bliżej. Podrywają mu nogi, zdzierają ze swych ramion czepiające się ręce. Pchają. Już są przy samej ścianie. Podrzucają ciałem Hartmana i spychają go w dół. Widać jak wielki *foreman* waży się na krawędzi żelaznej ścianki, jak przechyla się i leci.

Słychać teraz wrzask przerażenia.

Cedzik wyrывa się Karrowi i skacze do bariery. Karr za nim. Na dole Hartman spada rozczapierzony jak biały pajak. Uderza o grzbiety świń, przekręca się w powietrzu i pada na podłogę. Chwilę trwa cisza.

Przestraszone świny cofnęły się pod ściany. Hartman podnosi się i staje naprzeciw Jonasa pochylonego z obcęgami w rękach.

— *You black bastard* — woła Hartman i Cedzik widzi jak twarz jego rozciąga się grymasem nienawiści. — *I kill you.*

Cedzik chce wołać, ostrzegać. Hartman jest w swoim żywiole. Znów trzyma w swej pięści śmierć innego człowieka. To nie gniesienie Murzynek, to bój na śmierć. Zaraz skoczy z rykiem i nic mu się nie obroni. Ale gdy tylko ruszył na przód, nagle doskakuje do niego z boku czarna postać i wali pałą po głowie. Gdy z rykiem zwraca się w tę stronę, inny Murzyn bije go z przeciwnej. Trzech, może czterech szatanów skacze dokoła i biją. Hartman drze się wyrzucając z siebie straszne przekleństwa angielskie, niemieckie, polskie. Tamci w milczeniu operują pałkami.

Hartman pada na ziemię, podnosi się, znów pada. Wreszcie pokonany, pokrwawiony, w podartym kitlu, z potarganymi włosami unosi się na czworaki i zaczyna skomleć. Jak świnia? Jak pies? Słychać, że prosi o litość.

Kilkanaście świń przerażonych awanturą skupiło się pod ścianą jakby chciały w niej ukryć się, przebić ją tyłkami i uciec. Na czele świń Hartman z głową miotającą się w złości czy rozpacz. Na czworakach.

Jonas się rusza. Podnosi swe szczypcę i podchodzi. Hartman wrzeszczy ze strachu.

Cęgi zbliżają się coraz bardziej. Z dwóch stron ludzie z pałkami nie pozwalają Hartmanowi podnieść się ani skrócić w bok.

— Nie! Nie! — krzyczy Cedzik — Stop! Stop!

Za późno. Cęgi łapią Hartmana za kark i walą na ziemię. W tej chwili świnię zatrzymane u bramki, świnię spod ścian i kątów rzucają się naprzód i pokrywają wszystko. Cedzik widzi w dole tylko świnię tłoczące się w ciasnej przestrzeni.

Gdzieś z tyłu dochodzą głosy ludzi.



Odchodzi pomału. Opiera się o ścianę i idzie w dół. Potem po krętych schodach żelaznych trzymając się balustrady zstępuje do wąwozu ciemnego i pustego.

Staje opierając się o ścianę. Ociera pot z czoła. Stara się opanować drżenie nóg.

Po jakimś czasie słyszy przed sobą głosy. Ktoś biegnie. Świecą światło, wołają. Idzie mister Smith, a z nim główny manager, Downing.

— Jak to się stało? — woła Smith. — Kto to widział?

Spoza Cedzika wyskakuje ciemny Karr.

— On wpadł do świń. Musieliśmy zatrzymać maszyny. Upadł na głowę. Jego głowa się potłukła. Musieliśmy zatrzymać maszynę.

— Co za idiota — krzyczy mister Downing — jak można wpadać do świń?

— Może był pijany? — powiada Smith.

— Tak, pijany — woła Karr, a za nim już stoi kilka innych ciemnych i groźnych figur. — Wpadł. Sam wpadł. Na głowę. Mister Sesik widział. Tu mister Sesik.

Smith zatrzymuje się i patrzy na Cedzika.

— Tak — powiada Cedzik — widziałem.

I potem dodaje wolno jak nauczoną lekcję:

— Sam wpadł. Przechylił się i wpadł. Krzyczał. Musiał upaść na głowę i zabił się.

— *He killed himself.*

— Nie bądź głupi — woła Downing — on się nie zabił. Nikt nie zabija się wpadając między świnię. On się tylko skończył ten wasz Hartman.

Cedzik widzi jak w falistej blasze otwierają się niewidoczne drzwi i stamtąd wychodzi grupa ludzi. Dwóch prowadzi trzeciego.

Podpierany włócząc nogami, z głową zwieszoną na piersi postępuje Hartman. Żyje. Głowa bezwładnie chyli się to na tę,

to na tę stronę. Hartman coś mówi, rękami wykonuje jakieś gesty.

Przechodzą obok Cedzika. Hartman podnosi głowę i Cedzik widzi z przerażeniem jego zakrwawioną, ciemną od siniaków czy brudu twarz.

Cedzik kurczy się przerażony, ale Hartman nie poznaje go. Ma mętne oczy i szepcze coś do siebie.

A potem zaczyna płakać cienko, piskliwie jak dziecko.

Prowadzący go dwaj Irlandczycy, szoferzy ciężarówek, odchodzą. Za nimi idzie Smith, za Smithem Downing. Cała kawkada.

— *You see* — Karr kładzie rękę na ramieniu Cedzika — *Finish. No more mister Hartman. No more Harry. You see?*

Cedzik odwraca się od Murzyna. Opiera się czołem o ścianę.

— *You very good* — mówi Karr. — Teraz wszystko o *key. You see.*

Cedzik nie słyszy. Wymiotuje wyrzucając resztki niestrawionego obiadu, aż po pokłady gorzkiej żółci.

Potem idzie ku bramie. Po drodze zdejmuje płaszcz drelichowy i rzuca na ziemię. Przeciska się między samochodami, otwiera bramę i idzie aż do szosy. Tam staje patrząc na szare w dali miasto.

Domy, domy, warsztaty, fabryki, biura. Za plecami Cedzika za chmurami zachodzi słońce. Przed nim ciemne niebo nasuwa się nad światła miasta pojedynczo wydobywające się z ulic, ożywające domy, światła wiszące na drzewach w parkach.

Cedzik nie widzi miasta, ale je czuje. Wierzy, że w jednym z tych domów, w jakiejś fabryce czy biurze czeka na niego praca. Nowa praca, inna praca. Taka praca, przy której będzie chodził wyprostowany.

Z lewej szumi nadjeżdżający autobus. Cedzik odwraca się i patrzy na wielką ciężką fabrykę Bellsa i myśli, że nigdy nie potrafi zrozumieć dlaczego bał się Hartmana?

I nie zrozumie też, dlaczego nie cieszy się z końca tej świńskiej sprawy.

Czesław DOBEK

Koniec

Budzik zadzwonił o siódmej. Wstaję natychmiast. Myję się, golę, jem śniadanie z dwóch jaj na miękko, kawę czarną piję, zagryzam pajdą razowego chleba. Około ósmej jestem gotów. Żegnam gospodynię, prosząc by przygotowała podwieczorek jak zwykle na 17.30.

Nieźmiernie pocziwa kobieta. Wdowa. Mąż zginął w ostatniej wojnie. Syn jednak pogrobowiec mieszka na wsi. Czasami przyjeżdża na *week-end* z żoną i dwoma pociesznymi bachorkami. Zazwyczaj zajmują mój pokój. Ja wówczas przenoszę się do pensjonatu kilka ulic dalej przy Gresham Gardens.

Jest tu nas kilku. Pani Honoria opiekuje się nami jak własnymi dziećmi.

Poranek jest mglisty lecz słoneczny. Około jedenastej zacznie się upał. Wsiadam do autobusu, jadę trzy przystanki i wysiadam niedaleko „Pompy”. Stoję przed niezwykle delikatnie rzeźbioną, jak na to oschłe miasto, fasadą romańską św. Wita. Wchodzę. Modłę się chwilę za spokój duszy Róży. Wychodząc, wrzucam do skarbonki dwa złamane spinacze na rehabilitację nieletnich przestępców.

Dzieci idą do szkoły. Dziewczynka z ciężkim tornistrem waha się na krawędzi chodnika. Biorę ją za rączkę i przekonawszy że ruch na moment ustał, przeprowadzam ją na drugą stronę. Dyga uprzejmie. Ma siedem lat i dwóch braciszków. Jakie miłe dziecko! Wracam z powrotem na lewą stronę. Idę szybkim krokiem w kierunku Zwierzyńca. Tu mam autobus nr 31. Czekam długo. Starsza pani tuż za mną zaczyna się denerwować. Obawia się, że nie zdąży na pociąg. Jedzie do Ashby-de-la-Zouch pożegnać kuzynkę która emigruje do Tierra del Fuego. Łże, jak z nut! Ale, żeby nie zwracać na siebie uwagi, ustępuję jej miejsca w kolejce i w nagrodę otrzymuję obrzydliwą cytrynową landrynkę.

I właśnie nadjeżdża upragniony dylizans. Wsiadając, sprawdzam tylną lewą kieszeń. To jest oczywiście odruch nerwowy. Wypukłość „przedmiotu” i tak daje o sobie ciągle znać, szczególnie od chwili gdy znajduję w tym wehikule miejsce siedzące. Mijamy znajome aleje, sklepy i parki. Za sztachetami mignęła właśnie zieleń przypominająca Ogród Luksemburski.

Ileż tam dziecinnie błogich dni spędziłem, biegając po żwirze w marynarskim ubranku. Potem minęły lata. Matka umarła. Podróżowałem. Znów zaszedłem tam pewnego popołudnia. Usiadłem na ogrodowym krześle przy kamiennej balustradzie. Wnet nadciągnęły chmury, spadł ulewny deszcz. Najpierw skryłem się pod drzewami. A gdy i tam ciężkie krople zaczęły przenikać i poczułem zimno, pobiegłem do kiosku okolonego markizą i tłumem zmokłych spacerowiczów. Zamówiłem kawę i koniak.

Niby tu w gwarnym mieście jest rażniej, panuje solidarność ludzka do której każdy z nas stara się coś dołożyć. A tam daleko, daleko, miliony gwiazd, tak odległych, że... jak wyobrazić sobie te odległości?! A stale zbliża się przecież moment, kiedy słońce dosięgnie swego kresu: nagłego, szalonego natężenia gorąca. W kilka chwil cała nasza planeta spłonie. Ma to się stać za ileś tam milionów lat. Mnie nie będzie. Nikogo z nas tu już nie będzie. Minie nasza cywilizacja, powstanie inna. Za sto tysięcy lat zaczną wykopywać pozostałości po nas, domyslać się, błędnie oczywiście spekulować. Odkopią śmieci i rupiecie, rzeczy istotne zaginą bezpowrotnie. Mamy przykład Sumerii, Egiptu, Grecji, Rzymu. Będą się zastanawiać kim myśmy byli, snuć domysły, kiwać głowami, rozводить się o naszym prawodawstwie, naszej moralności.

Potem znów miną epoki lodowe, setki tysięcy lat, zmieniają się kontury wybrzeży, wybuchną wulkany, nastąpią przemiany geologiczne. A potem? Generalny kataklizm. Apokalipsa. Sąd ostateczny. Koniec. Na naszej planecie spłoną wszelkie oznaki życia. Nie będzie komu tego prochu odcyfrowywać. Chyba, że ktoś odbywający podróż międzyplanetarną, wylądował tu może czystym przypadkiem i zacznie grzebać w tych popiołach. Ale i on nie znajdzie nic. Machnie ręką i powróci do swej maszyny. Znów uda się w przestrzeń, myśląc — *ot, jeszcze jedna pustynia*. A może zastanowi się — *stąd przecież trafiły do nas niedawno sygnały radiowe nadane tysiąc lat temu*. Nawet jeśli tak pomyśli, nam wszystkim cóż z tego?

Berlin w styczniu 1919 r. Wyprowadzają Różę bocznym wyjściem hotelu Eden. Zgodnie z planem, jeden z żołnierzy uderza ją z całej siły w głowę. Nieprzytomny, obficie krwawiący ludzki strzęp, leży na tylnym siedzeniu pędzącego auta. Wkrótce już wrzuca ciało do mrocznego kanału. Koniec. Z nieugiętą wolą zwal-

czała kompromisy rewizjonistów i oportunistów. Nie tylko przeznorni burżuje, ale i członkowie partii, którzy na socjalizmie zrobili kariery, dziś mądrze kiwają głowami: *no tak, no tak, gwałt rodzi gwałt*. Skurwysyny!

Przechowujemy naszą historię w archiwach. Wykuwamy ją w pomnikach, odlewamy w brązie, fotografujemy, powielamy, drukujemy, mikrofilmujemy, utrwalamy na taśmie. Wszystko. Akropol. Codex Justinianus. Nos Kleopatry. Kalesony Cezara. Gorset Grety Garbo. Melodie Kurt Weilla. Jest to wysiłek desperacki, próżny gest rozpacz. Wszystko zniknie, zaginie.

Wysiadam na Knightsbridge. Wchodzę do kawiarni i zamawiam kawę. Czytam gazetę. Wołam kelnera. Daję mu pół korony. Kłania się. Wychodzę.

Idę odwiedzić Leona w małej prywatnej klinice niedaleko stąd. Zawsze staram się do niego wpaść, gdy jestem w okolicy. Kiedyś bawiliśmy się razem w Ogrodzie Luksemburskim. Potem drogi nasze się rozeszły. A teraz on przedwcześnie dogorywa w londyńskim szpitalu. Po drodze kupiłem mu dziennik i kilka sado-erotycznych dreszczowców. Już dawno zmuszony został zarzucić pracę edytorską nad papirusami Drugiej Dynastii. Wymieniamy kilka nic nie znaczących frazesów. Jest 11-ta z minutami. Muszę już iść. Ściskam go za rękę. Jestem znów na ulicy. Słońce przygrzewa.

Mam spotkanie z referentem od spraw kulturalnych i społecznych pewnej znanej organizacji charytatywnej. Rozmawiamy na temat rent starczych, problemów szkolnictwa, wzrostu przestępczości oraz handlu narkotykami wśród młodzieży. Wyżywa też sprawa zaopatrzenia sierocińców w najlepszy, najnowocześniejszy ekwipunek. Obiecuję czek na £ 2.000. Morrison jest przejęty. Pijemy sherry, wytrawne, ale za ostre jak na mój gust. Nie daję jednak tego po sobie poznać. Zdecydowany uścisk dłoni. Wychodzę.

Odruchowo znów macam się po lewym pośladku. Oczywiście „instrument” jest. Każdy krok zbliża mnie. Jestem już niedaleko. Nie, nie jestem w pobliżu. Gdzie ja jestem? Czuję głód. Mija właśnie południe. Po kieliszku sherry apetyt znacznie się zaostrzył. Jestem gdzieś na tyłach Caledonian Road wśród obskurnych kamienic przeznaczonych na rozbiórkę. Wchodzę do najbliższej jadalni cuchnącej smażonym łojem. Obsługuje brudna uperfumowana Irlandka. Menu pretensjonalne i okazuje się, że większość dań wypisanych na przesadnie wykwintnej karcie nie istnieje. Ale nie chcę już wychodzić, jest pusto i krzesło nieoczekiwanie wygodne. Wyjmuję gazetę i czytam chwilę w spokoju.

Staram się życiu znów nadać sens. A w moim wypadku to nie jest łatwe, bo przecież jestem takim bohaterem, o jakich

wciąż pisują dziennikarze. Otworzę jakiś tygodnik, miesięcznik, magazyn ilustrowany po francusku, po angielsku, po polsku, po niemiecku wciąż to samo: zaczął jako parobek, jako kelner, oddźwierny, chłopiec do posyłek, marksista. Nagle coś zaświtało w tej łapetynie, coś zmajstrował, coś ukradł. Pomieszał, oszukał i najpierw sklepik, potem warsztatik, potem filia, dom towarowy, fabryka, międzynarodowy koncern i kilkumilionowy obrót. Wreszcie fortuna, koneksje międzynarodowe, wywiera presje pospodarcze na skorumpowane rządy pomniejszych państweczek. Pieniądz traci dla niego wszelką realność.

Bomby spadają na jakąś wioskę, jakieś miasteczko. Kogoś gazują w komorze, rozstrzelują, ktoś tonie, ktoś zostaje spalony na śmierć. Jakie możliwości tu giną? Artykuły w gazecie, komentarze, fotografie, ewentualnie jakaś książka analizująca niepowetowaną stratę. 170 zabitych, tysiąc zabitych, milion zabitych. Ofiary głodu, bestialstwa, koniec. Wspólny dół. Trzęsienie ziemi na przykład. Matka go rodziła z miłości, niańczyła, raczkował, chodził, chował się może w jakiejs wiosce malajskiej, może w rodzinie mieszczańskiej środkowej Europy. Potem szkoła, obawy i nadzieje rodziców, potem trzask, koniec. Tak będzie z naszą ziemią kiedyś. Za milion czy za dwa miliony lat. Te cyfry nic nie mówią. Jestem przecież milionerem. Cóż to jest milion dolarów, funtów, franków, lat świetlnych.

Kończę obiad. Wychodzę. Wsiadam do taksówki.

Teraz zaczyna się akcja. Każę się wieźć na Charles Street przez most. Oczywiście dla zatarcia śladów. Potem koleją wracam na północ, idę szybko do autobusu nr 77 i wskazuję do odjeżdżającego właśnie piętrowego wehikułu. Wsiadam. Znow idę kawałek pieszo i jeszcze raz biorę taksówkę. I oto jestem w recepcji Hotelu E—.

— Czy zastałem pana V. Beaufort-Strzeleckiego?

— Owszem, pokój nr 17 na III piętrze. Winda jest tuż na prawo.

— Dziękuję.

— Bóg zapłać.

— III piętro — mówię windziarzowi.

Pluszowa komnata z lustrem jedzie do góry. Światelka zapalają się i gasną. Drzwi nagle otwierają się. III piętro, pokój nr 17 tuż obok. Pukam.

— Proszę.

Wchodzę.

— Jak się masz mój drogi.

— Właśnie oczekiwałem ciebie.

— Co słychać?

Rozmawiamy. Gadamy. Dyskutujemy i konwersujemy. Victor pokazuje mi zdjęcia żony i dzieci. Wrócił właśnie z Afryki, gdzie budował szkoły i polował na czarnych.

Wyciągam więc ten pistolet z tłumikiem i strzelam trzy razy w głowę. Beaufort pada jęcząc i charcząc.

Zdejmuję twarz i perukę, zmieniam ubranie. Nastawiam radio. Hilversum II nadaje *Symphonie funèbre et triomphale* Hectora Berlioza. Wszystko więc się zgadza. Wychodzę znanym mi bocznym wyjściem.

Adam CZERNIAWSKI

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM CXXXVIII

WITOLD GOMBROWICZ

DZIENNIK (1961-1966)



OPERETKA

Str. 256.

Cena F 16,50 (24/6; dol. 3,50)



TOM CXXXIX

ALEKSANDER HERTZ

REFLEKSJE

AMERYKAŃSKIE

Analiza współczesnej rzeczywistości amerykańskiej opracowana przez autora „Amerykańskich stronnictw politycznych”.

Str. 260.

Cena F 16,50 (24/6; dol. 3,50)

Bogumił ANDRZEJEWSKI

ZAMACH STANU — REWOLUCJA — SZAKALONIDZI OBEJMUJĄ WŁADZĘ

„Co to za wariat! Jak można telefonować do kogoś
O godzinie drugiej trzydzieści nad ranem! —
Halo, kto mówi?” „To ja, Benedykt, słuchaj,
Musisz powziąć natychmiastową decyzję: uciekać
Czy zostać. Jest rewolucja”. „Kto to robi?”
„Szakalonidzi. Rzucili się do gardła władzy.
Rozszarpują państwowy aparat. Cała szopka teraz
Wychodzi na jaw. Rzeczywistość jest przerażająca,
Zamach podłużnych twarzy na gigantyczny zrab administracji”.
„Czy to naprawdę Szakalonidzi?” „Tak. Podejdź do okna,
Popatrz w dół pięter na kosmate tłumy, posłuchaj
Jak tupią w bęben bruku, jak od ich stóp szalonych
Szywnieje kark ulicy. Patrz jak idzie ich przeraźliwa
Orkiestra, człapiąc pod prąd wiatru przez osłupiałe miasto.
Grają na brzękliwych wklęsłych szakalonach odurzające pieśni,
W blasku rozpętanych pochodni lśnią się ich podłużne twarze”.
„Czy jeszcze się można ocalić, czy to już teraz rzeczywisty
Koniec wszystkiego? Mów co będzie dalej? Co zrobić?
Jak uciec?”

W telefonowych ustach *rigor mortis*, cisza
Bardziej niż śmiertelna. Ktoś musiał poprzecinać sznury.
Winda też zatrzymała się w miejscu, pozbawiona elektrycznej
Transfuzji. Widocznie spragnieni Szakalonidzi wypili
Magnetyczną krew ze wszystkich przewodów stołecznego miasta.
Teraz wyją coraz mocniej, palą cuchnące pochodnie,
Szarpiają się na zakrętach, strzygają przetężonymi uszami.
„Jeśli w dół skoczysz”, mówię do siebie u okiennej futryny,
Pochylony nad ośmiopiętrową przepaścią, „będzie śmierć:
Zderzenie z brukiem i sierścią ścieśnionych Szakalonidów

Idących zwartym szykiem przez miasto rozchylbotane,
Oszołomione brzękiem tysięcy szakalonów. A wzwyż?
Też nie można rzucić się w niebo przez chmury przesycone
Lotnym ołowiem. Nie przecisnąć się przez nie nawet
Najbardziej śmigły, śliski helikopter, nie przebije ich
Nawet najbardziej prężny, odrzutowy, rakietowy kosz.
Dom jest okrążony zalewem węszących nosów i kłów;
Jak znaleźć wyjście z takich kosmatych obieży?
Telefon milczy. Jak Benedykt rozwiązał ten problem?
Myśl nagle strzela w tarczę lustra, jedyne w tej chwili
Okna, przez które widać nadlogiczny wymiar całej sprawy:
Przebrać się za Szakalonidę, mieszać się z kudłatym tłumem:
Dobić któregoś z tych, co nadwyreżeni nadmiarem uniesień
Ledwie gdzieś dyszą w zaciemnionych zakamarkach podwórza,
Zerwać maskę z czerepu, nasunąć sobie na twarz i iść i iść
I iść i iść i iść i iść.....

Czy jeszcze przed świtem
Dobrnąłbym przez tłum do nadwyreżyn lasu, a stamtąd
Do rzeki, by spłynąć tratwą do oceanu wyzwoleń? Lecz jak
To będzie z tym graniem na szakalonie, jak oni to robią?
Czy nie zauważą może, że ja tylko tak..." Mówię lustru,
„Wytęż wzrok! Przeniknij mnie, przez czołową kość.
Tam z tyłu, w izbie mojej czaszki, tuż za gruczołem
Szyszkowym, leży album pamięci. Szukaj wśród fotografii.
Tam zaraz po prawej stronie. Czy nie widzisz gdzieś
Szarej schylonej postaci: stary pijany wędkarz grający
Na szakalonie w ostatnim półblasku zachodzących gwiazd,
I ciżba kosmatych uszu w półmroku nad ciemną wodą....."
„Tak, już mam". „Jak on gra?" „Po prostu tak: jedną łapą
Trzyma się za podchwyt szakalonu, a drugą, tą lewą,
Szarpie się dziką melodię, zaciska się pazury jak pas
Wokół mosiężnych przybrzeków".

Krok po kroku w dół.
Spuszczam się ku dnu ulicy powoli, jak pająk ostrożny.
Chóralny wrzask uderza w twarz jak dynamitowy podmuch.
Kudłaty zaduch podchwytuje za krtań, knebluje, dławi.
Coraz bliżej podwórza, coraz niżej, coraz bliżej
Rozkołysanej fali tłumy. Ile trzeba odwagi, ile siły
Żeby się rzucić na zemdlonego Szakalonidę! Czy go od razu
Zębami za krtań? Czy go tylko jedną ręką czy oburącz?
Podnoszę ciężką kamienną płytę wyłuskana z bruku na rozkaz
Głosów wewnętrznych, które nagle zaczęły odpowiadać na zew,
Pulsować harmonijnie w ten sam rytm, co szalone drgawki ulicy.
W zwierciadle parterowego okna widzę falę przerażających mar,
Przekrwione migotania okrutnie smrodliwych pochodni.

Teraz tylko puścić płytę, niech spada na kosmaty grzbiet.

Gdy się obudziłem ze snu czułem się dziwnie lekki, może nawet, Powiedziałbym, pusty. To chyba była zjawą. Przez radio O tym nic nie mówili i ja też nawet nie pamiętam dokładnie Jak zakończyła się sprawa, czy dotarłem do nadrzecznych wydm, Czy mnie potem z oceanu wybawiła zbawcza łódź podwodna. Gazeta też przemilczała mój sen. Było w niej mnóstwo Bardzo optymistycznych ogłoszeń, uśmiechniętych jak jajka Na talerzu, pokrzepiających jak kawa. Świat nasz, widać, Jest całkiem przyjemny i po przystępnej cenie. W windzie, Sąsiad, eupeptyk, żartowniś wita mnie paradoksalnym uśmiechem, „Wie Pan, ja dopiero dziś zauważyłem, że Pan ma bardzo, Bardzo podłużną twarz. Może Pan śpi za blisko okna albo Ma Pan bardzo wklęsłe lustro do golenia!” „Nie, to chyba nie Od tego. Ja wczoraj w nocy miałem bardzo podłużny sen, Opowiem Panu kiedyś, ale teraz pośpiech mnie pędzi Do mojej bobrowej pracowni”.

Ulicę śliczny poranek oczyścić
Z kudłatych postaci i zmór. Prócz samochodów cisza śpiewna.
Idzie się zupełnie lekko odkorkowaną ulicą. Rzędy drzew
Rozkwitających powiewają liśćmi telewizyjnym antenom.
Wystawy sklepowe potwierdzają proroctwa ogłoszeń.
Na pustym trawniku skweru bawią się bez troskie psy.
Wchodzę rześki do uniwersytetowych żeremi. Portier
Kochany nasz aforysta, pozdrawia mnie filozoficznie:
„Pan dzisiaj w dobrym humorze, jakby Pan jechał na chmurze
I błyszczał ponad światem w aluminiowym olśnieniu.
Lecz jeżeli Pan taki lotny, to dlaczego przebiera Pan tak
Palcami lewej ręki, jak gdyby Pan grał na szakalonie?”
„No, bo w prawej mam teczkę, a poza tym miałem w nocy
Bardzo brzękliwy sen. Opowiem kiedy indziej, bo teraz
Wnet ma być wykład i to ja niby mam mówić”. Otwieram drzwi,
Studenci siedzą spokojnie, niektórzy nawet smutnie
Czekają na natrysk wiedzy. Więc zaczynam, „Proszę państwa,
Przypomnę, iż w zeszłym tygodniu omawialiśmy szereg reguł
Dotyczących funkcji partykuł odczepnikowych w zdaniach
Podględnych i też system, który Benedykt Mar La Arag
Opracował dla ich rozistoczeń. Przypominam także,
Że porównaliśmy funkcje pojęciowe tych partykuł w zarysie,
Z punktu widzenia semantyki spektralnej i porównawczej,
Z członami wykańczalnikowymi w systemach zamkniętych,
Dzisiaj natomiast..... Dzisiaj natomiast.....
Dzisiaj natomiast..... Dzisiaj natomiast.....
Dzisiaj natomiast..... Dzisiaj natomiast.....”

Danuta Irena BIENKOWSKA

O ADAMIE ZAWSZE

*O Adamie zawsze,
Bo jego oczy patrzą nie patrząc,
I on sam nie jest,
Chociaż właściwie jest.*

*Więc go szukam wciąż,
Chociaż jest tuż koło mnie.
Czy to jego głos?
Czy to jego cień?*

*I chciałabym go ująć mocno,
Żeby go mieć choć przez chwilę,
Bo mi sływa przez palce
I głos jego ginie w przestrzeni.*

*Adam...
Cień na ścianie...
Światło księżycy...
Sen...*

TABLETKI

*Kup mi tabletkę na radość
Żeby zakwitły bzy,
Żebym uwierzyła w ciepłe, majowe słońce,
Żebym przestała wierzyć w śnieg.*

*Kup mi tabletkę na miłość
Żebym Cię pokochała,
Żebym uwierzyła,
Że byłeś dla mnie dobry,
Żebym przestała wierzyć w ból.*

*Różową tabletkę na radość,
Czerwoną tabletkę na miłość
I białą tabletkę na sen.*

*Bo kiedy przekwitną bzy
Będę biało śniła
O miłości pod śniegiem
O tabletkach w szkatułce,
O dniach przetykanych snem.*

*Sto tysięcy tabletek
Na wszystkie ludzkie bóle —
Abra kadabra, Boże,
Daj nam tabletkę na śmierć.*

NA HORYZONCIE SNÓW

*Te słowa nie były naprawdę
I nikt ich nie powiedział,
Te słowa tylko się tliły
Na horyzoncie snów.*

*Że może jeszcze raz,
Bo przecież słońce wstało,
Więc można raz jeszcze
Zacząć w takt.*

*Że ty i ja...
Do taktu...
W kole błędnych przeznaczeń...
Najpierw ty...
Potem ja...*

*Na początku było słowo
I to słowo zakwitło,
Potem byłeś ty.*

*Potem zbudziłam się ja
I poszłam za Tobą do taktu
Szukać raz jeszcze słów.*

*Na horyzoncie przeznaczeń
Wstaje następny dzień.*

*I nic nie wiem, nie czuję,
Czy to będzie dzisiaj?
Czy to będzie jutro?
Czy to będziesz ty?*

*Lecz już jestem... do taktu,
Już cię szukam... do taktu,
W błędnym kole przeznaczeń,
Na horyzoncie snów.*

Josif BRODSKI

PRZEPOWIEDNIA

*Będziemy z tobą mieszkali nad morzem,
od lądu wielką odgradzeni tamą
i zamykani o wieczornej porze
w krąg światła lampy, którą zrobisz sama.
Będziemy z tobą w karty wojowali,
gdy się szaleństwo przyptywu rozpali,
i pokastując, wzdychali nieznacznie,
gdy wiatr zbyt silnie okna szarpać zacznie.*

*Ja będę stary. Ty młodość zachowasz.
Ale i tak, jak uczą nas pionierzy,
przyjdzie nie lata już, a dni rachować,
myśląc o nowej, nadchodzącej erze.
My zaś w Holandii swojej, wprost przeciwnie,
wyhodujemy ogrody przedziwne,
będziemy piec ostrygi przy księżycu,
oraz słoneczne jadać ośmiornice.*

*Nad ogórkami niechaj szumią deszcze!
My opalimy się jak Eskimosi.
Na mokrym piasku plaż, dziewiczych jeszcze
odciśniesz ślady swojej nogi bosej.
A ja spojrzawszy w zwierciadło na siebie,
ujrzę jak z tyłu fala się kolebie,
i stary rzemień me ramię ociera
z oprawnym w otów licznikiem Geigera.*

*Nadejdzie zima, tarmosząc zbójecko
strzechę nad naszą chatynką drewnianą.*

*A jeśli kiedyś spłodzę z tobą dziecko
to je nazwiemy Andrzejem lub Anną,
aby, zmarszczonej twarzyczce przydany,
alfabet nasz nie został zapomniany,
by w pierwszym tchnieniu pierwszy dźwięk zagościł,
i miejsce swoje odnalazł w przyszłości.*

*Będziemy w karty walczyli — do czasu,
gdy kręty odpływ nas i nasze asy
porwie i rzuci daleko od brzegu...
A dziecko nasze nie pojmie niczego,
i na ćmę, w lampę tłukącą wieczorem,
będzie w milczeniu spoglądało same —
zanim nadejdzie i dla niego pora,
by się z powrotem przedostać przez tamę.*

1965

**

*Bóg na wsi w ciemnych kątach się nie chowa,
jak to szyderycy myślą, lecz jest wszędy,
uświęca sobą dachy, izby, sprzęty
i drzwi uczciwie dzieli na połowę.
Na wsi go pełno. Soczewicę rzadką
Bóg co sobotę gotuje w saganie,
i mruga, jakby chciał mnie wziąć na świadka,
w płomieniach senny wywijając taniec.
Bóg płot postawi, dziewczuchę wyswata
za leśniczego, a gajowym w borze
na polowaniach takie figle płała,
że żaden trafić do kaczki nie może.*

*Móc obserwować te sprawy z ukrycia,
wstuchanym będąc w kwietniowe poświęty —
jedyna radość to wiejskiego życia,
dostępna dla prostego ateisty.*

PIOSENKA

*Przez dróg długich rozstaje,
przez podniebne przestrzenie,
z ziemi włoskiej do kraju*

powróciwszy w milczeniu —
nad ojczystych łąk runią,
nad miłymi polami,
zimorodek przefrunął,
zatrzepotał skrzydłami.

Lecz, gdy w locie wysokim,
innym ptakom nieznany,
mijał w dole Alp stoki,
fijolkami przetkane —
choć patrzył co siły,
choć bezkresu się nie bał —
zobaczywszy mogiły
nie zrozumiał ich z nieba.

Więc wśród sosen, w obłokach
ptak przez chwilę zakrążył,
i, krzyknąwszy wysoko,
do ojczyzny podążył.
I wie tylko kraina
gór, wąwozów i maków,
że na Monte Cassino
było miejsce Polaków.

Pewne rzeczy nazwane po imieniu

Jest fatalnie nie mieć jasno określonych celów politycznych. Lecz chyba jeszcze gorszą polityką jest głosić i usiłować realizować cele wyłączające się wzajemnie.

Od tego typu polityk specjalistami są Polacy i Niemcy. Wszyscy Polacy teoretycznie pragną wyrównania stosunków z Ukraincami i Litwinami. Równocześnie jednak domagamy się zwrotu Wilna i Lwowa. Niemcy teoretycznie pragną wyrównania stosunków z Polską. Równocześnie jednak domagają się zwrotu ziem nad Odrą i Nysą. Tak Niemcy jak i Polacy życzyliby sobie poprawnych stosunków z Rosją. Równocześnie tak Niemcy jak i Polacy zgłaszają pod adresem Rosji postulaty, które można by zrealizować tylko w wyniku zwycięskiej wojny.

Niemcy chcieliby odgrywać coraz ważniejszą rolę w NATO — równocześnie jednak podtrzymują tezę, że sprawa zjednoczenia Niemiec spęda im sen z powiek. Gomułka teoretycznie pragnie uznania granicy na Odrze i Nysie — równocześnie przeraża go myśl odprężenia polsko-niemieckiego.

Litanie powyższych celów wyłączających się wzajemnie można by wydatnie przedłużyć — sądzę jednak, że nie jest to potrzebne.

Co stanowi źródło owych sprzeczności? Źródłem tych sprzeczności, tak w polskim jak i w niemieckim wypadku, jest staroświecko pojmowany, ciasny nacjonalizm.

Gomułce oczywiście zależy w pierwszej linii na utrzymaniu przy władzy „nowej klasy”, której przywódzi, i w tym celu wygrywa nacjonalistyczne nastroje społeczeństwa. Ustrój totalny nie może obejść się bez wroga. Lęk i nienawiść stanowią zasadniczą część składową każdego totalizmu. Gdyby doszło do wyrównania stosunków pomiędzy Polską a Niemcami — Niemców, jako wroga Nr 1, trzeba by kimś zastąpić. Państwo totalne musi mieć oficjalnego wroga, który dostarcza bodźca i usprawiedliwienia do permanentnej mobilizacji. Niemcy spełniają powyższą funkcję idealnie, ponieważ lęk przed nimi w Polsce jest jeszcze ciągle autentyczny.

Gdyby doszło do rzetelnego odprężenia pomiędzy Europą wschodnią a Niemcami — satelitwo, jako forma politycznej asekuracji — byłoby nie do utrzymania. „Cementu”, którym jest lęk przed Niemcami — nie byłoby czym zastąpić. Czechów, Węgrów czy Polaków nikt nie przekona, że Amerykanie planują podbicie i ujarznienie Europy. Ani NATO ani Amerykanie nie zagrażają bezpieczeństwu Europy wschodniej. Klasyczny, odwieczny wróg — to Niemcy, i gdyby ich brakło, sytuacja uległaby całkowitemu przeobrażeniu. Mam na myśli brak Niemiec nie jako państwa i narodu, ale jako tradycyjnego wroga.

Osobiście nie jestem optymistą w odniesieniu do Niemiec. Naród niemiecki, podobnie jak i naród polski, nie wszedł jeszcze w fazę po-nacjonalistyczną. Ów fakt żywi powszechną nieufność nie tylko na Wschodzie lecz i na Zachodzie. Zacytujmy znany przykład. Bronie atomowe w rękach Francuzów nie budzą niepokoju ani w Londynie, ani w Moskwie, ani w Warszawie. Natomiast możliwość dopuszczenia Niemiec do „klubu atomowego” wywołuje gwałtowny sprzeciw nie tylko wśród wrogów lecz i wśród sojuszników Federalnej Republiki. Europejczycy w wielu dziedzinach Niemców podziwiają i cenią, lecz nikt im w pełni nie ufa. To samo dotyczy problemu zjednoczenia. Zachodni Europejczycy przyznają Niemcom w tej sprawie słuszność — równocześnie jednak wizja zjednoczonych Niemiec budzi niepokój.

Nie jestem optymistą, ponieważ zmianie musiałby ulec tok myślowy większości narodu niemieckiego. W gruncie rzeczy jeszcze ciągle większość tak Niemców jak i Polaków — to są nacjonaliści. Nie oznacza to, że wszyscy nacjonaliści niemieccy są krypto-hitlerowcami — podobnie jak nie wszyscy nacjonaliści polscy są endekami. Analogie sięgają dalej i głębiej. Zarówno Niemcy jak i Polacy mają skłonność do rządów autorytatywnych. Zarówno Niemcy jak i Polacy wykazują niechęć do socjalizmu. Tak w Polsce jak i w Niemczech większość jest prawicowo-konserwatywna. Rząd socjalistyczny, wyłoniony w drodze demokratycznej, wydaje się równie nieprawdopodobny w Polsce jak i w Niemczech. Autorytetem w obu narodach cieszą się postacie typu Adenauera i kardynała Wyszyńskiego — prawicowi, religijni, ultra-konserwatywni patrioci.

Anatole Shub w jednym ze swoich szkiców poświęconych współczesnym Niemcom opisuje następujący epizod. Jak wiadomo, Mende spowodował rozłam w rządzie koalicyjnym Erharda. Kanclerz nie sięgnął po argumenty polityczne czy gospodarcze tylko powiedział do Mendego z goryczą: „Erich! Jak możesz torować drogę do władzy człowiekowi, którego synowie plugawią Żelazny Krzyż, który ty nosisz?”

Tytułem wyjaśnienia należy dodać, że dwaj starsi synowie Brandta brali udział w filmowej przeróbce utworu Günther'a Grass'a pt. „Kot i Mysz”.

Powyższa scena mówi więcej o mentalności „dobrych Niemców” niż tomy studiów. Dla Erharda — znakomitego ekonomisty i specjalisty od „cudów gospodarczych” — Brandt nie jest so-

cialistą, ale człowiekiem, którego synowie „plugawią” niemiecki Żelazny Krzyż (odznaczenie, które z dumą nosił do końca Adolf Hitler).

Scena: Erhard-Mende mogłaby się również zdarzyć w polskich warunkach. Dobrzy, konserwatywni Polacy myślą i reagują niezmiernie podobnie.

Uczciwy człowiek musi być przeciwny plugawieniu odznaczeń wojskowych. Lecz synowie Brandta „plugawili” Żelazny Krzyż tylko w ocenie Erharda. Istotną i psychologicznie rewelacyjną jest w tej sprawie hierarchia argumentów. W nacjonalistycznej perspektywie „dobrego Niemca” — ważniejszy jest utwór Grassa i rzekome poniewieranie orderów — niż socjalizm, reformy i wszystko inne.

Dla nacjonalistów przestrzeń jest symbolem narodowej wielkości. Rozmach gospodarczy — eksport kultury i wpływów politycznych — nie mają w sobie tej magii co ziemia. Włączenie błot poleskich w obręb granic Rzeczypospolitej — nęci Polaków niepomiernie bardziej niż trudna i ambitna polityka pokojowej przebudowy Rosji. Przez stulecia, my i Niemcy, byliśmy narodami rolniczymi. Ziemia to był chleb. Więcej ziemi oznaczało więcej chleba. Mimo, że Niemcy są dziś w pełni rozwiniętym narodem przemysłowym a Polska jest w 50% krajem przemysłowym — mistyka ziemi pozostała. Niemcy marzą o Wrocławiu i Katowicach, a Polacy o Lwowie, Wilnie a nawet Kijowie. Jest coś patetycznego w tym widowisku. Polskich i niemieckich nacjonalistów zupełnie nie martwi fakt, że w ramach tego typu polityki wszystkie zagadnienia przemieniają się dziś w kwadraturę koła. Dlaczego? Odpowiedź nie nasuwa trudności. Polityka nacjonalistyczna, której wyrazem jest ekspansja terytorialna, z natury rzeczy opiera się na niezależnym potencjale militarnym. Trzeba dysponować przeważającą siłą i mieć całkowitą swobodę jej użycia. Ani Niemcy ani Polacy nie dysponują przeważającą siłą i, co ważniejsze, nie mają żadnej swobody w angażowaniu swoich potencjałów militarnych.

W Europie, a w szczególności w środkowo-wschodniej Europie — wszystko odkłada się *ad calendas Graecas*. Niemcy oczekują mitycznego „traktatu pokojowego” — Polacy „zmiany koniunktury międzynarodowej (przez co rozumieją wydatne osłabienie Rosji). Tezą tego artykułu jest pogląd, że zmiana koniunktury międzynarodowej dokonuje się na naszych oczach. Najbliższe 10 lat mogłyby być „dekadą europejską” — gdyby Europejczycy zechcieli tę zmianę koniunktury w pełni wykorzystać.

Co stanowi istotę owej zmiany? Istotą tej zmiany stanowi fakt, że tak Rosja jak i Stany Zjednoczone zaangażowane są poza Europą. Rosja znajduje się w centrum potrójnego kryzysu. W Związku Sowieckim narasta kryzys wewnętrzny w postaci fermentu narodowościowego, społecznego i gospodarczego. Od Wschodu zagraża Rosji kryzys chiński — od Zachodu kryzys w obozie państw satelickich. Do pełni obrazu należy dodać Wiet-

nam, który działa paraliżująco na system podwójnej hegemonii sowiecko-amerykańskiej.

W połowie lutego br. ukazała się interesująca książka, amerykańskiego dziennikarza Harrison E. Salisbury, pt. „Orbit of China” (Secker & Warburg). Reportaże Salisbury’ego z północnego Wietnamu — wywołały nie tylko burze po obu stronach Atlantyku — lecz wpłynęły również na zmodyfikowanie wielu sądów i opinii. W cytowanej książce Salisbury wyraża pogląd, że przywódcy chińscy „będą zmuszeni do agresywnych akcji poza granicami swego kraju w celu zaspokojenia głodu ludności”. Salisbury uważa „za pewne” (*certain*), że wybuch musi nastąpić w najbliższej dekadzie, a być może znacznie wcześniej, jeżeli nie dopiszą kolejne zbiory ryżu.

W wywiadzie udzielonym BBC w dniu 16 lutego br. — Salisbury potwierdził tezę wyrażoną w swej książce i wystąpił z inicjatywą powołania do życia „Agencji Żywnościowej” przy OZN. Tylko trzy kraje dysponują poważnymi nadwyżkami żywnościowymi: Stany Zjednoczone, Kanada i Australia. Wszystkie nadwyżki — w myśl owej propozycji — winny być w dyspozycji Agencji Żywnościowej OZN, która byłaby odpowiedzialna za akcję dożywiania Chin, Indii i innych krajów „na linii głodu”.

Pomoc dla Chin nie byłaby bezwarunkowa. Pekin musiałby się zobowiązać do podjęcia polityki surowej kontroli urodzin. Osobiście wątpię czy można i czy wolno stawiać komuś takie warunki. Ludzie głodni zasługują na pomoc bezwarunkową i natychmiastową.

Wywiad Salisbury’ego był nadany przez BBC w tym samym dniu, w którym moskiewska „Prawda” po raz pierwszy wystąpiła z artykułem mającym na celu „oswoić” opinię sowiecką z możliwością konfliktu zbrojnego na Dalekim Wschodzie.

Przepowiadane wojny zwykle nie wybuchają — niemniej faktem jest, że Chiny wmanewrowały się w sytuację niemal bez wyjścia. Znajdują się na progu wojny domowej, na progu wojny z Rosją i na progu wojny ze Stanami Zjednoczonymi. „Rewolucja kulturalna” zdeorganizowała chyba komunikację, przemysł i rolnictwo. Według opinii rzeczoznawców skutki ekonomiczne ujawnią się w całej pełni za 8 do 10-ciu miesięcy.

Nikt nie wie co stanie się w Chinach — można natomiast uznać za pewne, że kryzys chiński spowoduje rosnące zaangażowanie w Azji tak Rosji jak i Stanów Zjednoczonych.

Na drugim krańcu imperium sowieckiego dyplomatyczna inicjatywa rządu w Bonn powoduje dysharmonię w chórze państw satelickich. Okazuje się, że Moskwie równie trudno jest montować jednolity front państw komunistycznych w stosunku do Chin jak i w stosunku do Niemiec.

Ci politycy na kontynencie, którzy pragną Europy niezależnej — powinni sobie powiedzieć: nasza chwila nadeszła. Jeżeli Niemcy i ich sojusznicy zachodni czują się na siłach na drodze samodzielnej inicjatywy politycznej rozwiązać problem europejski —

winni nie zwlekać, ponieważ równie korzystna koniunktura jak obecna może się nie powtórzyć.

Co stanowi istotę zagadnienia? Nie granica na Odrze i Nysie która *de facto* (choć nie *de iure*) uznana jest przez cały świat. Stosunki dyplomatyczne i misje handlowe, choć ważne i pożądane — nie stanowią również istoty zagadnienia. Podstawowym warunkiem przebudowy stosunków w Europie środkowo-wschodniej jest ewakuacja 20 dywizji sowieckich stacjonujących w NRD. To i tylko to, stanowi istotę zagadnienia.

Na powyższy temat tak w prasie niemieckiej jak i w prasie zachodniej panuje zakłamanie milczenie. Jest rzeczą wręcz komiczną głosić — jak czynią to pewni politycy zachodnio-niemieccy — że można by dyskutować problem uznania Niemiec wschodnich, gdyby w NRD panowały stosunki społeczne zbliżone do jugosłowiańskich. Tego typu twierdzenia ilustrują znakomicie „surrealizm” nowej *Ostpolitik*. Musi być jasne i oczywiste dla każdego obserwatora politycznego, że gdyby na terytorium Jugosławii stacjonowało 20 dywizji sowieckich — Jugosławia nie byłaby Jugosławią. W NRD nie nastąpi żadna liberalizacja dopóki trwa wojskowa okupacja kraju. Dopóki trwa okupacja, nie może być oczywiście mowy o zjednoczeniu.

Ryzykuję pogląd, że na terenie całej Europy, od Uralu po Atlantyk i Morze Śródziemne, nie ma armii, która odgrywałaby równie kluczową rolę jak te 20 sowieckich dywizji na terenie Niemiec Wschodnich. Dywizje te gwarantują podział Niemiec, podział Europy, chronią reżym Ulbrichta i powodują oskrzydlenie największego państwa satelickiego, tj. Polski, z dwóch stron — od Wschodu i Zachodu.

Sprawa granicy na Odrze i Nysie z punktu widzenia Bonn jest zagadnieniem prestiżu i polityki wyborczej. Uznanie tej granicy nie wymaga ze strony Niemiec żadnych ofiar. Rezygnują z terytorium, którego nie mają i mieć nie będą — ponieważ sojusznicy Niemiec nie udzielą im w tej sprawie poparcia. Politykom w Bonn wydaje się jednak, że uznanie granicy na Odrze i Nysie stanowi „atut”, który można będzie wygrać w czasie negocjowania mitycznego „traktatu pokojowego” z Niemcami. Ów „traktat pokojowy”, w 27 lat po ukończeniu wojny, jest taką samą fikcją jak „legalne” istnienie Niemiec w granicach z roku 1937.

Lecz wróćmy jeszcze do owych kluczowych 20 dywizji sowieckich na terenie NRD. Premier Kosygin, w czasie swej wizyty w Londynie w lutym br., nie pominął żadnej okazji by podkreślić konieczność uznania NRD. W wywiadzie telewizyjnym, w przemówieniu na bankiecie u Lorda Mayor'a Londynu, na konferencji prasowej po śniadaniu wydanym przez Foreign Press Association — Kosygin z nieślabnącym uporem starał się przekonać swych słuchaczy, że odprężenie w Europie zależy od uznania przez rząd w Bonn reżimu Ulbrichta i obecnych granic w Europie wschodniej. Postulat uznania NRD premier sowiecki wysuwał zawsze w pierwszej kolejności.

Dlaczego Sowiety przywiązują taką wagę do uznania NRD?

W mojej ocenie nie chodzi w tym wypadku o rząd Ulbrichta tylko o międzynarodowy status 20 dywizji sowieckich. Dopóki rząd NRD nie jest uznany ani przez Bonn ani przez Stany Zjednoczone i mocarstwa zachodnie — dywizje sowieckie w Niemczech Wschodnich są armią okupacyjną. Status tej armii jest anachronizmem, zwłaszcza jeżeli się zważy, że upłynęło przeszło ćwierć stulecia od zakończenia wojny.

Uznanie NRD zakończyłoby status okupacyjny — bez potrzeby ewakuowania wojsk okupacyjnych. Dywizje sowieckie w Niemczech wschodnich stałyby się wówczas armią sojuszniczą o identycznym statusie i charakterze jak brytyjska Armia Renu na terenie Federalnej Republiki. Imperium satelickie byłoby wówczas nie tylko zalegalizowane lecz i legalnie wojskowo zabezpieczone.

Gomułce i Ochabowi nic nie zależy na Ulbrichcie. Zależy im natomiast na utrwaleniu i ulegalizowaniu statusu dywizji sowieckich w NRD — ponieważ obecność tych jednostek gwarantuje nie tylko *status quo* terytorialny lecz i *status quo* ideologiczno-polityczny. Dopóki imperium satelickie jest oskrzydłone od Wschodu i Zachodu, dopóty poważniejsze zmiany są wyłączone, a tym samym interesy rządzących partii komunistycznych są zabezpieczone.

Z punktu widzenia sowieckiego NRD zajmuje kluczową pozycję w systemie satelickim. I dlatego uznanie rządu Ulbrichta nie byłoby uznaniem jeszcze jednego rządu satelickiego. W gruncie rzeczy to uznanie stanowiłoby akt niepomiernie większej doniosłości. Uznanie URD byłoby równoznaczne z ulegalizowaniem statusu dywizji sowieckich w centrum Europy, a tym samym byłoby równoznaczne z ulegalizowaniem podziału Niemiec i podziału kontynentu.

Prasa zachodnia niemal codziennie zamieszcza artykuły o nowej niemieckiej polityce wschodniej. Piszę się, że inne państwa pójdą niebawem śladem Rumunii i nawiążą pełne stosunki dyplomatyczne z Bonn. Niemal wszystkie czołowe pisma zachodnio-europejskie podkreśliły wielokrotnie, że próby wyizolowania Polski — doprowadziłyby nową *Ostpolitik* do bankructwa. Uważa się w pewnych kołach, że celem nowej *Ostpolitik* jest wyizolowanie nie Polski, ale reżymu Ulbrichta. Przyjmując wszystkie niemieckie oświadczenia za dobrą monetę trudno jest jednak zdobyć się na optymizm.

W postawie i w polityce niemieckiej jest coś fałszywego i zarazem nierealistycznego. Ponieważ Federalna Republika jest sojusznikiem Ameryki, Anglii i Francji — Niemcy uwierzyli, że należą do koalicji mocarstw zwycięskich. Bonn wszystkie trudniejsze decyzje odkłada do czasów zawarcia „traktatu pokojowego z Niemcami”. W moim przekonaniu do owego traktatu nigdy nie dojdzie — lecz gdyby kiedyś do takiego traktatu doszło — rząd w Bonn przy stole obrad reprezentowałby państwo pokonane, a nie zwycięskie. Traktat miałby na celu uporządkowanie sytuacji, jaka powstała w wyniku totalnej klęski Niemiec. Żadnym traktatem pokojowym *nie można klęski przekształcić*

w zwycięstwo. Tego ani rząd w Bonn, ani społeczeństwo niemieckie nie rozumieją.

Rosjanie natomiast traktują Niemców jak naród pobity. Oświadczenie Kosygina w czasie konferencji prasowej w Londynie w dniu 10 lutego br. wywołało w Bonn konsternację. Zwrócono się do TASS'a z prośbą o oficjalny tekst przemówienia. Oświadczenie Kosygina według urzędowego tekstu TASS'a brzmi następująco:

„W odniesieniu do Niemieckiej Republiki Federalnej muszę powiedzieć, że Niemcy będą musiały przystąpić do paktu nie-rozpuszczalnictwa broni atomowych, bez względu na to czy zechcą, czy nie zechcą. My nie pozwolimy Niemcom posiadać broni atomowych i podejmiemy wszystkie środki by uniemożliwić Niemcom posiadanie broni atomowych. Mówię to z najwyższą stanowczością”.

Kosygin nie jest Chruszczowem i wszystkie jego przemówienia są ostrożne i wyważone. A jednak wyżej przytoczony tekst jest czymś niesłychanym — jeżeli się przyjmie, że Niemiecka Republika Federalna jest państwem suwerennym.

Ze słów Kosygina wynika jasno, że Sowiety traktują nadal Niemcy za państwo pokonane, któremu Moskwa w pewnych istotnych sprawach może dyktować swoją wolę. W pewnej mierze trudno się temu dziwić. Trzeba sobie tylko uprzytomnić, że Sowiety okupują znaczną część Niemiec i na niemieckim terytorium utrzymują poważne siły zbrojne. W perspektywie polityki siły, nie ma zbyt wielkiej dysproporcji pomiędzy oświadczeniem Kosygina a stanem faktycznym.

Analiza przemówień Kosygina w ostatnich kilku miesiącach, a zwłaszcza jego wypowiedzi w czasie wizyty w Londynie — zdają się wskazywać, że Rosjanie zaczynają sobie zdawać sprawę z faktu, że źródłem napięcia w Europie Środkowo-Wschodniej jest nie tyle Federalna Republika, ile problem niemiecki. Wydaje mi się również, że przywódcy sowieccy zaczynają podejrzewać, że obecny podział nie jest ani trwałym ani idealnym rozwiązaniem kwestii niemieckiej.

Rosjanie wykazują niezmiernie wiele pragmatycznego realizmu w stosunku do Chin. Trudno uwierzyć, by ci sami ludzie w stosunku do Niemiec byli paranoicznymi historykami, którym widmo neo-hitlerysty przysłańca rzeczywistość.

Podział Niemiec, dywizje sowieckie w NRD — to wszystko stanowi polityczno-militarną aparaturę „żelaznej kurtyny”, której odpowiednikiem ideologicznym jest klisza reprezentująca NRF jako neo-hitlerowskiego potencjalnego agresora. Klisza ta nie ulegnie likwidacji dopóki likwidacji nie ulegnie „żelazna kurtyna”. Anty-niemiecka sztanca stanowi bowiem ideologiczne usprawiedliwienie „żelaznej kurtyny”. Nie oznacza to jednak, że oficjalna anty-niemiecka „drętwa mowa” pokrywa się z rzeczywistym rosyjskim rozeznaniem problemu niemieckiego.

Osobiście jestem przekonany, że przywódcy sowieccy zdają sobie sprawę, że obecne rozwiązanie kwestii niemieckiej jest złe

i na dalszą metę niebezpieczne. Lecz jaka jest alternatywa: Niemcy w granicach z 1937 r., uzbrojone, w sojuszu wojskowym ze Stanami Zjednoczonymi?

Rosjanie mogą oceniać obecne rozwiązanie za złe i niebezpieczne, lecz Niemcy nie zaproponowali do tej pory rozwiązania, które można by uznać za mniejsze zło. Niemcy zjednoczone i uzbrojone oraz wolne od ograniczeń nuklearnych — stanowiłyby z całą pewnością większe niebezpieczeństwo niż Niemcy podzielone i w części okupowane.

Dla przejrzystości ujmijmy wnioski wypływające z naszych dotychczasowych rozważań w następujące punkty:

I. Jak zaznaczyłem uprzednio, Rosja znajduje się w fazie potrójnego kryzysu i byłaby skłonna do ustępstw, lecz nie do kapitulacji. Sowiety pragną uniknąć za wszelką cenę konfliktu-kryzysu na dwóch frontach. Propaganda anty-niemiecka „cementuje” wprowadzie blok wschodni — Rosjanie jednak muszą zdawać sobie sprawę, że NRF selektywną polityką ma duże szanse by rozbić ów jednolity front. Moskwa musi sobie również zdawać sprawę, że niebezpieczeństwa, związane potencjalnie z podziałem Niemiec, są większe niż korzyści wypływające z anty-niemieckiej histerii, forsowanej w bloku wschodnim.

Konsekwencją bezwzględного realizmu polityki sowieckiej jest militarne ujęcie sytuacji. *Status quo* to nie jest Pankow i Ulbricht, tylko dywizje sowieckie na terenie NRD. Warunkiem podstawowym i właściwie jedynym zmiany *status quo* jest ewakuacja tych dywizji, nie do Polski, ale tam gdzie przynależą, tzn. do Związku Sowieckiego. Obiektywnie myślący obserwator musi stwierdzić, że sowieckich dywizji nikt nie wyprze siłą. Ewakuacji dywizji sowieckich nie można na Moskwie wymusić — lecz ewakuację tę można by wynegocjować — oczywiście za cenę pewnych ustępstw.

II. Przyczyną napięć i niepokojów w Europie Środkowo-Wschodniej jest sprzeczność celów polityki niemieckiej. Niemcy są pan-Europejczykami i równocześnie nacjonalistami. Są narodem pobitym i równocześnie wysuwają żądania, które byłyby realistyczne, gdyby nie Rosjanie lecz Niemcy odnieśli drugocześnie zwycięstwo pod Stalingradem. Domagają się zjednoczenia obu republik niemieckich, pragnąc jednocześnie odgrywać czołową rolę w NATO. Wysuwają absurdalne żądania terytorialne — rezygnując „oficjalnie” z użycia siły. Nie mają żadnych propozycji, tylko same postulaty. Nie mają niczego do zaoferowania — chcieliby natomiast wszystko otrzymać.

Polityka niemiecka nie sumuje się. Tworzy zestaw postulatów wyłączających się wzajemnie. Tego typu polityka budzi nieufność, ponieważ, nawet w przybliżeniu, nie można przewidzieć jej kursu.

Należy podkreślić dwa momenty. Rosja zainteresowana jest

bezpieczeństwem. Wydaje się, że Niemcy i ich europejscy sojusznicy osiągnęli znaczny sukces — ponieważ częściowo przekonali Rosjan, że obecny stan rzeczy nie jest rozwiązaniem idealnym. Z powyższej tezy wysuwam wnioski, że o ile dwa czy trzy lata temu Moskwa nie była skłonna do rozmów — o tyle dziś, być może, podjęłaby negocjacje.

I punkt drugi. Inicjatywa i szczegółowe projekty nie mogą wyjść od p. Rapackiego — tym mniej od p. Mieroszewskiego. Inicjatywa musi wyjść od Niemców — albowiem w przeciwnym wypadku byłby to rachunek bez gospodarza.

III. Niemcy jeżeli pragną odegrać jakąś rolę w przebudowie Europy — muszą wypracować hierarchię celów politycznych nie wykluczających się wzajemnie. Wydaje się oczywiste, że naczelnym celem polityki niemieckiej winno być zjednoczenie i ewakuacja dywizji sowieckich z NRD. Nie można planować żadnej polityki jeżeli kraj w znacznej części jest okupowany przez obcą armię. Sądzę, że postulat zjednoczenia i ewakuacji jednostek sowieckich jest tak kardynalnej wagi, że warto by zapłacić niemal każdą cenę, by go urzeczywistnić.

Diennikarze niemieccy, którzy w różnych okresach czasu odwiedzali mnie w Londynie — wysuwali pogląd, że należy czekać. Polacy czekali 150 lat i doczekali się. Niemcy gotowi są również czekać.

Fakt, że Polacy po 150-ciu latach niewoli doczekali się niepodległości — nie może stanowić logicznej przesłanki wniosku, że Niemcy doczekają się czegośkolwiek. Niemcy i po 200 latach mogą nie doczekać się niczego. Rosja może się rozpaść — lecz może również z czasem przebudować się w federalny związek niezależnych państw i, zgodnie z przepowiednią MacNamara, osiągnąć status super-mocarstwa globalnego. Trudności piętrzące się przed Rosją są olbrzymie, lecz ci, którzy od 50-ciu lat przepowiadają jej upadek zapominają, że i możliwości Rosji są olbrzymie. Wszystko zależeć będzie od tego, czy tempo ewolucji będzie dostatecznie szybkie, by dostosować „model” przyszłej Rosji do narastających przemian w sferach narodowościowej, społecznej i gospodarczej.

W sumie, polityka czekania może przynieść Niemcom rezultaty wręcz odwrotne od spodziewanych. Polacy po klęskach powstań czekali, bo nie mieli innego wyjścia. NRF nie jest w sytuacji bez wyjścia — przeciwnie ma do dyspozycji szereg rozwiązań.

I jeszcze są Chiny. Po śmierci Mao Tse-tunga może dojść do władzy frakcja pro-sowiecka. Chiny potrzebują uzbrojenia, pomocy technicznej, urządzeń fabrycznych i t.d. Żywność mogą kupić gdzie indziej — lecz uzbrojenie i pomoc techniczną mogą otrzymać tylko od Rosji. Zmodernizowania armii chińskiej mogą dokonać tylko Sowiety. Wyrównanie stosunków pomiędzy Moskwą a Pekinem — choćby czasowe — usztywniłoby niezmiernie stanowisko Rosji w Europie Środkowo-Wschodniej. Widmo konfliktu na dwu frontach zostałoby zlikwidowane.

W sumie należy stwierdzić, że chwila obecna wydaje się nader

odpowiednia do wszczęcia negocjacji z Moskwą w sprawie zjednoczenia i ewakuacji wojsk sowieckich z NRD. Niemcy jednak musieliby być gotowi do poważnych ustępstw. Rosja nie wycofa się bezinteresownie i nie ma powodu wycofywać się bezinteresownie. To nie Rosja tylko Niemcy przegrały wojnę.

Szczegółowe projekty „nowego porządku” w Europie mogą być najrozmaitsze — od stopniowej redukcji sił zbrojnych zaczynając, a na pasie neutralnym kończąc. Lecz bez względu na typ rozwiązania, jaki by w końcu przyjęto — uznać należy za pewne, że zjednoczone Niemcy nie mogłyby być członkiem NATO. Zjednoczone Niemcy musiałyby być politycznie i militarnie neutralne.

Polityka niemiecka musi wypracować jasną odpowiedź na dwa następujące pytania: 1) Czy ewakuacja wojsk sowieckich z NRD i zjednoczenie stanowią główny cel dążeń niemieckich? 2) Jeżeli odpowiedź na powyższe pytanie jest pozytywna — politycy niemieccy winni zastanowić się nad kwestią czy uczestnictwo NRF w NATO prowadzi do zjednoczenia obu niemieckich republik?

W mojej opinii odpowiedź na drugie pytanie musi wypaść negatywnie.

IV. Na Zachodzie, i częściowo w Niemczech, panuje przekonanie, że droga do zjednoczenia wiedzie przez „odprężenie”. Gdy wszystko się uspokoi i „odprężą” — wówczas w NRD nastąpią stopniowe zmiany, które z kolei umożliwią dialog, referendum a może nawet wolne wybory.

Powyzsza teoria, powiedziawszy krótko, jest nonsensem. Można by ją traktować poważnie tylko wówczas, gdyby na obszarze NRD nie było 20 dywizji sowieckich. Dopóki nie wynegocjuje się ewakuacji owych dywizji — w NRD nie nastąpią i nie mogą nastąpić żadne istotne zmiany. Jest rzeczą zdumiewającą, że niemieccy mężowie stanu — przywykli z tradycji do myślenia kategoriami militarnymi — mogą w tej sprawie mieć jakiegokolwiek wątpliwości.

Kwestia niemiecka jest przede wszystkim zagadnieniem bezpieczeństwa i równowagi militarnej. Żadne „odprężenia” tego faktu nie zmieniają.

Jak zaznaczyłem na wstępie, oceniam pesymistycznie politykę niemiecką. Rząd w Bonn miałby dziś możliwości zaproponować nowy system bezpieczeństwa w Europie, który zakończyłby sowiecką okupację w NRD i otworzył perspektywy nie tylko odprężenia, lecz realnej współpracy pomiędzy Wschodnią a Zachodnią Europą. Oczywiście Niemcy musieliby się wyrzec wielu rzeczy — nie tylko ziem na wschód od Odry i Nysy. W zamian, w nowej sytuacji, zjednoczone Niemcy mogłyby się stać ogniwem stabilizacyjnym systemu europejskiego i ciągnąć poważne zyski, tak gospodarcze jak i polityczne, z współpracy i pośrednictwa między Wschodem a Zachodem. Lecz to jest wizja, która mogłaby zafascynować naród o innej mentalności i odmiennym toku myś-

lowym. Być może pokolenie najmłodsze — urodzone po wojnie — nieobciążone tradycją — zdoła wydobyć się kiedyś z niemiec-kiej kwadratury koła.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

NAUKA A IDEOLOGIA

Czytając przemówienia dygnitarzy komunistycznych musi się dojść do wniosku, że ideologia stanowi anty-tezę nauki, ponieważ wypacza rzeczywistość. Jak wynika ze świetnego studium George Lichtheim'a — „On the Interpretation of Marx's Thought” — twórca „Kapitału” oceniał identycznie stosunek ideologii do nauki.

Marks czynił wyraźną różnicę pomiędzy naukowym a ideologicznym podejściem do badanych zjawisk. W jego opinii każde rzetelne osiągnięcie naukowe wzbogaca skarbiec doświadczeń ludzkości. Natomiast każda ideologia fałszuje rzeczywistość, ponieważ jedynym prawdziwym teoretycznym odbiciem rzeczywistości jest nauka.

Marks czynił wyraźną różnicę pomiędzy naukowym a ideologicznym podejściem do badanych zjawisk. W jego opinii każde rzetelne osiągnięcie naukowe wzbogaca skarbiec doświadczeń ludzkości. Natomiast każda ideologia fałszuje rzeczywistość, ponieważ jedynym prawdziwym teoretycznym odbiciem rzeczywistości jest nauka.

Marks nie zamierzał być założycielem nowego ruchu politycznego i nie leżało również w jego intencji fundowanie światu jeszcze jednej ideologii. Podstawowa teza oryginalnego marksizmu głosi jedność praktyki i teorii. Innymi słowy, marksizm był pomyślany jako praktyczny przewodnik klasy robotniczej w jej walce o emancypację. Z chwilą, kiedy na skutek zmienionych warunków społeczno-gospodarczych marksizm przestał pełnić funkcję praktycznego przewodnika klasy robotniczej w jej walce o poprawę bytu i społecznej pozycji — tym samym, jako teoria, utracił charakter i znaczenie przypisywane mu przez Marksa.

Karol Marks opierał się na analizie stosunków społecznych które panowały na Zachodzie w XIX wieku. Dziś na europejskim zachodzie i w Stanach Zjednoczonych robotnicy zdobyli dobrobyt i pozycję społeczną nieporównywalną z sytuacją klasy robotniczej w państwach komunistycznych. I tak oto powstała przepaść pomiędzy teorią a praktyką. By zabrukować tę przepaść powołano do życia ideologię. O ile oryginalny marksizm — tak jak go pojmował jego twórca — miał być praktycznym przewodnikiem klasy robotniczej — o tyle ideologia komunistyczna stała się praktycznym przewodnikiem „Nowej Klasy”. Ideologia komunistyczna w jej obecnej formie nie ma nic wspólnego z ruchem robotniczym. Jej jedynym celem jest zapewnić i usprawiedliwić panowanie nie robotników tylko panowanie „nowej klasy” nad robotnikami.

Wielu autorów amerykańskich i europejskich podkreśla, że w pewnych dziedzinach w Związku Sowieckim i w innych państwach komunistycznych

nastąpiła pewna liberalizacja. Lecz kogo dotyczy ta liberalizacja? Nie robotników — tylko biurokratów, technokratów, menadżerów — członków klasy panującej. Robotnicy nadal pozbawieni są prawa strajku i prawa do niezależnych związków zawodowych, a produktem ich pracy rozporządza arbitralnie „nowa klasa”, często w jawnej sprzeczności z interesami robotniczymi.

Należy podkreślić punkt następujący. W państwach demokratycznych ustrój rozwija się wraz ze społeczeństwem — ponieważ ustrój jest wyrazem ewolucji społeczeństwa. Na skutek ewolucji powstały nowe warstwy społeczne, Marksowi nieznane — a klasy, które niegdyś dominowały, zajmują dziś marginesową pozycję. Proletariat, któremu Marks wyznaczał uniwersalną rolę, zanika, a w jego miejsce powstaje klasa semi-inteligencji i inteligencji technicznej. Pomiędzy wysoko wykwalifikowanym robotnikiem a technokratą — na Zachodzie nie ma różnicy klasowej. Klasa robotnicza Zachodu przekształca się w klasę technokratów o płynnych wewnętrznych różnicach w wykształceniu i w skali zarobków. Związki zawodowe są potężnymi organizacjami, które zapewniają robotnikom współudział w zarządzaniu gospodarką narodową. „Nowa klasa” — rządząca tak w Związku Sowieckim jak i w Polsce — nie buduje socjalizmu, tylko rozbudowuje i umacnia swoją własną pozycję. Legitymacją klasy rządzącej nie jest marksizm tylko ideologia, której podporządkowana jest cała nauka i filozofia z marksizmem włącznie. Ów całkowity brak jedności pomiędzy teorią a praktyką — dostrzegli nawet ortodoksyjni komuniści jak prof. Schaff — czemu dał wyraz w swojej książce, ściągając na siebie niezadowolenie kierownictwa partii.

Pretensje do naukowości socjalizmu w wydaniu sowieckim oparte są na tezie, że Marks odkrył obiektywne prawa rozwoju procesu historycznego. Logicznie należałoby wnioskować, że studium historii winno być otoczone w krajach komunistycznych specjalną opieką, a historycy komunistyczni — uzbrojeni w oręż metody marksistowskiej — winni świecić przykładem całemu światu.

W rzeczywistości sytuacja przedstawia się wręcz odwrotnie. Studium historii, w prawdziwym tego słowa znaczeniu, w Związku Sowieckim w ogóle nie istnieje. Amerykański specjalista John Keep w swojej źródłowej pracy pt. „Contemporary History in the Soviet Mirror” — pisze, że w rozmowach ze studentami z ostatniego roku na wydziale historycznym uniwersytetu w Moskwie — stwierdził, że żaden z nich nie wiedział, że Trocki był komisarzem wojny i twórcą Armii Czerwonej. Można w końcu przemilczać rolę, jaką odegrały pewne osoby — jeżeli jednak przemilcza się fakty — wówczas historia przestaje być historią.

Pakt Ribbentrop-Mołotow Chruszczow nazwał „zdechłym szczurem”, którym dławią się historycy sowieccy. Wytworzyła się sytuacja absurda. Z jednej strony partia zmusza historyków sowieckich do obrony tego paktu, z drugiej strony nie wolno ujawnić jego pełnej treści. Jak powszechnie wiadomo, do paktu Ribbentrop-Mołotow dołączony był tajny protokół, który stanowił podstawę czwartego rozbioru Polski. Ów tajny protokół został sporządzony w dwóch oryginałach — w językach rosyjskim i niemieckim. Cytowany dokument był opublikowany na Zachodzie dziesiątki razy. Niemniej historiografia sowiecka przeczy istnieniu tajnego protokołu. W myśl oficjalnej sowieckiej tezy układ Ribbentrop-Mołotow był tylko „paktem nieagresji”, narzuconym Rosji przez okoliczności.

Przemilczanie faktów historycznych i fałszowanie dokumentacji — pro-

wadzi do hipotez podejmowanych na własną rękę. Dwóch historyków krajowych — nie znających się wzajemnie, którzy w różnych okresach czasu odwiedzili mnie w Londynie — wysunęło w rozmowie pogląd, że bitwa pod Lenino była „sfabrykowana” przez NKWD. Według tej tezy, NKWD dążyło do zdziśiatkowania Polaków nim dotrą do granic Polski. Faktem jest, że Pierwsza Dywizja pod Lenino poniosła 25% strat w dwóch dniach walki i została wycofana nie osiągnąwszy celów natarcia. Gdzie więc należy szukać przyczyn niepowodzenia, bez wątpienia bitnej jednostki, jaką była Pierwsza Dywizja?

Nie zamierzam formułować odpowiedzi na powyższe pytanie — chciałem tylko stwierdzić, że tam gdzie tuszuje się prawdę — każdy jest uprawniony do własnych dociekań, które mogą być fałszywe. Bitwa o Monte Cassino, która w przeciwieństwie do Lenino była zwycięstwem i to w wymiarze strategicznym — nie stanowi dla nikogo tajemnicy, ponieważ cała dokumentacja została opublikowana i wszystkie źródła dostępne są dla historyków. (W nawiasach należy dodać, że bitwę pod Lenino omawia w niezwykle rzeczowy i interesujący sposób — Tadeusz Nowacki w bieżącym [jedynastym] *Zeszytach Historycznym*).

Ktoś powie, że Sowiety — podobnie jak i inne państwa komunistyczne — fałszują swoją własną historię ze względów wewnętrznych i partyjnopolitycznych. Trudniej natomiast odpowiedzieć na pytanie w jakim celu Sowiety fałszują historię Turcji, Izraela, Indii, Brazylii czy Portugalii. Interesujący i zarazem zagadkowy jest stosunek historiografii sowieckiej do Izraela. Jak wiadomo, Izrael należy do nielicznych państw na świecie, gdzie niemal od początku sprawują rządy partie robotnicze i związki zawodowe a tzw. burżuazja jest w opozycji. Niemniej historycy sowieccy daleko pochlebniej oceniają stosunki panujące w Arabii Saudyjskiej, która jest monarchią absolutną — niż w Izraelu, dla którego mają tylko słowa potępienia.

W świetle historiografii sowieckiej Gandhi w roku 1931 był reakcjonistą i zdrajcą, w roku 1938 mało-burżuazyjnym przywódcą ruchu anty-imperialistycznego, w roku 1948 ciemnym religijnym fanatykiem, a po roku 1955 narodowym bohaterem Indii. Tego typu „głębokich” ocen i analiz można by przytoczyć setki.

Należy stwierdzić, że w Związku Sowieckim nie ma historii w nowoczesnym i obiektywnym tego słowa znaczeniu. Istnieje tylko historyczna propaganda, która ulega zmianom od jednego zjazdu partyjnego do drugiego. Tam, gdzie nie ma historii — nie może być mowy o analizie procesu historycznego. Tam gdzie nie ma historii, nie ma i materializmu historycznego, a jeżeli nie ma materializmu historycznego nie może oczywiście być i marksizmu. Należy zgodzić się z Marksem, że ideologia z nauką są nie do pogodzenia. Należy również przyznać słuszność poglądowi Marksa, że ideologie — w przeciwieństwie do nauki — wypaczają i fałszują obraz rzeczywistości. Historiografia sowiecka stanowi klasyczny i przygnębiający przykład powyższej tezy.

„INTERPLAY”

Otrzymałem makietę magazynu pn. „Interplay” wraz z zaproszeniem do wypowiedzenia opinii o tym „dziecięciu”, które ma się narodzić jeszcze tej wiosny w Waszyngtonie.

Tytułu magazynu nie można po polsku wyrazić jednym słowem. Bulas w swym znakomitym słowniku „interplay” tłumaczy całym zdaniem: „oddziaływać wzajemnie na siebie”. Pod-tytuł „Interplay” wszystko objaśnia: „The Magazine of European-American Developments”. Pismo więc będzie poświęcone skomplikowanej sprawie rozwoju wzajemnych stosunków amerykańsko-europejskich.

Osobiście pasjonuje mnie zagadnienie stosunków amerykańsko-zachodnio-europejskich — ponieważ świadomie czy podświadomie szukam zawsze „modelu” dla stosunków rosyjsko-wschodnioeuropejskich.

Zacznijmy od ogólników. Przyjmuje się powszechnie, że nacjonalizm europejski jest anty-amerykański, ponieważ ideałem nacjonalistów jest niezależność i suwerenność. W gruncie rzeczy jednak, nacjonalizm to nie jest miłość do własnego narodu tylko niechęć, a często nienawiść, do innego narodu. Ów inny naród to nie są Eskimosi — tylko nasi sąsiedzi, których znamy od stuleci. Ów charakterystyczny rys nacjonalizmu — wbrew ogólnej opinii — na terenie Europy Zachodniej gra na korzyść Amerykanów. Jest daleko łatwiej zostać dyrektorem francuskiej firmy rdzennemu Amerykaninowi niż Niemcowi czy Włochowi. Niemiec czy Włoch uruchamia natychmiast łańcuch emocjonalnych sprzeciwów i uprzedzeń — natomiast Amerykanin, jako nienależący do europejsko-historycznego kontekstu nie budzi tej reakcji. „Mój ojciec (brat, czy mąż) zginął z rąk Gestapo a ja dziś muszę służyć pod niemieckim dyrektorem”. Z tego typu uwagą Amerykanin nie spotka się nigdy, ponieważ historycznie jest postacią neutralną. Bazą i źródłem nacjonalizmu nie jest polityka międzynarodowa — tylko stulecia sąsiedztwa. W tym niezmiernie istotnym punkcie stosunki amerykańsko-zachodnioeuropejskie i stosunki rosyjsko-wschodnioeuropejskie — są nieporównywalne.

W opracowaniu tej notatki opierałem się na kilku źródłach, m.in. na artykule Arnaud de Berchgrave pt. „The Great American Purchase” (*Newsweek*, 27. 2. 67.). Bogactwo informacji zawierają również amerykańskie „almanachy” (przeciętnie powyżej tysiąca stron druku) za rok 1966, które stanowią bardziej barwną lekturę niż roczniki statystyczne.

Gdyby stosunki pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Europą zachodnią należało scharakteryzować jednym prostym zdaniem, wówczas trzeba by stwierdzić, że Amerykanie wykupują Europę. Dzieje się to w tempie jednastu milionów dolarów dziennie — względnie czterech bilionów dolarów rocznie. Innymi słowy, tytuły własności Amerykanów w zachodnio-europejskim systemie gospodarczym i finansowym wzrastają o 11 milionów dolarów z każdym dniem.

Jak to się dzieje? Dzieje się to niezmiernie prosto i zwyczajnie. Banki amerykańskie i przemysłowe firmy amerykańskie wykupują udziały firm i banków zachodnioeuropejskich. Zacytujmy kilka przykładów. Paryski dom bankowy „Banque Mobilière et Industrielle” jest dziś własnością „New York Blyth & Co.” — a Chase Manhattan Bank wykupił tylu konkurentów, że jest obecnie drugim z kolei największym handlowym bankiem „francuskim”. Chase Manhattan wykupił również 50% udziałów belgijskiego „Banque de Commerce” — połącznawszy uprzednio holenderskiego olbrzyma „N. V. Slavenburg Bank” (50 oddziałów).

Bardzo podobnie sprawy kształtują się w przemyśle. Połowa samochodów produkowanych w Anglii wytwarzana jest przez przedsiębiorstwa kontro-

lowane przez Detroit. Amerykanie kontrolują 30% produkcji samochodów na kontynencie.

Jak wiadomo, w Anglii mamy „National Health Service” i lekarstwa dostajemy za darmo. Ponad 50% lekarstw zapisywanych przez lekarzy NHS pochodzi albo z firm kontrolowanych przez Amerykanów, albo wprost ze Stanów Zjednoczonych.

W pewnych dziedzinach, jak np. produkcja komputerów, Amerykanie zmonopolizowali rynek. IBM produkuje połowę zachodnioeuropejskich komputerów a General Electric i Honeywell pokrywa niemal w całości pozostałe 50%. Jedna trzecia kontynentalnej produkcji telefonów kontrolowana jest przez Amerykanów a ostatnio nawet słynne paryskie wytwórnie perfum przeszły na własność naszych ekonomicznych „okupantów”.

Przykładów tego typu można cytować nie dziesiątkami lecz setkami. Jednak byłoby to bezcelowe, ponieważ nim niniejsza notatka ukaże się na łamach „Kultury” — dziesiątki firm europejskich przejdą w ręce amerykańskie a tytuły własności naszych zamorskich gości wzrosną o nowe setki milionów dolarów. A więc tak czy inaczej, cyfry podane dziś, za dwa trzy tygodnie, będą całkowicie nieaktualne.

Należy podjąć próbę odpowiedzi na dwa następujące pytania: 1) Dlaczego tak się dzieje? oraz — 2) Do czego ów „interplay” prowadzi?

Amerykanie poświęcają dokładnie trzykrotnie więcej pieniędzy na „R & D” (badania i rozwój technologiczny) niż Europa zachodnia. Okazuje się również, że program astronautyczny bynajmniej nie jest przedsięwzięciem „księżycowym” w sensie gospodarczym. Program kosmiczny jest „ojcem” około 3.500 wynalazków o wielkich możliwościach przemysłowych. Nie brak rzeczoznawców, którzy oceniają, że każdy dolar wydany na program kosmiczny 10 lat temu — reprezentuje dziś wartość czterokrotnie wyższą. W rezultacie „bilans wynalazków” Europy w stosunku do Stanów Zjednoczonych jest ujemny. Europa zachodnia płaci o 500 milionów dolarów więcej za amerykańskie prawa patentowe — niż Amerykanie płacą za europejskie prawa patentowe. Lecz charakterystyczna jest nie wysokość tej kwoty tylko fakt, że jeszcze dwa lata temu europejski deficyt patentowy wynosił 250 milionów dolarów rocznie. Ten deficyt podwoił się w przeciągu dwóch lat. Dodajmy jeszcze, że 9% „świeżo upieczonych” inżynierów zachodnioeuropejskich co roku emigruje do Stanów Zjednoczonych.

Przyczyn sukcesu gospodarczego Amerykanów na terenie Europy można przytoczyć dziesiątki. Amerykanie mają mnóstwo pieniędzy — jeżeli wymaga tego strategia handlowa mogą pracować bez zysku niepomiernie dłużej niż ich konkurenci europejscy — dysponują znakomitą organizacją i tp. i td.

A. de Berchgrave w cytowanym powyżej artykule wysuwa pogląd, że Amerykanie osiągają swe sukcesy po prostu dlatego, że są lepszymi *businessman*’ami niż Europejczycy.

Trudno zgodzić się z tym poglądem. We Francji, w Niemczech, we Włoszech, w Holandii a nawet w Anglii nie brak dobrych *businessman*’ów. Nie ujmując niczego amerykańskiemu geniuszowi komercyjalnemu — sędzę, że główną przyczyną sukcesu Amerykanów jest brak koordynacji gospodarczej i politycznej w Europie zachodniej. „Wspólny Rynek” jest niepomieranie mniej „wspólny” niż głosi jego oficjalna nazwa. Nie to jest istotne, że na „R & D” Europa wydaje mniej niż jedną trzecią sumy, którą na ten cel wydatkują Amerykanie. Istotne jest natomiast, że w tej kardynalnej

dziedzienie nie ma w Europie koordynacji i zespolenia programów, mózgów i pieniędzy. Nie można mówić, że Europa zachodnia wydaje 10 bilionów dolarów rocznie na badania i rozwój naukowo-technologiczny — bo *de facto* nie ma wspólnego programu zachodnioeuropejskiego. To są pozycje, które sumują się tylko statystycznie, lecz nie gospodarczo.

Nie podzielam również opinii tych, którzy głoszą, że ekonomiczny napór amerykański działa jednocząco na Europę. Spotyka się wprawdzie antyamerykańsko nastrojonych Francuzów, Anglików czy Niemców — lecz to również nie sumuje się. Przeciwnie, inwazja amerykańska wzmaga *prosperity* w krajach zachodnioeuropejskich — co utrudnia a nie ułatwia zjednoczenie. Kraje, którym dobrze się powodzi łączą się niechętnie — bo mają wiele do stracenia a już nie wiele do zyskania. Amerykanie — w przeciwieństwie do Rosjan — nie są zainteresowani w ideologiach politycznych i w systemach społecznych, pod warunkiem, że dany system nie zagraża życiu i mieniu amerykańskich obywateli.

Na niezależność, suwerenność i własny mini-potencjał atomowy najłatwiej zdobyć się państwu, którego system gospodarczy w połowie kontrolują Amerykanie a bezpieczeństwo zapewnia amerykański parasol atomowy.

Paradoks polega na tym, że choć gospodarcze wpływy Ameryki na kontynencie rosną z szybkością 11 milionów dolarów dziennie — polityczny wpływ Stanów Zjednoczonych jest dziś niewspółmiernie mniejszy niż bezpośrednio po drugiej wojnie światowej. De Gaulle'izm jako reakcja i koncepcja polityczna zrodził się nie tylko w okresie największego nasilenia gospodarczej ofensywy amerykańskiej lecz de Gaulle'izm koegzystuje znakomicie z „gospodarczymi” Amerykanami. Z Francji wyprasza się uprzejmie bazy wojskowe i politycznych amerykańskich dygnitarzy NATO — lecz dyrektorzy firm i reprezentanci wielkiego kapitału amerykańskiego urzędują spokojnie, zgodnie z zasadą *business as usual*. I trudno się temu dziwić. *Businessman* i amerykańscy we Francji pracują na rzecz gospodarki francuskiej, płacą olbrzymie podatki i pośrednio finansują de Gaulle'izm.

Przepaść technologiczna pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Europą stale rośnie. Za kilka lat Amerykanie będą mogli powiedzieć, że Europa zachodnia składa się z kilkunastu suwerennych i gospodarczo niedorozwiniętych krajów. Europejskie „Stany Zjednoczone” z rządem federalnym i z wspólną walutą — po pewnym czasie byłoby poważnym konkurentem Ameryki. Dla *businessman*ów amerykańskich jest daleko korzystniej penetrować gospodarki średnich i małych suwerennych państw — niż pertraktować z europejskim rządem federalnym. Lecz należy podkreślić z naciskiem, że nikomu nie dzieje się krzywda. Ów „interplay” odpowiada obu stronom. Każde państwo europejskie woli w połowie być zależne od Ameryki niż w jednej czwartej być zależne od swego sąsiada. Każde państwo europejskie woli w 80% siedzieć w kieszeni u Amerykanów — niż secedować 50% swej suwerenności na rzecz ponadnarodowej europejskiej instytucji.

Polacy — tak komuniści jak i anty-komuniści — patrzą na kapitał z perspektywy marksistowskiej. Jeżeli baza jest w obcych rękach — to i „nadbudowa” rządzona jest przez obcych. Polska Ludowa jest gospodarczo w wielu dziedzinach zależna od Sowietów — lecz nikt nie zaryzykuje twierdzenia, że 60% polskiego przemysłu znajduje się w rękach rosyjskich. Amerykanie kontrolują ponad 60% firm kanadyjskich. I co z tego? Polska a nie Kanada jest krajem satelickim. Kanada jest suwerennym krajem z Królową

i z niezależną polityką zagraniczną, często odbiegającą od linii Waszyngtonu. Byłbym szczęśliwy gdyby Polska osiągnęła kiedyś stopień niezależności politycznej, który jest udziałem Kanady.

Istnieje zasadnicza różnica pomiędzy satelitem gospodarczym typu amerykańskiego a satelitem ideologiczno-politycznym typu sowieckiego. Pierwsze akceptowane jest dobrowolnie — drugie jest narzucone przemocą. Kapitał amerykański we Francji podlega przepisom i ustawodawstwu francuskiemu i operuje na mocy swobodnie negocjowanych układów. Podobnie dzieje się w Belgii, Australii czy w Kanadzie. Jest oczywiste, że na tych wszystkich operacjach Amerykanie zarabiają więcej niż ich gospodarczy satelici — ponieważ zawsze zarabia więcej partner technologicznie i gospodarczo silniejszy. Lecz obiektywnie należy stwierdzić, że Stany Zjednoczone oferują swoim słabszym partnerom kapitały i możliwości rozwoju, których nikt inny by im nie zaoferował.

Spekulując na temat przyszłości musimy opierać się na analizie teraźniejszości. Przyszłość rodzi się z teraźniejszości — choć jak wiemy, dziecko często jest niepodobne do swego rodzica. Wiemy również, że te same przyczyny wywołują na ogół te same skutki.

Oczywiście mogą zajść tzw. nieprzewidziane wypadki. Może dojść do wojen, rewolucji, kontrewolucji i rozmaitych innych kryzysów. Jeżeli jednak nic podobnego się nie przydarzy, skłonny jestem przypuszczać, że pod koniec bieżącego stulecia Amerykanie będą kontrolowali 60 a może 70% przemysłów zachodnioeuropejskich. Wówczas „Atlantic Community” w sensie gospodarczym stanie się faktem dokonanym. Zjednoczycielami Europy zachodniej będą Amerykanie. Jeżeli nie zajdą okoliczności nieprzewidziane — trudno wyobrazić sobie inne rozwiązanie, ponieważ amerykańska kontrola nad gospodarką zachodnioeuropejską wzrasta niewspółmiernie szybciej niż ruch ku zjednoczeniu Europy. Za 5 lat amerykańskie tytuły własności na kontynencie ulegną potrojeniu — a natomiast w Londynie, w Brukseli i w Paryżu będzie się nadal dyskutowało przystąpienie Anglii do „wspólnego rynku”.

DWIE DROGI

Tradycja to jest zespół norm, opinii i doświadczeń — powszechnie przyjętych. Prof. Galbraith określa tradycję mianem „mądrości konwencjonalnej”. Ani historia ani socjologia nie dają jasnej odpowiedzi na pytanie: jak tradycja umiera i kto zadaje jej ostateczny cios?

Galbraith, który jest znakomitym ekonomistą — uważa, że likwidatorem tradycji nie są nowe idee czy koncepcje ale fakty. Przychodzi chwila, kiedy tradycyjna mądrość nie jest w stanie sprostować nowej sytuacji. Wówczas pojawia się człowiek, który ów konflikt potrafi zdramatyzować. Jego dzieło stanowi „kamień milowy” epoki.

Galbraith jest nie tylko ekonomistą z wykształcenia lecz i Amerykaninem z urodzenia i wskutek tego nie pamięta, że na olbrzymich przestrzeniach Europy i Azji potencjalnych autorów dzieł „kamieni milowych” zamyka się w więzieniach. W owych krajach cenzura nie dopuszcza do dramatycznej konfrontacji pomiędzy „konwencjonalną mądrością” a faktami.

W ustrojach demokratycznych ewolucja ma charakter biologiczno-socjo-

logiczny. Stare pokolenie reprezentujące „mądrość konwencjonalną” wymiera a rządy dusz i rządy państwa przejmuje młode pokolenie, które wprowadza w czyn nowy program, nowe idee i nowe koncepcje. W procesie ewolucyjnym tradycja nie ulega nigdy likwidacji tylko rewizji i przystosowaniu.

W ustrojach i w instytucjach autorytatywnych młode pokolenie musi wpięrować zaakceptować w pełni „mądrość konwencjonalną” nim częściowo zostanie dopuszczone do władzy. W ten sposób tradycja przemienia się w dogmat — co z kolei uniemożliwia naturalny proces ewolucyjny.

Jeżeli dogmat akceptowany jest przez wszystkich — względnie przez większość — nie jest istotne, że jest dogmatem. Kryzys następuje wówczas — jeżeli dogmat przez większość poddawany jest w wątpliwość. Wówczas owa konfrontacja pomiędzy „konwencjonalną mądrością” a faktami, która w ustroju demokratycznym przebiega ewolucyjnie — w ustroju autorytatywnym grozi przewrotem.

Posłużmy się następującym modelem. Kryzys jest zawsze „przedpokojem” nowej sytuacji. Z owego „przedpokoju” wiodą dwa wyjścia. Jedno — do klęski i upadku, drugie — do kreatywnego rozwiązania. Cechą charakterystyczną owego „przedpokoju” jest fakt, że nie ma trzecich drzwi przez które można by wrócić do sytuacji poprzedniej. Aktorzy dramatu nie zawsze zdają sobie sprawę, że nie ma powrotu do sytuacji poprzedniej, ponieważ kryzys w istocie swej oznacza likwidację sytuacji poprzedniej.

Sięgnijmy po konkretny przykład. Jednym z kryzysowych problemów w Rzymskim Kościele jest sprawa kontroli urodzin. Biura badania opinii publicznej stwierdziły, że w Stanach Zjednoczonych trzech na czterech katolików wypowiada się za stosowaniem środków antykoncepcyjnych. Nie ulega wątpliwości, że większość katolików współcześnie żyjących odrzuca w tej sprawie przepisy Kościoła, które są nie tylko anachronizmem, lecz są anachronizmem szkodliwym, stojącym w jawnej sprzeczności z wskazaniami nauki i etyki. Podejmując pozytywną reformę w tej dziedzinie Rzym usankcjonowałby tylko pogląd przyjęty niemal powszechnie przez wierzących i praktykujących katolików.

Watykan nie ma możliwości powrotu do sytuacji sprzed kryzysu — ponieważ można uznać za pewne, że napór współczesnych warunków, a przede wszystkim eksplozja populacyjna, spowoduje, że z każdym rokiem coraz więcej a nie coraz mniej katolików stosować będzie środki antykoncepcyjne.

Należy podkreślić punkt następujący. Postulat reformy podejmuje początkowo opozycja lojalna. Ludzie, którzy domagają się modernizacji przepisów Kościoła w sprawie kontroli urodzin — są lojalnymi katolikami, uznającymi w pełni zwierzchność Stolicy Apostolskiej. Ludzie, którzy w październiku 1956 — domagali się reformy ustroju w Polsce — byli w większości lojalnymi komunistami.

Aparat władzy autorytatywnej wykazuje nieodmiennie tendencje do lekceważenia opozycji lojalnej. Zgniecenie opozycji lojalnej metodami administracyjnymi — stanowi pokusę trudną do zwalczenia. A jednak opozycja lojalna oferuje władzy autorytatywnej jedyną możliwość pozytywnego rozwiązania kryzysu. Bo jaka jest alternatywa? Alternatywą opozycji lojalnej jest zawsze opozycja nielojalna, likwidatorska. Kuroń i Modzelewski są produktem Października, produktem klęski lojalnej opozycji.

Jeżeli Kościół Rzymski nie ulegalizuje postulatów legalnej opozycji w sprawie kontroli urodzin — nie zlikwiduje ani zagadnienia ani kryzysu.

Zlikwiduje tylko dla dziesiątków milionów katolików możliwość pozostania w ramach Kościoła z czystym sumieniem.

Znakomity biolog francuski i laureat Nobla, Jacques Monod, — powiedział niedawno w wywiadzie prasowym, że najgłębsze przemiany w życiu społecznym wywołała nie biologia tylko astronomia. Gdyby ludzie zatrzymali średniowieczny pogląd, że ziemia jest centralnym punktem wszechświata i główną sceną dziejów kosmicznych — demokracja by nie powstała. Trwałyby rządy autorytatywne i teokratyczne.

Dziś wiemy, że ziemia nie jest ani centralną ani najważniejszą planetą w wszechświecie — tylko jedną z setek milionów. Ów pluralistyczny pogląd na otaczający nas wszechświat — postuluje pluralizm w każdej innej dziedzinie. Rządy autorytatywne i dogmatyczne nie mają dziś ani oparcia ani usprawiedliwienia w nauce czy w filozofii.

W świecie współczesnym istnieją dwie potężne, obejmujące setki milionów ludzi — organizacje autorytatywne i dogmatyczne. Mam na myśli Kościół Rzymski i komunizm. Choć założenia i fundament filozoficzny obu tych organizacji są całkowicie różne — kryzys, który przechodzą jest strukturalnie identyczny. Tak w jednym jak i w drugim obozie większość podtrzymuje pogląd — w mojej opinii racjonalny — że dzieło reformy może być dokonane tylko przez opozycję lojalną, tzn. przez ludzi z wewnątrz. Obie instytucje mają przed sobą dwie drogi. Albo ulegalizować postulaty opozycji lojalnej — albo przyjąć ryzyko przemiany opozycji lojalnej w opozycję likwidatorską. Obie instytucje wykazują zdecydowaną nieufność do intelektualistów i w każdym Kołakowskim wietrzą przyszłego Trockiego-apostatę.

Wbrew pozorom jestem niemal pewien, że Kościół Rzymski, a nie komunizm, stopniowo, ewolucyjnie przejmie postulaty opozycji lojalnej i wyjdzie zwycięsko ze współczesnego kryzysu. Na czym opieram ten wniosek? Na świadectwie historycznym. Kościół Rzymski to nie jest Watykan tylko 575 milionów katolików na całym świecie. Wiara była zawsze interpretowana i re-interpretowana w kontekście przemian kulturalno-społecznych. Komunizm natomiast nie jest zainteresowany w re-interpretacji swojej doktryny — tylko w utrzymaniu się przy władzy. W rezultacie Breżniew i Gomułka nie odróżniają opozycji lojalnej od opozycji nielojalnej. Dla tych panów każda opozycja jest opozycją nielojalną i wskutek tego perspektywy zwyciężenia kryzysu na drodze ewolucyjnej w ustrojach komunistycznych maleją. Jest rzeczą charakterystyczną, że w Polsce zwolennikami ewolucjonizmu są tzw. młode kadry, a więc partyjni komuniści młodszego i średniego pokolenia. Natomiast młodzież — zwłaszcza uniwersytecka, jest w znacznej mierze nastrojona anty-ewolucyjnie. Najmłodsi widząc klęskę pokolenia ewolucjonistów przyjmują coraz częściej postawę rewolucyjną.

DLA ŚCISŁOŚCI

Ponieważ prasa amerykańska podała, że Kongres Wolności Kultury podobno korzystał z subwencji CIA — wystarczy dopisać, że Kongres wydaje paryską „Kulturę”. Warszawskie radio, „Polityka” a nawet „Szpilki” wyciągnęły ten „oczywisty” wniosek.

Był czas, że w prasie krajowej oskarżano nas o współpracę z wywiadem

niemieckim. Osobiście jestem zdumiony, że do tej pory nikt nie wpadł na pomysł oskarżenia nas o współpracę z Pekinem.

Stwierdzałem na tych łamach, imieniem Redakcji „Kultury” wielokrotnie, że ani finansowo ani organizacyjnie ani politycznie nic nas nie łączyło i nic nas nie łączy z Kongresem Wolności Kultury. Zresztą nasze polityczne poglądy w odniesieniu do Europy wschodniej od dawna nie pokrywają się z analogicznymi opiniami Kongresu Wolności Kultury. Nie przeszkadza nam to jednak oceniać kulturalną działalność Kongresu bardzo wysoko. Wielu członków Kongresu Wolności Kultury — jak R. Aron czy I. Silone — cieszą się naszym najgłębszym szacunkiem. Niemniej, Kongres nas nigdy nie finansował i nie finansuje — co gwoli ścisłości ponownie stwierdzam.

Tego typu notatki jak niniejsza pisze się dla przyszłych historyków a nie dla współczesnych łapsów czy oportunistów, którym nigdy w głowie się nie pomieści, że istnieją jeszcze intelektualne ośrodki niezależne od obcych wywiadów.

LONDYŃCZYK

JUŻ JEST W SPRZEDAŻY

DRUGIE WYDANIE

GEORGE J. FLEMMINGA

POLSKA MAŁO ZNANA

Stalin i najazd hitlerowski na ZSSR

Protokół tajnej dyskusji w Instytucie Marksizmu-Leninizmu przy KC KPZS w dniu 16 lutego 1966 r. nad książką A. M. Niekrycza pt. „22 czerwca 1941” — ogłoszony po raz pierwszy na Zachodzie przez włoskie czasopismo „La Sinistra” (Rzym, 1 październik 1966).

Nota czasopisma *La Sinistra*:

W miesiącach poprzedzających XXIII Zjazd KPZS toczyła się w ZSSR zaciepła walka polityczna w związku z próbami częściowej przynajmniej rehabilitacji Stalina. Wyrazem tej walki były m.in. list wysłany w marcu 1966 r. przez grupę wybitnych intelektualistów sowieckich do KC KPZS oraz dyskusja nad książką NIEKRYCZA, wydaną wiosną 1965 r. Stalinowcy zaatakowali gwałtownie tę książkę o zdecydowanym nastawieniu antystalinowskim i zażądali przedyskutowania jej tez. Potępienie tych tez oznaczałoby zakwestionowanie wielu poglądów wyrażonych na XX Zjeździe i po nim. Ta próba rehabilitacji Stalina nie udała się na skutek oporu nie tylko szerokich kół inteligencji sowieckiej lecz również wybitnych przedstawicieli armii. W dyskusji, z której dajemy sprawozdanie, wzięli udział wyżsi oficerowie ze Sztabu Głównego. Protokół dyskusji ujawnia jak szeroko zakrojona jest akcja niekonformistycznych historyków sowieckich, przeprowadzających rewizję oficjalnych tez o polityce ZSSR w latach 1939-1941. Chodzi tu nie tylko o problem kultu jednostki lecz także o całą sowiecką politykę zagraniczną w okresie Paktu o Nieagresji z Niemcami, o represje wobec komunistów polskich i przyłączenie Ukrainy Zachodniej i Białorusi Zachodniej do ZSSR.

Porządek obrad: dyskusja nad książką A. M. NIEKRYCZA „22 czerwca 1941 r.". Obecnych: 130 osób. Prezydium zebrania: generał major E. A. BOŁTIN, generał major B. S. TIELPUCHOWSKIJ, prof. G. A. DEBORIN i docent nauk historycznych A. M. Niekrycz. Przewodniczy: Bołtin.

DEBORIN: Głównym problemem książki jest określenie przy-

czyn naszych niepowodzeń w pierwszym okresie wojny. W części zatytułowanej „Zlekceważone ostrzeżenia” Niekrycz postawił problem błędnie. Sprowadza on wszystko do głupiego oporu Stalina. Jest to powierzchowne. Oznacza to że ze śmiercią Stalina problem przestał istnieć. A tymczasem tak nie jest. Nie chodzi tylko o Stalina. Autor np. powołuje się na marszałka Golikowa, który w owych latach stał na czele służby informacyjnej Sztabu Głównego Czerwonej Armii (mówca cytuje odpowiednie ustępy książki). Golikow nie informował, lecz dezinformował rząd. Jego raporty są niekiedy całkowitą dezinformacją. Raporty te dzieliły się na dwie części: w pierwszej — informacje, które Golikow uważał za wiarygodne, jak np. dane o przygotowaniach Niemiec do inwazji Anglii; w drugiej — informacje uznane przez niego za nieuzasadnione: np. podana przez R. Sorge data ataku Niemiec na Związek Sowiecki. Trzeba pogłębić krytykę kultu jednostki i objąć nią osoby opracowujące raporty informacyjne w taki sposób, aby podobały się Stalinowi ze szkodą dla prawdy.

Komunikat TASS'a z 14 czerwca 1941 r. jest normalnym manewrem dyplomatycznym. Chodziło o sprowokowanie reakcji rządu niemieckiego. Jedynie na skutek sytuacji panującej wtedy w kraju, komunikat ten uznano za prawdziwy¹.

Jeżeli chodzi o ocenę dzieła Stalina, nie należy opierać się na oświadczeniach Chruszczowa, które często nie są obiektywne. Nie można np. zgodzić się z twierdzeniem że Stalin bał się wojny. Siłą rzeczy Stalin, gdy otrzymywał błędne informacje, dochodził do błędnych wniosków. Stalin wiązał zbyt wielkie nadzieje z Paktem o nieagresji, podczas gdy Niemcy, wykorzystując ten pakt, przygotowywały atak. Ocenę Stalina podzielało całe jego otoczenie. Nie można więc za wszystko obciążać Stalina.

W książce Niekrycza znajduje się dużo niedokładnych informacji faktycznych. Np. wbrew temu co on pisze działa kalibru 45 mm. nie nadawały się przeciw czołgom niemieckim i dlatego rząd wstrzymał ich produkcję.

GŁOS Z SALI: Nieprawda! Kaliber 45 służył doskonale przez cały czas wojny przeciw czołgom. Zaprzymanie produkcji kalibru 45 było zbrodnią. Szliśmy na czołgi niemieckie z gołymi pięściami. Na początku wojny byliśmy całkowicie pozbawieni broni przeciw-czołgowej.

DEBORIN: Ponadto Blücher i inni wiedzieli, że grupa Tuchaczewski-Jakir była niewinna a mimo to ją potępili.

GŁOS Z SALI: Oczywiście, że wiedzieli.

DEBORIN: Ależ, towarzysze, nie można wątpić o tym, że Wo-

1. Wspomniany komunikat według A. Tasca („Dwa lata sojuszu niemiecko-sowieckiego”) był napisany przez samego Stalina. Oskarżono w nim ambasadora brytyjskiego, który ostrzegł Stalina przed groźbą natychmiastowego ataku niemieckiego o rozszerzanie fałszywych pogłosek, będących jakoby owocem propagandy sił wrogich ZSSR i Niemcom.

roszyłow i Budienny, obecni na procesie, są osobami godnymi szacunku².

GŁOSY OBURZENIA Z SALI: Woroszyłow nie był na procesie! Czy on i jemu podobne indywidua mogły posiadać jakiekolwiek poczucie honoru i odpowiedzialności? Dranie i łobuzy!

(Deborin schodzi z trybuny mówców wśród pomruków sali)

ANFIŁOW (ze Sztabu Głównego): Przede wszystkim o honorze Woroszyłowa i Budiennego. Osoby te nie miały i nie mają żadnego honoru. Liczne materiały w naszych archiwach, których, niestety, nie wolno ogłaszać, zmuszają nas do całkowicie negatywnej oceny ich działalności. Przytoczę tylko jeden drobny epizod. W połowie r. 1937 na jakimś zebraniu w gronie zaufanych Stalin powiedział: „Gdy ja i Woroszyłow przybyliśmy w 1918 r. do Carycyna, to w ciągu jednego tygodnia zdemaskowaliśmy wszystkich wrogów ludu”. Odnosiło się to do oficerów sztabu głównego i dowództwa frontu, którzy uczciwie służyli władzy ludowej.

GŁOS Z SALI: I bez procesu utopił ich wszystkich w rzece!
ANFIŁOW: „Podczas gdy wy — mówił dalej Stalin — nie jesteście w stanie zdemaskować nawet własnych sąsiadów”. Po Stalinie zabrał głos Woroszyłow, oświadczył że całkowicie zgadza się ze Stalinem i wezwał oficerów do denuncjonowania przyjaciół i kolegów. Krew burzy mi się w sercu gdy obecnie widuję Woroszyłowa na honorowej trybunie przy mauzoleum Lenina podczas defilad wojskowych³.

A teraz o początku wojny. Gdyby wszystkie nasze siły były gotowe do walki, co zależało wyłącznie od Stalina, nie ponieśliśmy w pierwszym okresie wojny tak ogromnych klęsk a cała wojna nie byłaby tak długa, krwawa i niszcząca.

Trzeba by także określić jaki stopień odpowiedzialności spada na naszych najważniejszych szefów wojskowych. Golikow i Kuzniecowa wychodzą w swych przemówieniach i wspomnieniach na bohaterów. W rzeczywistości Golikow przekazując Stalinowi raport omawiający Plan Barbarossa, zaznaczył, że jest to prowokacja ze strony tych, którzy pragnęli wepchnąć nas w wojnę przeciw Niemcom. Kuzniecowa pisze, że otrzymawszy od wojskowego attaché morskiego w Berlinie Woroncowa datę i plany ataku niemieckiego, natychmiast opowiedział o tym Stalinowi. To prawda. Ale jak opowiedział? Należałoby tu odczytać jego

2. Sądowi który skazał grupę Tuchaczewskiego-Jakira, przewodniczył Ulrich a wchodzili w jego skład Alksins, Budienny, Szaposznikow, Biełow, Dybienko, Kaszyryn, Goriaczew, Blücher. Woroszyłow poparł Stalina w zdsięsiatkowaniu Sztabu Głównego Czerwonej Armii, nie wchodził jednak w skład sądu. 12 czerwca 1937 r. Woroszyłow oznajmił że generałowie sowieccy oskarżeni w tym procesie zostali rozstrzelani za utrzymywanie kontaktów z wrogimi siłami.

3. Woroszyłow w roku 1918 stał na czele X Armii na froncie pod Carycynem. Był głównym przeciwnikiem tworzonych przez Trockiego form organizacyjnych Czerwonej Armii.

relację. Stoi tam czarne na białym, że informacja Woroncowa jest prowokacją podrzuconą nam przez kontr-wywiad niemiecki.

Mimo to Stalin jest i pozostanie główną osobą odpowiedzialną za tragedię. Niedawno rozmawiałem z Żukowem. Powiedział mi, że Golikow podlegał bezpośrednio Stalinowi i nie składał żadnych raportów ani szefowi Sztabu Głównego (marszałek Żukow), ani ludowemu komisarzowi obrony (Timoszenko). Nie wiedzieli oni nic ani o planach ani o dacie ataku. Z Timoszenką nie udało mi się rozmawiać: nie rozmawia z nikim z nas.

ZASTAWIENKO (z Instytutu Marksizmu-Leninizmu): Osoby które otaczały Stalina nie ułatwiały mu właściwej oceny sytuacji. Na początku czerwca (5. 6. 1941) Kalinin powiedział w Akademii Polityczno-Wojskowej: „Niemcy przygotowują się do ataku na nas, ale my jesteśmy gotowi. Im prędzej to uczynią, tym lepiej. Skręcimy im kark”.

GŁOS Z SALI: Stary gaduła!

ZASTAWIENKO: Taka była opinia Politbiura, które nie doceniało potęgi Niemiec. Nie tylko Stalin jest odpowiedzialny za to co się stało.

(Wrzawa na sali)

DASZYCEW (ze Sztabu Głównego): To co powiedział Deborin o działach kalibru 45 nie jest ściśle. Na początku wojny działo to przestrzeliwało na wylot każdy typ czołgów niemieckich. Zaprzeszanie produkcji tych dział było równoznaczne z rozbiciem naszego wojska, ponieważ nie rozpoczęto jeszcze produkcji dział innego typu (85 mm). Wojsko znalazło się bez artylerii przeciw-czołgowej i bez amunicji.

A teraz coś o naszych źródłach historycznych. To skandal że nie ogłoszono dotychczas sowieckiego zbioru dokumentów z tego okresu. O informacji sowieckiego attaché, że wojna rozpocznie się 22 czerwca, wiemy jedynie z książki angielskiego historyka Ericsona. Kiedy nareszcie zostaną otwarte i udostępnione wszystkie nasze archiwa? Bereżkow wspomina o spotkaniu ambasadora Schulenburga⁴ z Dekanozowem, podczas którego Schulenburg zakomunikował, że Hitler zaatakuje ZSSR. W archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych powinny znajdować się dane o spotkaniu Schulenburga i Mołotowa w obecności Pawłowa, kiedy Schulenburg zdradził swój kraj, informując że Niemcy zaatakują ZSSR 22 czerwca. Schulenburg płakał i błagał o przygotowanie wojsk sowieckich do walki; był przekonany, że zastraszy to Hitlera. Ale nie chciano wierzyć Schulenburgowi.

A teraz o procesach wytoczonych naszym szefom wojskowym (grupa Tuchaczewski-Jakir). Fałsz przygotowało materialnie Gestapo, ale pomysł wyszedł od Stalina, który przekazał go przywódcom faszystowskim za pośrednictwem generała Skoblina. Niestety dokumenty na ten temat są niedostępne. Zbrodnie Golikowa nie ograniczają się preparowania informacji, tak aby po-

4. Schulenburg, ówczesny ambasador niemiecki w Moskwie, został rozstrzelany w roku 1944, za udział w spisku przeciw Hitlerowi.

dobały się Stalinowi. Golikow spowodował również aresztowanie wszystkich najlepszych pracowników naszego kontrwywiadu za granicą.

GŁOS Z SALI: Nie wyłączając Sorge'a!

DASZYCZEW: Czy książka Niekrycza całkowicie wyjaśnia przyczyny tragedii czerwca 1941? Trzeba tym się zająć bardziej szczegółowo. Stalin ponosi główną odpowiedzialność za tę tragedię. To on stworzył taką sytuację w kraju. Największe zbrodnie Stalina to — uzurpacja władzy i zniszczenie najlepszych kadr naszego wojska i partii. Wszyscy nasi przywódcy, chociaż znali sytuację międzynarodową, nie mieli odwagi domagać się podjęcia koniecznych środków dla obrony kraju. To jest ich ogromną winą wobec partii i narodu. Jeszcze dzisiaj twierdzą niektórzy, że nie należy mówić źle o Stalinie, ponieważ Stalin nie był sam. To jest błąd. Szofer od chwili gdy usiądzie za kierownicą autobusu, odpowiada za każdy wypadek. Stalin wziął na siebie odpowiedzialność i samodzielnie kierował krajem. Jego вина jest ogromna.

Trzeba dokładnie wyjaśnić pozycję Schulenburga oraz generałów Raedera i Haldera ze Sztabu Głównego Hitlera; opowiadali się oni przeciw wojnie z ZSSR. Trzeba wyjaśnić motywy ich postępowania: nie czynili przecież tego z miłości do naszego kraju. Hitler silnie wpływał na decyzje wojskowych. Podczas jednego z zebrań na najwyższym szczeblu Hitler powiedział: „Czerwona Armia została pozbawiona dowódców i straciła 80% wyższych kadr. Czerwona Armia nigdy nie była tak słaba jak teraz i to jest głównym czynnikiem wpływającym na moją decyzję. Trzeba rozpocząć wojnę zanim uformują się nowe kadry”. Każdy historyk powinien mieć odwagę mówić prawdę.

ROSZCZYN (z Instytutu Marksizmu-Leninizmu): Niektrzy uważają, że należy mówić jedynie o naszych zwycięstwach a klęski lepiej jest przemilczać. Nie należy tak robić. Przynosi to szkody nie tylko naszej wiedzy historycznej, ale także naszemu państwu: trzeba zaanalizować i poznać przyczyny klęski, aby zapobiec błędowi na przyszłość. Główna odpowiedzialność za klęskę obciąża Stalina. Nie zgadzam się z opinią Deborina o komunikacie TASS'a: nie był to manewr dyplomatyczny, lecz zbrodnia. Komunikat moralnie rozbroił naszą ludność. Stalin i ci którzy stali wokół niego czynili wszystko, aby przeszkodzić przygotowaniu narodu sowieckiego do wojny. Kiedy Kuzniecowa zawiadomił Malenkowa o wydaniu zarządzeń obronnych flocie — a było to 17 czerwca 1941 r. — Malenkow wyśmiał go i powiedział: „Wy chcielibyście zachowywać się tak, jakby jutro miała wybuchnąć wojna”. Żdanow, obecny przy tym spotkaniu, zachował się o wiele poważniej, ale także i on nie zrobił niczego. Malenkow odwołał wszystkie zarządzenia obronne. Nie można jednak wyciągnąć z tego wniosku, że na naszych szefów wojskowych nie spada część odpowiedzialności.

MIELNIKOW (z Instytutu Historii Akademii Nauk ZSSR): Według Deborina książka Niekrycza przecenia negatywną rolę Sta-

lina. To nieprawda. Rola Stalina jest tam właściwie nie doceniona.

Myślę o pewnej sprawie jeszcze dziś uważanej za tabu; a mianowicie o rozmowach Mołotowa i Hitlera w Berlinie w listopadzie 1940 r. Przypominam sytuację. Opracowywanie planu Barbarossa dobiegało końca, rozpoczynano przesuwanie oddziałów niemieckich nad granicę ZSSR. Dyplomaci hitlerowscy wzmacniali swą aktywność na Bałkanach i w Finlandii. Aby ukryć te przygotowania przed rządem sowieckim, Hitler zaproponował spotkanie na najwyższym szczeblu. Do Berlina jedzie przewodniczący Rady Komisarzy Ludowych, Mołotow. Hitler podsuwa mu ogólnikowy plan podziału świata. Mołotow żąda Cieśnin Dardanelskich, Bułgarii, Rumunii i Finlandii. Hitler nie chciał wdawać się w dyskusję na ten temat, gdyż obawiał się ewentualnych niedyskrecji wobec przyszłych sojuszników. W odpowiedzi na żądania Mołotowa zaproponował więc przystąpienie Związku Sowieckiego do Osi Rzym-Berlin-Tokio⁵. To najlepiej ujawnia jego metody działania.

WASILENKO (z Instytutu Marksizmu-Leninizmu): Narzekania Deborina, że w książce Niekrycza za dużo mówi się o roli Stalina są zupełnie nieuzasadnione. Obiektywnie posiadaliśmy pełne możliwości stawiania oporu Niemcom. Ale Stalin zrujnował wszystko. Później, aby usprawiedliwić jakoś swoją haniebną klęskę, wysunął bezwartościową teorię głoszącą, że najeźdźca jest zawsze lepiej przygotowany do wojny niż napadnięty.

KULISZ: Byliśmy świadkami powstawania „nowej” — wysuniętej przez Deborina — koncepcji o przyczynach klęsk na początku wojny. Chodzi tu — powiedział on — nie tylko i nie jedynie o Stalina. Koncepcja Deborina idzie po linii kultu jednostki. Bez względu na to czy Stalin jest winny czy niewinny, w obu wypadkach chodzi o postawienie sprawy typowe dla kultu jednostki: Stalin jest zawsze sam. Trzeba przestudiować głębiej ten problem. Jak doszło do powstania tego rodzaju sytuacji? Jak nasz rząd pod przewodnictwem Stalina kierował krajem? Jak bronił narodu przed niebezpieczeństwem? Czy stanął na wysokości zadania? Nie! Rząd zawiódł. Trzeba przeanalizować proces na skutek którego Stalin, nie dorastający do wysokości swego stanowiska, mógł zostać szefem partii i państwa z nieograniczoną władzą.

Jeszcze jeden błąd nader oczywisty: w całej naszej literaturze historycznej przyłączenie Ukrainy Zachodniej i Białorusi Zachodniej ocenia się jako czynnik, który polepszył możliwości obronne kraju. Wiemy jednak, że tak nie było. Przyłączone okręgi, na

5. Mołotow był w Berlinie 12 i 13 listopada 1940 r. Hitler usiłował przekonać Mołotowa, że naturalną strefą wpływów Związku Sowieckiego jest Azja; Mołotow domagał się dla ZSSR terytoriów europejskich. Na ofertę Hitlera aby ZSSR wstąpił do Osi, Mołotow odpowiedział — jak twierdzi tłumacz P. Schmidt („Statist auf diplomatischer Bühne 1923-45”) — że propozycja jest do przyjęcia pod warunkiem, że ZSSR będzie pełnoprawnym sojusznikiem.

skutek znanych dobrze przyczyn, osłabiły możliwości obrony naszych granic. Dlatego wydając sąd o przyłączeniu okręgów zachodnich, trafniej byłoby mówić o funkcji wyzwoleniczej Czerwonej Armii i służeniu przez nią ideałom proletariackiego internationalizmu.

GNIEDIN: To dobra książka. Nie chciałem zabierać głosu ale przebieg dyskusji zmusza mnie do wejścia na trybunę. Przez dwa lata dostarczałem raportów sytuacyjnych Stalinowi i Mołotowowi. Wszystkie informacje przechodziły przez moje ręce. Oczywiście że Golikow był dezinformatorem, ale nie chodzi tu o to. Część raportów uznanych za wiarygodne była potem w ten lub inny sposób oświetlana przez naszą urzędową prasę, Stalina jednak interesowały przede wszystkim sprawy określone w raportach jako „wątpliwe”. Wiedział więc wszystko, ale uchylanie się od decyzji było wtedy metodą jego polityki. Golikow jest odpowiedzialny za represje wśród kadr GPU, ale nie za to, że nie wydano zarządzeń obronnych. W naszej literaturze historycznej twierdzi się że Stalin po to objął stanowisko szefa rządu w dniu 5 maja 1941 r. aby przygotować kraj do obrony. Nie posiadamy żadnych danych, które potwierdzałyby tę ocenę. W rzeczywistości Stalin nie uczynił dosłownie nic co by mogło wzmocnić możliwości obronne ZSSR. Mamy dość podstaw aby stwierdzić, że Stalin został szefem rządu nie po to, aby przygotować kraj do obrony, lecz żeby dojść do porozumienia z Hitlerem⁶.

ŚLESKIN (z Instytutu Historii Akademii Nauk ZSSR): Byłem na froncie. Mając dziewiętnaście lat uczestniczyłem w walkach na granicy w czerwcu 1941 r.

Stalin postępował w sposób, który można spokojnie określić jako zbrodniczy. Kult jednostki, prowokacje, represje tworzyły błędne koło. Każdy wysilał się, aby przypodobać się swemu szefowi, dostarczając mu tylko takich informacji, które by mu się podobały, albo komentując ujemnie te które by się nie podobały. Starano się nie wyrażać własnych myśli. Wszystko to przyniosło niezmierzone szkody krajowi. Każdy jest winny, chociaż każdy w innym rozmiarze. Jedni są winni np., że nie mogli zdecydować się mówić tego co myśleli. Im dalej naprzód i im wyżej w górę, tym odpowiedzialności są większe. Na pewnym poziomie wyrzeczenie się mówienia prawdy w imię własnych przywilejów jest przestępstwem, a im wyższe stanowisko kłamcy, tym większe przestępstwo. Głównym winowajcą jest więc zawsze Stalin. Być może, że pakt z sierpnia 1939 r. był konieczny, ale było przestępstwem pokładanie w nim nadmiernych nadziei, a przede wszystkim zaprzestanie walki przeciw faszyzmowi (jak stało się to z polecenia Stalina).

6. Przed 5 maja 1941 r. Stalin nie posiadał oficjalnych stanowisk w rządzie ZSSR. Zaraz po tym dniu usunięto z ZSSR dyplomatów belgijskich, norweskich i greckich, a więc reprezentujących kraje podbite i okupowane przez Niemców. W tym samym czasie wysłano Bogomołowa na stanowisko ambasadora przy filo-hitlerowskim rządzie Pétaina.

JAKIR (z Instytutu Historii Akademii Nauk ZSSR)⁷: Książka jest bardzo dobra. Niektórzy dyskutanci poruszyli sprawę Tuchaczewskiego-Jakira. Sądzę, że rozwodzenie się o prowokacji fałszystowskiej, o „czerwonym skoroszybie” i zawartych w nim dokumentach jest zbyt wiele a nawet szkodliwe, ponieważ przenosi dyskusję na boczny tor. Na procesie nie było żadnego „czerwonego skoroszytu” i żadnego „czerwonego skoroszytu” nie ma także w aktach. Wszystkich oskarżonych uznano za winnych na podstawie nieuzasadnionych oskarżeń Stalina, wypowiedzianych na Radzie Wojennej w dniach 14 czerwca 1937 r. Skazano ich, aby wykonać jawne życzenie Stalina — pozbycia się ich. Niektórzy z moich przedmówców wspominając Stalina, użyli słów „towarzysz Stalin”. To nie jest słuszne, Stalin nie jest niczym towarzyszem, a tym bardziej naszym.

Stalin zahamował rozwój naszych zbrojeń, eliminując wielu wybitnych techników, między innymi twórców naszych pocisków rakietowych: Tihomirowa, Langemaka (wynałazcę Katiuszy), Kurczewskiego, Bekauriego. Trzeba przestudiować problem łagrów. Przestudiować go z punktu widzenia gospodarczego. Toczyła się wojna a w łagrach zamknięto miliony zdrowych mężczyzn oraz specjalistów ze wszystkich dziedzin życia gospodarczego i wojskowego kraju. Ponadto potrzeba było znacznych sił dla ich nadzorowania.

TIELEGIN: Autor nie ma krytycznego stosunku do źródeł zagranicznych, szczególnie do pamiętników, które zawierają mało prawdy...

GŁOS Z SALI: A nasze pamiętniki?

TIELEGIN: Także w naszych znajduje się dużo bzdur.

(Śmiech na sali)

TIELEGIN: Warto przypomnieć, że w pamiętnikach znajdują się oczywiste ślady przesady z okresu Chruszczowa.

(Hałas na sali)

TIELPUCHOWSKIJ (generał): Przywódcy polityczni wszystkich krajów nie oceniali właściwie planów Hitlera. Jednak po upadku Francji, wszyscy, z wyjątkiem Stalina, zmienili swe poglądy. Stalin był dalej przekonany, że Hitler (jeżeli nie skręci wcześniej karku), zaangażuje się totalnie w wojnę na Zachodzie. Dlatego nawet gdy Hitler napadł już na ZSSR Stalin starał się jeszcze uniknąć konfliktu. Inaczej trudno sobie wytłumaczyć trzy odmienne dyrektywy strategiczne naczelnego dowództwa Czerwonej Armii, wydane pierwszego dnia wojny. Stalin jest głównym winowajcą, ale odpowiedzialność spada także na innych, chociaż w mniejszym stopniu.

7. Syn rozstrzelanego marszałka Jakira. Podpisał głośny protest w związku z procesem Sieniawskiego i Daniela.

PIETROWSKIJ (z Instytutu Archiwów Historycznych): Trzeba pamiętać, że faszyzm powstał jeszcze za życia Lenina (dojście Mussoliniego do władzy we Włoszech, pucz Kappa i td.). Lenin stwierdził, że faszyzm jest głównym wrogiem komunizmu. Stalin zlekceważył opinię Lenina i ogłosił, że głównym wrogiem jest socjal-demokracja. Jego „teoria” rozdzieliła i skłóciła miliony robotników w całym świecie, co stworzyło okazję dla dojścia do władzy faszystów. Stalin jest zbrodniarzem...

BOŁTIN (generał): Towarzyszu Pietrowskij, w tej sali, na tej trybunie należy liczyć się ze słowami. Czy wy jesteście komunistą?

PIETROWSKIJ: Tak.

BOŁTIN: W żadnym dokumencie, w żadnej z obowiązujących nas obu instrukcjach czy uchwałach naszej partii, nie czytałem stwierdzenia, aby Stalin był zbrodniarzem.

PIETROWSKIJ: XXIII Zjazd partii powziął decyzję usunięcia Stalina z mauzoleum za jego zbrodnie wobec partii. A więc Stalin jest zbrodniarzem.

SNIEGOW: Książka Niekrycza jest uczciwa i pożyteczna. Gdy w przeddzień walki panuje w jakimś oddziale bałagan, naboje leżą w magazynach a nie przy broni, a zwiadowcy i czujki śpią — oddział zostaje pokonany. Wtedy — zwykle na rozkaz wyższego dowódcy — rozstrzeliwuje się komendanta tego oddziału. I nikt nie protestuje. Stalin znalazł się w sytuacji tego nieprzygotowanego do walki komendanta — oddziałem był cały nasz kraj. Należało rozstrzelać Stalina, a tymczasem próbuje się go usprawiedliwiać.

Dlaczego książka Niekrycza, atakująca Stalina, została tak szybko przedyskutowana i nawet potępiona, a książka znanego fałszerza historii partyjnej I. Pietrowa, gdzie przypisuje się Stalinowi różne czyny pozytywne, których nigdy nie dokonał, oczekuje od lat na dyskusję? Dlaczego Deborin próbował usprawiedliwić Stalina? Kiedy Hitler przygotowywał atak na Polskę, Stalin mu dopomógł⁸. Stalin rozstrzelał wszystkich komunistów polskich przebywających w ZSSR i ogłosił Komunistyczną Partię Polski za nielegalną. Dlaczego czwarty rozbiór Polski został nazwany wyprawą wyzwolenczą? Jak można być komunistą i pogodnie mówić o Stalinie, który zdradzał i sprzedawał komunistów, który zlikwidował prawie wszystkich delegatów na XVII Zjazd i prawie wszystkich członków KC wybranych na tym zjeździe, zdradził Republikę Hiszpańską, Polskę i wszystkich komunistów we wszystkich krajach?

DEBORIN (*konkluzje*): Nie stworzyłem żadnej nowej teorii i nie była moim celem obrona czy usprawiedliwianie Stalina. Trzeba głębiej zbadać wszystkie przejawy kultu jednostki. Jeżeli

8. Oczywiście że mówca uważa za rzecz pewną i nie ulegającą dyskusji istnienie tajnego protokołu z 23 sierpnia 1939 r. Protokół ten umożliwił Niemcom atak na Polskę (która później, w oparciu o ten protokół, została podzielona między Niemcy i ZSSR) oraz zapewnił Niemcom dostawy sowieckie dla wojny przeciw Francji i Anglii.

chodzi o przemówienie Sniegowa, to słyszeliśmy już dużo razy to, co powiedział on na temat Polski. Ale dotychczas pochodziło to zawsze z wrogiego nam obozu. To samo co on mówił niedawno profesor Jacobson z Niemiec Zachodnich i inni. To dziwne, że Sniegow podziela ten punkt widzenia. Towarzyszu Sniegow! powinienes powiedzieć nam do jakiego obozu należysz?

SNIEGOW: Jestem z Kołymy!

DEBORIN: Wszystko trzeba sprawdzić.

GŁOSY Z SALI: — Czy chcesz numer telefonu?

— A więc znowu jak w minionym okresie?

(nie pozwalają Deborinowi dokończyć przemówienia)

NIEKRYCZ: Dziękuję za uwagi i poprawki. Nie wątpię że Deborin nie wyznaje poglądów, jakie się mu przypisuje. Po prostu w ogniu dyskusji często się przesadza. Główną odpowiedzialność za wielką klęskę i za całą tragedię pierwszego okresu wojny ponosi Stalin. Ale mimo to, nie należało dawać swym szefom niedokładnych informacji, aby sprawić im przyjemność. Stalinizm rozpoczyna się od nas, maluczkich. Stalin chciał przechytrzyć Hitlera, tymczasem wprowadził w błąd samego siebie i całą rozgrywką zakończyła się katastrofą. On wiedział więcej od wszystkich na temat eliminacji kadr kierowniczych Czerwonej Armii i o słabości naszego wojska.

SNIEGOW (3 minuty w sprawie osobistej): Sądziłem że mam uczestniczyć w dyskusji naukowej, tymczasem Deborin wprowadził „argumenty” z r. 1937. Ale nie łatwo jest zastraszyć nas łagranami! Nie damy się zastraszyć! Czasy się zmieniły i przeszłość nie powróci.

(Oklaski)

BOŁTIN (konkluduje): Zebranie wniosło dużo nowych i interesujących przyczynków do badanego przez nas zagadnienia. Przemówienia towarzyszy Sniegowa i Pietrowskiego były bardzo namiętne. Można zgodzić się z dużą częścią tego co powiedział towarzyszy Sniegow, ale nie ze wszystkim. Nie można przypisywać naszemu krajowi zamiarów pozbawienia niepodległości i rozebrania państwa polskiego. Taki jest punkt widzenia historyków burżuazyjnych i białych emigrantów. My broniliśmy niepodległości Polski. Niektórzy towarzysze określili kult jednostki jako przesadę z okresu Chruszczowa. To jest zasadniczo błędne. Uchwały XX i XXII Zjazdu w sprawie kultu jednostki nie są wyolbrzymieniami z okresu Chruszczowa, lecz mają istotne znaczenie dla każdego uczciwego komunisty. (Dziękuję autorowi i wszystkim obecnym).

Zebranie trwało od godz. 10.15 do 16.45 z przerwą godzinną.

(Z włoskiego przetłumaczył Wł. Sznarbachowski)

Zamieszczona powyżej dyskusja jest jeszcze jednym dowodem przemian zachodzących w Związku Sowieckim — przemian, z którymi wiążemy duże nadzieje. Dla uwypuklenia odwagi i uczciwości dyskutujących nad książką A. M. Niekrycza, podajemy ponadto — zamieszczony w grudniowym numerze miesięcznika „Moskwa — fragment opracowania M. Bragina — niezmiernie reprezentacyjny dla oficjalnie obowiązującej dotąd sztancy w naświetlaniu stosunków polsko-sowieckich.

Kryzysy bitwy

(SZKICE WOJENNO-HISTORYCZNE)

Doświadczenie historyczne tej, dokonanej we wrześniu 1939 roku, agresji, która zapoczątkowała Drugą Wojnę Światową, jest bardzo pouczające.

Potwierdziło ono, jak niebezpieczną rzeczą jest lekceważenie politycznych dywersji faszystów, i odrzucanie w walce z nimi pomocy Związku Sowieckiego — głównej siły zdolnej do poskromienia agresora; jak tragiczny jest los kraju, który stał się obiektem agresji, jeśli jego rząd nie zjednoczył narodu w walce z napastnikiem.

Doświadczenie to jest pouczające również i dlatego, że po raz pierwszy ukazało ono naocznie znaczenie nowej techniki wojennej — czołgów i samolotów, które wpłynęły także na zmianę form sztuki wojennej; i dowiodło jak niebezpieczne jest lekceważenie tego czynnika.

Doświadczenie tej kampanii jest interesujące także i dlatego, że uczestniczyli w niej generałowie, których za dwa lata zobaczymy w bitwie pod Moskwą.

Fałszerze, którzy przypisują zwycięstwo odniesione nad Polską jedynie wysokim umiejętnościom niemieckich generałów, nie chcą uznać faktu, że w danym wypadku strategiczne sukcesy armii hitlerowskiej były uwarunkowane z jednej strony wiaromną dyplomacją Hitlera, z drugiej zdradzieckim postępowaniem Anglii, Francji i Stanów Zjednoczonych, które wydając Polskę na łup Hitlera pchały go na Wschód, ku Związkowi Sowieckiemu, zaś z trzeciej — zbrodniczą, antynarodową działalnością rządu polskiego. Gorka ironia historii polegała na tym, że rząd Polski włączył się w nurt hitlerowskiej polityki „Drang nach Osten”, zagrażającej nie tylko Związkowi Sowieckiemu ale i samej Polsce.

Zacofana w sensie ekonomicznym i politycznym Polska — była również bardzo słaba pod względem militarnym. Armia polska była uzbrojona w przestarzały sprzęt wojskowy i wyznawała zacofaną doktrynę wojenną. Naczelne dowództwo wojsk polskich zamierzało bronić ogromnej przestrzeni między Bałtykiem a Karpatami przy pomocy sił niezdolnych do wypełnienia takiego zadania.

Rząd polski przystępował do wojny z Niemcami nie ciesząc się zaufaniem swego narodu, nie posiadając państwa etnicznie jednolitego, bojąc się uzbroić robotników, chłopów i mniejszości narodowe dla ogólnonarodowej walki z faszyzmem.

Wszystko to przesądziło klęskę polskiej armii i rozpad polskiego państwa.

Jeszcze wiosną roku 1939 sztab generalny armii hitlerowskiej otrzymał od Hitlera rozkaz przygotowania ostatecznego planu wojny przeciw Polsce — tzw. planu „Weiss”. Ribbentrop zapewnił wówczas generałów, że Anglia i Francja nie przyjdą Polsce z pomocą.

Pozwoliło to niemieckiemu dowództwu na pozostawienie przeciw Francji jedenastu dywizji, i skupienie głównych sił — pięćdziesięciu dwóch dywizji — przeciw Polsce.

Dyplomacja, podobnie jak i przedtem, starała się stworzyć najdogodniejsze warunki dla agresji.

Plan „Weiss” polegał na tym, aby przy pomocy silnych ugrupowań zadać ciosy: z północy — z Prus Wschodnich i Pomorza, z zachodu — z Górnego Śląska, i z południa — ze Słowacji, dotrzeć jednostkami zmotoryzowanymi do Warszawy, otoczyć i zniszczyć armię polską na zachód od Wisły, a następnie osiągnąć wschodnią granicę Polski.

W planie tym rzuca się w oczy, że przy pomocy wojsk pancernych i zmotoryzowanych cały kraj zostaje jak gdyby strategicznie ujęty w ogromne kleszcze, że grupy niemieckich armii, rozdzielone przestrzenią całej Polski, strategicznie współdziałają w czasie i w zadaniu osiągnięcia głównych ośrodków kraju, że ze znacznej odległości zmierzają szybko ku wspólnemu, daleko siężnemu celowi, Warszawie. Była to już inna armia, niż ta, która wkroczyła do Austrii.

Sztab generalny armii niemieckiej, z Halderem na czele, przygotował wszystko — od planu „Weiss” aż do prowokacji na polskiej granicy.

Niemieccy generałowie starają się w swych wspomnieniach zataić współudział w zbrodniach Hitlera i występować z pozycji „czystej” sztuki wojennej. Jednakże historia nie pozwala im na to.

Jak wiadomo, Hitler wybrał jako pretekst do agresji „napad” Polaków na niemiecką radiostację w pogranicznym mieście Gliwice. Obecnie ustalono już z całkowitą dokładnością, że napad ów był zorganizowany przez Himmlera i admirała Canarisa, szefa Abwehry, z rozkazu którego uczestnicy tej akcji zostali, dla zamaskowania jej dywersyjnej roli, rozstrzelani.

W prowokacji tej uczestniczył również szef sztabu generalnego Halder. Zapisał on wówczas w swoim dzienniku, że powinien sprawdzić czy grupa dywersyjna jest należycie wyposażona w polskie mundury i broń. Istotnie, ten uczony teoretyk zaopatrywał niemieckie wojska we wszystko: od łomu po teorię agresji wobec obcych państw. Już niedługo zobaczymy go w trakcie planowania ataku na ZSSR.

O świcie 1 września 1939 roku wojska niemieckie zaatakowały Polskę.

Desperacki opór polskiej piechoty nie był w stanie zatrzymać niemieckich armii, poprzedzanych przez dywizje pancerne, które nadawały natarciu szybkość, głębię i swobodę manewru.

Nieliczne polskie jednostki pancerne uzbrojone w przestarzały sprzęt nie zdołały odeprzeć nacisku przeciwnika.

Z zapalem rzucały się do walki liczne oddziały polskiej kawalerii na doskonale wyszkolonych koniach, ale jej brawurowe szarże, przypominające czasy Murata, kończyły się teraz tragicznie. Samoloty rozpraszały kawalerię, działa i karabiny maszynowe dziesiątkowały ją swym ogniem, czołgi polowały na jeźdźców i bezlitośnie miażdżyły ich gąsienicami.

Lotnictwo polskie nie było w stanie zapewnić obrony wojskom naziemnym.

Armia hitlerowska dotarła do Brześcia i Lwowa, zdobyła Warszawę.

I, mimo wszystko, nie bacząc na korzystne warunki strategiczne i całkowitą przewagę Niemców pod względem uzbrojenia — sukcesy swoje osiągnęli oni na wielu odcinkach ze znacznym trudem. Wnikliwi obserwatorzy stwierdzili, że wojska niemieckie nie są wszechpotężne.

Generał Tippleskirch przyznaje, że 8-ma armia niemiecka była w krytycznych sytuacjach; jednostki 10-tej armii generała Reichenau zmuszone były wstrzymać natarcie na Warszawę; 1 dywizja pancerna dwukrotnie wdzierając się na przedmieścia stolicy i cofała się, ponosząc ciężkie straty; Warszawa broniła się prawie przez miesiąc.

Czołgi Guderiana, według świadectwa jego samego, nie były w stanie zdobyć z marszu miasta Łomży.

Okrażenie Krakowa, jak pisze Mannstein, nie zostało zrealizowane.

Hitlerowska armia przechylała na swoją stronę szalę zwycięstwa nie tylko dzięki swej niewątpliwej sile, lecz także wskutek tego że państwo polskie było słabe i nieprzygotowane do wojny.

Komunistyczna Partia Polski, jedyna siła zdolna do zjednoczenia polskiego narodu i poprowadzenia go do walki — została przed wojną rozwiązana, a jej najwybitniejsi przedstawiciele przebywali w więzieniach. Komuniści, którzy pozostali na wolności lub wyrwali się z więzień, natychmiast stanęli do walki, ale nie byli w stanie zmienić przebiegu wojny.

Ciężką i straszną cenę zapłacił naród polski za zdradziecką

politykę rządu, za nieprzygotowanie kraju do wojny, za zacofanie polskiej armii, za brak jedności.

Po zwycięstwie nad Polską zaczęto propagować mit o niezwykłości armii hitlerowskiej; ustaliła się również strategia wojny błyskawicznej — „blitzkrieg'u”.

Wojna w Polsce była niewątpliwie pouczająca. Armie wszystkich państw mogły wysnuć z jej doświadczeń ważne nauki, dowódcy szykujący wojska do walki mieli się nad czym zastanowić.

Trzeba było zrozumieć do końca, że wojen już się z góry nie wypowiada, że agresorzy zawczasu mobilizują i koncentrują swe siły dla niespodziewanego ataku; że szybkie wojska pancerne i lotnictwo dają możliwość zadawania głębokich ciosów i szybkiego docierania do najważniejszych wojennych obiektów przeciwnika; że wojska te pozwalają atakującemu na zastosowanie manewrów w celu okrążenia i zniszczenia przeciwnika; że natarcie ogarnia ogromne obszary działań wojennych.

Wszystko to, razem wzięte, nie pozostawia broniącym się czasu dla zorganizowania oporu, i, jeżeli do momentu wybuchu wojny nie przygotowano głębokiej obrony — ich położenie staje się niezwykle ciężkie.

Wszystkie te czynniki będą wchodziły w grę przy napaści hitlerowskich wojsk na ZSSR i w czasie bitwy pod Moskwą. Tam będzie można określić ich właściwe znaczenie.

Mimo swej krótkotrwałości (wszystko rozstrzygnęło się w ciągu miesiąca) wojna z Polską dała niemieckiej armii bardzo cenne doświadczenie.

Nawet zwykłe manewry polowe wzmacniają wojska, które wracają do koszar już nie takie, jakie z nich wyszły; uczą się działać w warunkach polowych, w lesie, nad brzegami rzek, przyzwyczajają do przemarszów; wypracowują zasady współdziałania wszystkich rodzajów broni; dowództwo uczy się kierować wojskami; każdy generał, oficer, żołnierz znajduje sobie miejsce w boju. Z tego względu jednostka taka, równa liczebnie jednostce nowozaciennej, ma nad nią w boju ogromną przewagę.

W Polsce odbywały się jednak nie manewry, nie bezkrawy przemarsz, lecz wojna w której armia niemiecka straciła 10.000 zabitych oraz 40.000 rannych i zaginionych.

Po zwycięstwie nad Polską sytuacja strategiczna hitlerowskich Niemiec uległa znacznej poprawie.

Około sto kadrowych dywizji Austrii, Czechosłowacji i Polski (potencjalnie zaś — znacznie więcej, ponieważ kraje te nie zdążyły zmobilizować swych rezerw) przestało się liczyć, jako ewentualni przeciwnicy hitlerowskich Niemiec.

Przesuwając swe armie na Wschód Hitler zagrażał niewolą ludności Zachodniej Białorusi i Zachodniej Ukrainy, wchodzących w skład państwa polskiego. 17 września 1939 roku Armia Czerwona przekroczyła granicę biorąc Białorusinów i Ukraińców pod swoją obronę.

W ten sposób położono kres marszowi agresora.

Silny, zdradziecki, niebezpieczny wróg zatrzymał się u zachodnich granic Związku Sowieckiego.

Michaił BRAGIN

Starszy pracownik naukowy
Instytutu Historii Akademii Nauk SSSR.

(Mies. MOSKWA, grudzień 1966)

Pod ochroną państwa

Niedaleko placu zwanego Rynek we Lwowie stoi „kaplica Boimów”, grób rodzinny sławnej rodziny kupieckiej. W niedawno wydanej książce G. Ostrowskij'a „Lwow” (wydawnictwo „Isskusstwo”, Leningrad-Moskwa 1965) mówi się o tej budowlu jak następuje:

„Kaplica Boimów to dzieło niezwykle, nie mające sobie równych w architekturze Lwowa. Cała fasada pokryta od góry do samego dołu rzezbami, płaskorzezbami, rzezbą ornamentalną. Są tu figury apostołów, medaliony z prorokami, sceny z ewangelii, płaskorzeźby, wypukłorzeźby i pełne figury, maskarony, kartusze — prawdziwy kalejdoskop motywów zdobniczych. Nie trudno znaleźć w nich echa wpływów i form gotyku, włoskiego Odrodzenia, sztuki niemieckiej i holenderskiej, wreszcie miejscowych tradycji artystycznych, pierwszorzędnej sztuki ukraińskich i polskich rzeźbiarzy i mistrzów rzeźby ornamentalnej”.

Cytuję nie dlatego, by mi brakowało własnych słów czy myśli. Niewielka, jak gdyby zadymiona tchnieniem wieków kaplica, z patynową zielenią dwupiętrowej kopuły, z żywą grą światłocienia na poczerńniętych płaskorzeźbach ścian, z nieco niezgrabnymi apostołami-wieśniakami o wielkich oczach i okrągłych głowach, wryła się w pamięć tak niewzruszenie, jak wrastały w gęstwinę miasta średniowieczne budowle. Cytatę przytoczyłem, aby pokazać, jak nieuzgodnione bywają niekiedy ruchy prawej i lewej ręki.

Książka G. Ostrowskij'a wyszła we wzorowo wydawanej serii, która zdążyła już zdobyć popularność, serii przewodników po tych miastach Związku, które wyróżniają się szczególnie zabytkami architektury. Jak się będzie czuł zainteresowany czytelnik, który kupiwszy książkę po drodze do Lwowa, przyjdzie z nią na miejsce, do niezwyklej kaplicy Boimów, nie mającej sobie równych w architekturze Lwowa? Cóż ma myśleć, gdy ujrzy zabite niemalowaną dyktą i zakratowane okna, a na drzwiach wszech-

obecną kłódkę od stodoły? Przecież w książce mowa jest jeszcze o tym, że wewnątrz kaplicy jest pod względem wartości artystycznej bez porównania cenniejszej od fasady, że rzeźba wnętrza to „jedno z najwyższych osiągnięć Pfistera i całej lwowskiej plastyki okresu Odrodzenia”.

Muszę powiedzieć, że miałem szczęście: miałem pewne pełnomocnictwa a ponadto okazało się, że zarządzająca położonego obok kaplicy sklepu „Maliatko” była na miejscu. Sezam otworzył się i miałem możliwość ujrzenia tej części najwyższych osiągnięć Pfistera i całej lwowskiej plastyki okresu Odrodzenia, która nie była w danej chwili zakryta dla postronnych oczu stojakami, skrzyniami, tobołkami, stosami półwełnianych kołderek i innymi skarbami sklepu wyrobów przemysłowych „Maliatko”.

Jaskrawe światło dnia przenikało przez wybite okna wieżyczki pod kopułą; w dni deszczowe tą samą drogą przesiąka i wilgoć, o czym świadczą ślady na niezliczonych rzeźbach sklepienia, partrzących jakby ze zdziwieniem na to, co się dzieje, ze swych zagłębień-kasetonów. Na wypadek wieczornej potrzeby sklep urządził tu sobie pomocnicze oświetlenie, a także sygnalizację przeciw kradzieży; przy wejściu przybito do ściany ogromną skrzynię rozdzielczą, od której ciągną się gdzie należy różnokolorowe druty.

To, że dzisiejsi pracownicy handlowi, w przeciwieństwie do pochowanych tutaj kupców, nie są bynajmniej pobożni, to wcale nie szkodzi, raczej odwrotnie. Ale co ma wspólnego ateizm z nieuctwem, z niewiarą w jakiegokolwiek wartości kulturalne, z beżmyślną pogardą dla wszelkich „bohomazów”.

Zresztą, cóż tu mówić o dzisiejszych kupcach? Dano im „niezwykłe dzieło” na magazyn, posługują się więc nim odpowiednio. Komorne płacą punktualnie. Każą im się usunąć, opróżnić lokal, to opróżnią, a o resztę głowa ich nie boli.

...W trafnym artykule M. J. Brajczewskij'a „Ocalić zabytki historii” (czasopismo „Istorija SSSR”, Nr 2, 1966) mówi się słusznie o tym, że dla wielu sama teza o konieczności ocalania, ochrony, nie jest bezsprzeczna. Oczywiście dzisiaj nikt już chyba nie zdecyduje się otwarcie wystąpić przeciw ochronie zabytków kultury. Ale skryta, utajona polemika — to pod flagą oszczędności, to w sosie ateistycznym — prowadzona jest nadal... Wydawałoby się, że zbędne jest tłumaczyć dzisiejszemu czytelnikowi o społeczno-historycznych przyczynach, dla których geniusz architekturalny narodów w przeciągu wielu wieków znajdował materialne wcielenie jedynie w budowie świątyń, we wznoszeniu zamków i pałaców. Ale może tego rodzaju wyjaśnienie jest niektórym osobom potrzebne.

Świadczą o tym autografy na ścianach cerkwi w Butuceni, wykłute oczy postaci ofiarodawców w Causeni, druciane siatki na oknach kościoła Bernardynów we Lwowie.

O tej budowli XVII wieku (wzniesiona poza murami miasta znalazła się teraz w samym centrum) wspomniana książka-przewodnik G. Ostrowskij'a mówi, jako o otwierającej nową epokę

w architekuralnej historii Lwowa. I rzeczywiście, trudno oderwać oczy od czarno-siwej fasady, gdzie równowaga Odrodzenia tak wyraziście spotyka się z niespokojnym duchem epoki Baroku. Wzrok podnosi się w górę po szczelnie zwiniętych wygięciach wolut, po falujących występach wysokiego frontonu z potężnymi płaskorzeźbami i posągami aż do pełnych wdzięku konturów kopuły ze z daleka widocznym zegarem. Lecz wróciwszy od nieba na ziemię wzrok znowu zatrzymuje się na pordzewiałej drucianej siatce.

— Okna wybijają — krótko wyjaśnił tow. Berezko, okręgowy inspektor ochrony zabytków. — Kamieniami. Chłopaki, chuligany...

Mimo usilnych starań nie mogę sobie przypomnieć wypadku, by jak najbardziej szkodliwi chuligani rzucali kamieniami w okna czynnego muzeum, teatru, sali wystawowej. Ale przez bodaj całe życie nie widziałem tyłu wybitych okien — strzelistych, półokrągłych, szerokich, wąskich — ile przyszło mi zobaczyć teraz w Mołdawii, w Lwowskim, w Czernihowszczyźnie.

Obawiam się, że wniosek o zaraźliwości złego przykładu może się wydać standartowym moralizowaniem. Ale mimo największych wysiłków trudno by przekonać chłopca z procą, że zabity deskami (czy odwrotnie na roścież otwarty) całkowicie opuszczony budynek jest zabytkiem kultury, który należy chronić. Tabliczka ochronna na tego rodzaju budowli tylko wzmacni w chłopcu niejasne poczucie: nie wierz własnym oczom.

Oprócz rzeźb należących od dawna do kościoła Bernardynów (podchodzą one piętrami pod wysokie sklepienia) pełno tu jest posągów z innych miejsc, z innych kościołów, cerkwi i katedr. Przybysze ci stoją oparci o ściany, o czworokątne słupy-kolumny, leżą w swych złożonych strojach na kamiennej posadzce, odrzucający w tył blade oblicza o ognistych powiekach i półotwartych w uśmiechu lub cierpieniu bezkrwisto-różowych wargach.

W drewnianej malowanej rzeźbie epoki baroku uderzała mnie zawsze umiejętność, z jaką jej mistrzowie utrzymywali się na wąskiej krawędzi między sztuką a banałem. Blask pożyty, połączenie „naturalnego” koloru z umowną elegancją póz i gestów, nadmierne jak gdyby zainteresowanie detalami — aż do włoska, do paznokcia na palcu — jednym słowem wszystko co jest niewskazane dla sztuki (a dla sztuki rzeźby w szczególności), tutaj daje nieoczekiwane rezultaty, daje wzruszające, subtelne wrażenie poruszania się po skraju, po samej krawędzi.

Kościół katolicki dobrze znał swoje audytorium, ale jego artyści znali jeszcze lepiej...

Nie będę się jednak zatrzymywał na opisach. Jak wiadomo, tysiące słów nie zastąpią jednego obrazu. Patrząc na zwiezione zewsząd statuy pomyślałem, że „Bernardyni” (tak nazywają ten kościół we Lwowie) mogliby stać się jedynym w swoim rodzaju muzeum (lub jeśli kto woli wystawą) monumentalnej rzeźby barokowej, w którym widz sam by znalazł odpowiedź na swoje pytania i skądby by wyniósł własne wrażenia.

— Racja, myśmy już o tym myśleli, powiedział Andriej Michajłowicz, gdy podzieliłem się z nim tą prostą myślą. Zgodził się też z tym, że kaplica Boimów także zasługuje na otwarte oglądanie, tak jak i wiele innych tutejszych zabytków. Jak na razie jednak udało się tylko otrzymać decyzję urzędu muzeum ateizmu w kościele Dominikanów.

Kościół ten, nazwany w książce-przewodniku najwspanialszą budowlą architektury lwowskiej, zbudowany został w XVIII wieku według projektu inżyniera wojskowego i architekta, komendanta twierdzy w Kamieńcu Podolskim, Jana de Witt. Jego kopuła przypomina konturem kopułę kościoła św Piotra w Rzymie, a potężne wiązania kolumn i naprężone wygięcie frontonów przywodzą na myśl inne, nie mniej znakomite dzieła południowo-europejskiego baroku.

Wewnątrz natomiast panuje eleganckie rokoko. Pod gigantyczną elipsą białego sklepienia kopuły lśni złotem osiemnaście dekoracyjnych rzeźb. Masy innych posągów niby współzawodniczą w kapryśnej różnaitości pól. Wysoki rzeźbiony ołtarz uderza przepychem kłębiących się form. Od blasku pozłoty aż świeci się powietrze. Pobożności ani śladu.

W ten, po mozartowsku odświętny, nastrój żałobną nutę wnoszą stojące w bocznych kaplicach nagrobki — sześciu śmiertelnie białych alabastrowych rycerzy (przeniesionych z dawnego gotyckiego kościoła, na miejscu którego wzniesiono kościół Dominikanów) i kilka późniejszych rzeźb, z których jedna (nagrobek Dunin-Borkowskich) dłuta Thorvaldsena.

W przeciągu swej długiej historii kościół Dominikanów dwa razy się palił, trzy razy był restaurowany (ostatni raz w latach 1956-1958). Po boleśnie pamiętnej tyradzie o defraudantach ludowych finansów urządzono tutaj skład cukru.

Skład istniał do r. 1965, skutki musi teraz usunąć nowa restauracja. Jak na razie robota idzie słabo: pod stropem stoi rusztowanie, robotników jakoś nie widać. Ale za to widać i słyszać innych pracowników: w przestronnych piwnicach znajduje się baza „Płodoowoszcztorgu”, stamtąd z okrzykami wysiłku wytaczają na powierzchnię beczki z marynatami, wynoszą jakieś kosze i skrzynie, ładują je w podjeżdżające pod boczną fasadę ciężarówki.

Gdy się widzi coś podobnego, to nie wiadomo, na kogo się oburzać, kogo oskarżać. Andriej Michajłowicz Szuljar, przekonałem się o tym, chętnie by „wygnał kupców ze świątyni”. Ale skąd wziąć to minimum pieniędzy, bez którego wszystko w ogóle się zaprzepaści.

Trzeba wyjaśnić: te niewiele, co można zrobić we Lwowie (lub w innych miejscach) dla jakiegokolwiek dopomożenia zabytkom architektury, odbywa się na rachunek tak zwanych „specródków” to jest, mówiąc po prostu, na rachunek otrzymywanego od lokatorów komornego. Z budżetu okręgu („obłasti”) nie przeznaczają się na te cele ani grosza. A z budżetu republiki daje się okrucy, o których nie warto nawet mówić...

Biorąc na siebie ochronę zabytków kultury, państwo tym samym bierze i określone zobowiązania materialne. Ale bieda w tym, że wcale nie wszyscy skłonni są do uważania sprawy ochrony zabytków za część oświaty ludowej. Wręcz odwrotnie, robienie hałasu wokół cerkwi, kościołów, katedr wydaje się niejednemu sprawą niemal szkodliwą. I jeżeli już się nie da pozbyć raz na zawsze tych „przeżytków”, to spokojniej jest co najmniej trzymać je pod kluczem.

Obok placu zwanego Rynek we Lwowie stoi jeden z tego rodzaju zabytków, katedra Ormiańska. Zewnątrz do ściany przytwierdzona żelazna tabliczka: „Kościół z XIV wieku”. Już sam ten napis to dowód kancelaryjnej obojętności. Cóż powie on niepoinformowanemu przechodniowi o tym budynku, który wcale nie jest kościołem a katedrą, do tego o wielowiekowej historii? A jest to historia warta uwagi: przed nami jedyna pamiątka architektury ormiańskiej na ziemiach Ukrainy, na których wiele tysięcy „charibów” wygnańców znajdowało schronienie przed prześladowaniem zaborców.

Miałoby się wielką ochotę dostać się na zaciszne, wiejące nieoczekiwanie duchem Wschodu podwórze katedry, z nagrobnymi płytami dawnego cmentarza, ale na kracie-parkanie od strony ulicy Ormiańskiej wisiała wszechobecna kłódka.

Do środka katedry udało mi się jednak dostać: dawno mi już mówiono, że nie można tam nie być. I rzeczywiście, miałem wyjątkową okazję zajrzenia w zimny, półwilgotny skarbiec, w którym zebrane są dzieła sztuki ukraińskiej z pięciu wieków, od czternastego do osiemnastego.

Powiedzmy dokładnie: w katedrze Ormiańskiej uwieczono jedyną w swoim rodzaju najwyższej klasy kolekcję malarstwa ikon, płaskorzeźby i rzeźby, dziesięć tysięcy eksponatów szczególnie zapełniających stojące w głównej nawie i na chórze stojaki.

Dyrektor lwowskiego muzeum sztuki ukraińskiej, tow. Jakuszczenko, bez cienia nadziei mówił o możliwości wystawienia choć części wegetującej kolekcji na widok publiczny. Na to nie ma ni środków, ni pomieszczenia, ni sankcji z góry. Tego rodzaju wystawę uważano by tutaj niemal za otwartą propagandę religijną...

(*Nowyj Mir*, nr 10, 1966)

Leonid WOŁYNSKI

(*Przetłóżył z rosyjskiego A. V.*)

O religii bez namaszczenia

Dwie stare moralności

Zdanie, jakich pełno w gazetach: „Czy w tej naszej epoce pojazdów kosmicznych Brytyjczycy nadal hołdują zasadom wieku pary i elektryczności jeśli idzie o etykę seksualną?” Prasa anglosaska zwłaszcza wałkuje niezmordowanie temat „nowej moralności”, której nowość nie jest zresztą najświeższej daty. Nowa moralność liczy sobie co najmniej pół wieku i — jak dowcipnie przypomniał Mrozek w „Tangu” — nieźle już myszką trąci. Pod tym względem przypomina awangardy artystyczne.

Nie jest też całkowitym zaprzeczeniem starej, tej niemal powszechnie wyznawanej, przestrzeganej i naruszanej przez naszych dziadków i babki. Nadal potępia i ściga prawem mord i gwałt seksualny, sadyzm erotyczny, kazirodztwo, stosunki z nieletnimi, bigamię. Zachowuje instytucję małżeństwa monogamicznego, odmaiwiając mu tylko wyłączności i nierozzerwalności. Nie pochwała większości zbrodni, choć wołałaby je leczyć niż karać. Nie dopuszcza publicznych orgii ani nawet publicznego nudyzmu, tyle tylko że bardziej ze względów porządkowo-estetycznych niż ściśle moralnych.

W szeregu innych spraw jednak bierze ze starą moralnością stanowczy rozbrat i ostro jej się przeciwstawia. Nie zakazuje stosunków przed- i poza-małżeńskich, a w wielu wypadkach je zaleca. Sentymentalny odłam „nowych moralistów” wysuwa tu warunek szczerego, choćby przelotnego uczucia, inni zadowalają się wymaganiem, aby takie stosunki były dobrowolne, nie oparte na kłamliwych obietnicach lub wykorzystaniu zależności, i aby nikogo nie krzywdziły. W zdradzie małżeńskiej razi element oszustwa, lecz jeśli jedna strona stałego związku wie o przygodnych odskokach drugiej, aprobuje je lub wybacz, nie ma w nich nic złego.

Przypisywanie etycznego znaczenia dziewictwu i tym bardziej jego kult nowa moralność uważa za barbarzyński przeżytek. Razem z pruderią wyrzuca za burtę samo pojęcie wstydu seksualnego. Nie ma żadnych zastrzeżeń wobec tego, co dawniej nazy-

wano bezwstydem podkasanych strojów, tańca, zachowania się i mówienia. Dla półnagości i prawie-nagości nie szuka już pretekstów higieniczno-sportowych, podobnie jak dla nieskrępowanego omawiania i przedstawiania życia płciowego w literaturze, w sztuce (ze stosowaną sztuką reklamy na czele) nie wymaga już przyzwoitej szatki naukowości i wyższych celów artystycznych. Podniecanie erotyczne nie jest dla niej zdrożne ani w sztuce, ani w zabawie, ani w ogóle w życiu. Chętnie by zniosła pokutujące jeszcze i coraz liberalniej stosowane przepisy prawne wymierzone w pornografię i inne objawy nieprzystojności.

W środkach zapobiegających zajściu w ciążę widzi wielką zdobycz postępu, wyzwolenie życia płciowego od obawy przed spłodzeniem niechcianego dziecka. Popiera ich rozpowszechnianie i udoskonalanie. Spędzenie płodu nie jest już dla niej zbrodnią, a jeśli pozostaje złem, to w licznych wypadkach mniejszym i koniecznym. Potępia dyskryminację nieślubnych dzieci, a za ich poczęcie — w charakterystycznym przeciwieństwie do dawnej moralności — gani raczej ojca niż matkę. W ujemnej ocenie prostytutki jest znamienne surowsza wobec tych, co za usługi seksualne płacą, niż wobec tych, co je ofiarowują.

Do tego pośpiesznego przeglądu nowej moralności trzeba dodać że nie jest ona wyłącznie negatywna. Nie polega tylko na obalaniu zakazów i nakazów starej. Jej ważną własną normą jest nakaz czerpania maksymalnej rozkoszy z życia płciowego. Niemoralne lub przynajmniej chorobliwe jest wszystko co ją mąci: oziębłość, zahamowania, ignorancja. W starej moralności małżeńskiej np. najwyższym przykazaniem była wierność, w nowej zaś staje się nim poszanowanie prawa kobiety do orgazmu, które dawniej często i bez moralnej dezaprobaty łamali najlepsi skądinąd, lecz niecierpliwi, niezgrabni lub samolubni mężowie.

Starą moralność, panującą przed 100, 75, może jeszcze 50 laty (ściślej: w świecie naszej cywilizacji, jeszcze ściślej: w jego tzw. warstwach kulturotwórczych), zwaną niekiedy „wiktoriańską”, niekiedy „mieszczańską”, utożsamia się zazwyczaj z chrześcijańską. Robią to zarówno jej ciągle jeszcze liczni zwolennicy jak przeciwnicy. Istotnie, na pierwszy rzut oka zakazy jej i nakazy, nawet terminologia, pokrywają się z chrześcijańskimi.

Przy bliższym wejrzeniu w zagadnienie wykrywa się jednak fakty, które każą powątpiewać o słuszności takiego utożsamiania. Jest komunąłem życiowym i literackim niezwykła zawziętość stróżów starej (którą w dalszym ciągu nazywać będziemy umownie już tylko „wiktoriańską”) moralności. Tępiąc nieczystość, dziwnie są wyrozumiali wobec innych grzechów głównych: zazdrości, pychy, gniewu, ba, folgują tu sobie ochoczo, np. w okrutnym ostracyzmie wobec upadłych dziewcząt lub w prześladowaniu buntowników przeciw panującej moralności seksualnej. Choć zakazy wiktoriańskiej moralności przypominają przykazania chrześcijańskie, stosunek uczuciowy do występków i ich gradacja są często uderzająco odmienne. Dla chrześcijanina grzeszny romans panicza z pokojówką jest takim samym zła-

maniem czystości jak romans panienki z lokajem. Dla wiktoriańskiej ciotki pierwszy jest wybaczalnym głupstwem, drugi hańbą nie do zmazania. Podobnie, całkiem inny jest stosunek do dziewictwa młodzieży żeńskiej niż męskiej. Zastanawia nieoczekiwane zjawisko, że moralność wiktoriańską lub bardzo do niej zbliżoną propaguje się i narzuca w antychrześcijańskich Sowietach. Dość już tych na prędcie dobranych faktów, by zadać sobie pytanie, czy źródłem wiktoriańskiej moralności nie jest coś innego niż nauka Chrystusa.

W swym ostatnim wielkim dziele Bergson genialnie wykazał, że są dwa źródła moralności. Jednym z nich jest interes społeczny. Moralne jest to, co społeczeństwu sprzyja, co je spaja i umacnia. Niemoralne — co mu zagraża, co je rozrywa i osłabia. Zakazami i nakazami moralnymi społeczeństwo broni swego bytu, ładu, siły przed aspołecznymi zachciankami i postępkami jednostki.

Spółczeństwo, choćby najbardziej wojownicze na zewnątrz, jest wielką organizacją pokojową. Zapewnia pokój wewnętrzny, zapobiega samobójczej wojnie wszystkich przeciw wszystkim, daje bezpieczeństwo życia i mienia. Stąd „nie zabijaj” i „nie kradnij”. Umożliwia wspólną pracę, pracę zespołową, o ileż wydajniejszą od jednostkowej, a że współpraca wymaga zaufania, mamy więc: „nie mów fałszywego świadectwa...”. „Nie cudzołóż” jest właściwie odmianą „nie kradnij”, co potwierdza dalsze przykazanie o niepożądaniu ośła, wołu i żony bliźniego. Wprawdzie partner czy partnerka życia płciowego tym się różni od innej „własności”, że się nie zużywa oddając się przygodnie komuś innemu, ale może zostać utracony gdy zasmakuje w cudzołożnym obcowaniu. Kult przedślubnego dziewictwa — doprowadźmy to rozumowanie do ostateczności — wypływa zapewne z obawy małżonka przed niekorzystnymi dla niego porównaniami. Czy nie dlatego w takiej cenie była do niedawna czarująca niewinność i nieuświadomienie pańien na wydaniu?

Można by dalej w tym sensie napisać całe dzieło (niejedno zresztą już napisano) sprowadzające moralność do jej społecznego źródła, nieomal do zbioru przepisów higieny społecznej. „Kazirodztwo a degeneracja rasy”, „Homoseksualizm jako stosunek bezpłodny, a więc społecznie niepożądany”, „Rozpusta szerzycielką chorób wenerycznych”, „Rodzina monogamiczna jako najsprawniejsza forma wychowywania potomstwa i podstawowa komórka społeczna”, „Zapobieganie ciąży zamachem na liczebność, a więc siłę, prężność, obronność społeczeństwa” — tak mogłyby brzmieć tytuły niektórych rozdziałów.

Przy bardziej historycznym podejściu można by moralność wiktoriańską rozpatrywać w świetle warunków gospodarczo-społecznych epoki. Zwrócić np. uwagę, jak bardzo ta moralność była wymierzona w kobiety i młodzież, tak wówczas słabe ekonomicznie grupy ludności. Przedstawić prostytutkę jako nieuczciwą konkurencję zawodowych miłośnic w stosunku do uczciwych amateerek sprzedających swe ciało tylko raz za cenę dozgonnego dobro-

bytu w stadle małżeńskim. Ukazać kopulację w roli nagrody za społecznie aprobowane postępowanie: najpiękniejsze panny oddają swą — *pars pro toto* czy eufemizm? — rączkę najdzielniejszym żołnierzom lub kapitanom przemysłu i handlu. Zając się związkami seksualnymi jako swego rodzaju przypieczętowanie związków majątkowych, awansu społecznego, aliansu interesów... Krótko mówiąc: spółkowanie a spółki.

Najogólniej wreszcie i bardziej filozoficznie można by dowodzić, że popęd płciowy jako potężna, żywiołowa siła musi ulec społecznej regulacji. Gdyby człowiek ciągle pamiętał o rozkoszy płciowej, nie miałby ochoty o niczym innym myśleć i niczym innym się zajmować. Zamiast cywilizacji mielibyśmy ruję i porubstwo. Całą moralność seksualną można więc przedstawić jako system pożądanых społecznie tam i przepustów.

Wszystko to jest, może miejscami przesadne, ale w zasadzie słuszne w stosunku do jednej starej moralności, tej wiktoriańskiej, tej, której źródłem jest interes społeczny. Istnieje jednak również drugie źródło moralności, druga stara, znacznie starsza moralność, moralność chrześcijańska. Jak już widzieliśmy, nie sprzeciwia się ona na pozór wiktoriańskiej, jej normy są bardzo podobne, lecz motywy ich całkowicie odmienne.

Drugim źródłem moralności jest twórcza wola człowieka, jego dążenie do doskonałości. Celem życia nie jest tu, cenione zresztą jako środek, dobro społeczne, lecz — zbawienie, które polega na zjednoczeniu z Bogiem. Jednym z jego aspektów jest osiągnięcie całkowitej zgodności pomiędzy naszym chceniem a wolą Bożą. Stąd płynie nakaz podporządkowania wszystkich naszych pragnień i pożądań Bogu. Podporządkowania tak bezwzględного, że przybiera ono postać wyrzeczenia się wszelkich własnych pragnień, czyli zaparcia się samego siebie, umartwienia, uśmiercenia własnego „ja”. Już nie tylko „nie pożądać żony bliźniego swego”, ale w ogóle nie pożądać niczego: ani szczęścia, ani zdrowia, ani dobrobytu, ani najbardziej uprawnionej władzy, ani najbardziej zasłużonej sławy. Niczego. Oczywiście, gdy Bóg zechce ci coś z tego dać, przyjmuj to z najgłębszą wdzięcznością, lecz z taką samą wdzięcznością witaj nieszczęście i chorobę, i nędzę, i upokorzenie, i pogardę. Twarda jest ta mowa i ledwo zrozumiała dla dzisiejszego człowieka. Ale to jest chrześcijaństwo.

Chrześcijański ideał czystości nie ogranicza się do czystości seksualnej. Nie tylko pożądaniem zmysłowym, lecz żadnym egoistycznym pragnieniem nie wolno przysłaniać jedyne go celu, każde jest zbrukaniem duszy, która powinna być niepokalanie białą kartą, aby na niej wpisywał się Bóg.

Moralność chrześcijańska jest surowsza od wiktoriańskiej. Wiktoriańska jest bardziej zewnętrzna, chrześcijańska — bardziej wewnętrzna. „Každy kto by spojrział na kobietę z pożądaniem, już ją scudzołożył w sercu swoim”. Fizyczne dziewictwo jest niemal obojętne chrześcijaninowi, chodzi mu o duchowe. Kasjan zapisał bolesne wyznanie św. Bazylego: „Nie jestem dziewicą, choć nie wiem, co to kobieta”.

Chrześcijanin zakazuje sobie (to ważne: sobie) szukania nie tylko grzesznej rozkoszy, lecz i — uprawnionej. Każda jest dla niego grzeszna, dopóki pcha go do niej miłość własna. Małżeństwo jest dla niego nie tyle podstawową komórką i wygodnym urządzeniem, ile wyjściem z miłości własnej ku miłości-przyjaźni dwojga osób, ku ich wzajemnemu oddaniu się z zapomnieniem o sobie, a przede wszystkim — sakramentem. Chrześcijanin jest uczciwy, rozkoszy płciowej nie obrzydza sobie ani innym przedstawiając ją jako coś brzydkiego czy zwierzęcego. Przeciwnie, widzi w niej przepiękną metaforę innej unii: człowieka z Bogiem. W małżeństwie chrześcijańskim metafora przeobraża się w sakrament. Znak staje się tym, co oznacza.

Zarazem jednak moralność chrześcijańska jest od wiktoriańskiej łagodniejsza. Stawiając człowiekowi niezmiernie wysokie, chciałoby się powiedzieć: nieludzkie wymagania, szalenie wygórowane ideały: bezwzględnej czystości nie tylko uczynków, ale i serca, albo w celibacie, albo w przebóstwionym, doszczętnie uświęconym związku małżeńskim — wszystkie odstępstwa od tej arcy-normy traktuje właściwie jednakowo, bez potępiania, bez ostracyzmów, bez obrzydzania, lecz z ogromnym współczuciem. Chwilami jest ono podobne do tolerancji głoszonej przez nową moralność, z tą oczywiście różnicą, że nowa moralność nie uznaje upadków za upadki, a chrześcijańska — docenia tragizm każdego potknięcia się na przeznaczonej człowiekowi, a przez większość ignorowanej, drodze ku szczytom, osiągalnym za sprawą łaski.

Porównanie dwu starych moralności, między sobą i ich obu z nową należałoby szczegółowiej rozwinąć. Praktycznym celem tych rozważań jest jednak tylko zwrócenie uwagi na nagminne w naszych czasach mieszanie moralności wiktoriańskiej z chrześcijańską. Nie wychodzi to na korzyść ani moralności chrześcijańskiej (którą poniża), ani nowej (którą na oślep bije w dwa całkiem odmienne cele swych ataków), krzepi tylko wiktoriańską ponad miarę jej użytkowej i ulegającej zmianom wartości.

Michał CHMIELOWIEC

Dziesięć «jesieni» w Warszawie

Cyfry okrągłe, zerem zakończone, skłaniają nas na ogół do podsumowań, jubileuszowych wspominków i wystawiania cenzurek. Nie ma oczywiście żadnych powodów by ten „zerowy” automatyzm pokrywał się z jakimś historycznie zamkniętym procesem — ma więc charakter symboliczny raczej i trochę w myśl zasady, że „kiedyś przecież trzeba”.

Dziesiąty Międzynarodowy Festiwal Muzyki Współczesnej, zwany „Warszawską Jesienią” odbył się w prawdzie w ubiegłym roku ale do dziś krajowa prasa kulturalna z „Ruchem Muzycznym” na czele poświęca mu sporo miejsca. W istocie, dorobek tych dziesięciu festiwali jest w skali europejskiej szczególnym fenomenem a jego znaczenie przekracza normalne ramy tego rodzaju imprez.

Nie należy warszawski festiwal ani do najstarszych ani do najbardziej przez międzynarodową publiczność uczęszczanych. Ułatwił on jednak wydatnie światowy awans muzyki polskiej a co więcej, niemałą rolę odegrał w zintegrowaniu muzyki europejskiej wokół prądów i tendencji żywych i twórczych, pomagając w destrukcji i kompromitacji ograniczeń związanych z estetyką socrealizmu.

Sama idea festiwalu starsza jest od schizmy spowodowanej teoriami Żdanowa. Gdy w roku 1939 gościła Warszawa festiwal Międzynarodowego Towarzystwa Muzyki Współczesnej (odbywa się on co roku w innym kraju), mówiło się już wtedy o zorganizowaniu w Polsce podobnej imprezy o charakterze regularnym. Po roku 1945 jednakże, sprawa przestała być, na jakiś czas, aktualna. W centralistycznie kierowanym życiu artystycznym zabrakło po prostu miejsca na sztukę współczesną. W muzyce, anatemą „formalizmu” obłożono wszystko, co wydarzyło się nowego, począwszy od Debussy'ego. Indeks ten stworzony został z zadziwiającym rozeznaniem — nie pominięto, w rzeczy samej, ani jednej historycznie ważnej orientacji stylistycznej. Strawiński, Hinde-

mith i Schönberg potraktowani zostali jak... literatura pornograficzna nieomal. A jeśli tolerowano Bartóka i Szymanowskiego, to tylko z uwagi na występujący u nich element folklorystyczny.

W Polsce, na szczęście, aberracja ta królowała stosunkowo krótko i w złagodzonej (w praktyce) formie. Już ok. 1954 sytuacja zmieniać się z zadziwiającą szybkością. „Muzyka formalistyczna” powraca do programów koncertowych i uczelni muzycznych. Spotyka się ona z entuzjastycznym przyjęciem, przy czym autentyczne zainteresowanie wspomaga postawa szerokiej publiczności (trochę jak w tej anegdotce o rabinie, który zaczął chodzić na mszę bo „też był przeciw rządowi”).

Większość kompozytorów przechodzi wówczas „kurację” systemu dodekafonicznego. Bohdan Wodiczko, ówczesny dyrektor Filharmonii Narodowej bazuje przeszło połowę swego repertuaru na muzyce XX wieku. I wtedy właśnie idea festiwalu znajduje podatny grunt.

Pod egidą Związku Kompozytorów Polskich, dzięki wysiłkom szeregu kompozytorów (m.in. Tadeusz Baird i Kazimierz Serocki), inauguracja odbywa się w październiku 1956, na kilka dni zaledwie przed pamiętnymi wydarzeniami. Ta pierwsza „Warszawska Jesień” miała jeszcze profil dość chaotyczny. Doszło nawet do takich curiosów, jak włączenie do programu symfonii Brahmsa i Czajkowskiego. Począwszy jednak od drugiego festiwalu, który odbył się dwa lata później (od tego czasu odbywa się corocznie), jego charakter krystalizuje się coraz wyraźniej w kierunku dzisiejszej formuły.

Przez 8-10 dni odbywają się dwa koncerty (lub spektakle czy konferencje) dziennie a całość programu daje dość obszerny obraz istniejących kierunków. Z grubsza wyróżnić można cztery elementy:

1) Klasycy współczesności — tradycyjna pozycja festiwalu tego rodzaju z pokaźnym uwzględnieniem twórczości Karola Szymanowskiego.

2) Cały wachlarz szkół tzw. awangardy, od Bouleza i Xenakisa po Cage’a i Pierre Schaefera.

3) Selekcje narodowe krajów komunistycznych — w mniejszym lub większym stopniu narzucone organizatorom i odwierciadlające wytyczne „realizmu socjalistycznego”. Ostatnio — zwraca tu uwagę pozytywna ewolucja programów czechosłowackich, rumuńskich i węgierskich w stronę nowszych środków wypowiedzi.

4) Muzyka polska, której kryteria doboru zasługują na uznanie, zważywszy, że szereg debiutantów „Jesieni” ma dziś poważną, światową pozycję. Spośród kompozytorów emigracyjnych wykonywano Spisaka, Szałowskiego i Maciejewskiego. W jednym tylko wypadku Palestra (1958) a twórczość Panufnika pominięta została milczeniem. Fakt ten wyznacza granice swobody wyboru.

Kilka cyfr z załączonego w programie X „Warszawskiej Jesieni” katalogu da pojęcie o dorobku festiwalu. Pierwsza dziesiątka zaprezentowała ok. 200 koncertów symfonicznych i kameral-

nych, spektakli operowych i baletowych i specjalistycznych odczytów. Objęły one dzieła przeszło 300 kompozytorów a lista wykonawców jest imponująca. Obok najlepszych zespołów i solistów polskich znajdujemy tam wybitnych wykonawców zagranicznych: 41 orkiestr i chórów (m.in. R.T.F. z Paryża, z Moskwy, Leningradu, Pittsburga, Tokio, Bukaresztu, Wiednia, Genewy i Berlina), 20 zespołów kameralnych (wśród których amerykańskie kwartety Juillard i La Salle, paryski Parrenin, Tatrai z Budapesztu, kwartet im. Beethovena z Moskwy i zespół perkusistów ze Strasbourg'a), 10 zespołów operowych i baletowych (od ultratradycyjnego moskiewskiego „Bolszoj” po eksperymentalny balet Merce Cunningham'a). Spośród dyrygentów wymienimy Ansermeta, Mrawińskiego, Barszaja, Simonovica, Steinberga, Cerhę i samego Strawińskiego, nie mówiąc już o całej krajowej elicie z Krenzem, Wiśłockim, Rowickim i Skrowaczewskim na czele. Soliści wreszcie — Rubinstein, Richter, Rostropowicz, Sze-ryng, Cassadó oraz wybitni specjaliści od muzyki współczesnej jak Gazzeloni, bracia Kontarscy, Barberian, Palm, Rzewski i td.

Nie brak jednak na świecie festiwali, dysponujących o wiele poważniejszymi środkami finansowymi i nie statystyczna obfitość decyduje o oryginalności i specyficznym obliczu „Warszawskiej Jesieni”. Jej najbardziej uderzającą cechą jest ciągła konfrontacja szkół awangardowych z muzyką bardziej zachowawczą lub nawet anachroniczną. W Darmstadt'cie, Palermo czy Royan np. nikomu nie przyjdzie na myśl wykonywać utwory Szostakowicza, a Stockhausena i Bussottiego niesposób usłyszeć w Moskwie czy Sofii. W Warszawie gra się jednych i drugich i to zestawienie zmusza do porównań. Mamy więc do czynienia z rodzajem spotkania, meczu wręcz, między zaciekłymi nowatorami i niemniej zaciekłymi konserwatystami. Arbitrem tego spotkania jest publiczność, wśród której przeważa element młody. Ciekawe jest i symptomatyczne, że muzyka „trudna”, ambitna w swych założeniach, jest na ogół lepiej przyjęta niż komfortowy dla ucha akademizm. Pozwała to na zrewidowanie wielu mitów na temat „rozumiałości” i „komunikatywności”.

Czy tego rodzaju „wolna konkurencja” korzystniejsza jest dla rozwoju muzyki niż wąska specjalizacja zachodnioeuropejskich festiwali-laboratoriów? Skłonni jesteśmy tak myśleć, wzięwszy pod uwagę, że sukces ostatniego dziesięciolecia muzyki polskiej był w znacznej mierze uwarunkowany istnieniem „Warszawskiej Jesieni”. Nie wiadomo wprowadzić gdzie skutek a gdzie przyczyna, lecz faktem jest, że festiwal ten pozwolił na wylansowanie nazwisk i utworów o wartości niewątpliwej. Tadeusz Baird, Kazimierz Serocki, czy nawet Lutosławski pokazali tu swoje pierwsze, w pełni dojrzałe utwory. Z końcem lat pięćdziesiątych pojawiają się nowe indywidualności — Henryk Mikołaj Górecki, Krzysztof Penderecki i Bogusław Schäffer. Wkrótce staną się oni znani poza granicami kraju. Nie brak bowiem na festiwalu zagranicznych obserwatorów — przedstawicieli radiowych rozgłośni, wydawców, krytyków etc. Idą za tym zamówienia, nagrania,

możliwości wymiennych kontaktów. Jak bardzo impreza ta była propagandowo opłacalna, świadczy o tym fakt, że dzisiaj, w samych tylko Niemczech Zachodnich, ilość wykonń polskiej muzyki współczesnej większa jest niż w samej Polsce.

Promieniowanie „Warszawskiej Jesieni” daje się jednak zauważyć również w innym kierunku. Goście przyjeżdżają także z krajów komunistycznych a wśród nich młodzi kompozytorzy i wykonawcy. Ich reakcje bywają rozmaite. Wśród doktrynerów socrealizmu, to co dzieje się w Polsce wzbudza „święte oburzenie”. Zacytujmy choćby „Sowiecką Muzykę”, której redaktor naczelny, Helena Groszewa, tak pisze w liście otwartym do redaktora „Ruchu Muzycznego” — Zygmunta Mycielskiego¹: „...nasi kompozytorzy i krytycy w ostatnich latach szczerze wypowiadali swoje niepokoje i wątpliwości, obserwując niepohamowany pociąg polskich kolegów w stronę formalno-technicznych eksperymentów. Przecież między tymi, którzy ulegli propagandzie awangardy odnajdujemy nie tylko niedojrzałą młodzież, ale i rasowych autorów, tak niedawno jeszcze tworzących dzieła błyskotliwe w swoim mistrzostwie, dzieła o głębokiej treści, ściśle związane z ludową kulturą narodu” — i dalej — „Wielcy klasycy wychowali nas w niezachwianej pewności, że sztuka to katedra, z wysokości której artysta zwraca się do ludzkości ze słowami dobra i prawdy (Gogol), że muzyka to „środek porozumienia między ludźmi” (Musorgski). I nie odrzucimy tych przekonań do pomyślnego rozwoju muzyki w ZSSR, tylko powodu, że kilku artystów — niechby nawet i utalentowanych, ale tych co utracili grunt pod nogami w burżuazyjnym świecie — zapoczątkowało awangardę”.

Tyle — tow. Groszewa. Kłopot w tym jednak, że ta wyklina i pogardzana awangarda ma już swoich przedstawicieli wśród młodzieży kompozytorskiej ZSSR. A nacisk administracyjny osłabł na tyle, że nie da się już zatrzymać tego procesu. I mało kto chce na serio go zatrzymywać, poza niedobitkami żdanowskiego *ancien régime*’u na kierowniczych synekurach. W końcu, ani komunizm ani marksizm nie implikują muzycznej ignorancji! Jeśli dziś muzyka w ZSSR liczyć może na pomyślny rozwój, to nie dzięki Szostakowiczowi, Chaczaturianowi czy Chrennikowowi ale dzięki kompozytorom takim jak Denisow, Grabowski, Siwestrow i Pärt (ten ostatni jest Łotyszem). W Czechosłowacji — Komorous, Kopelent, Kotik i Kupkovic, w Rumunii — Olah i Stroe, na Węgrzech — Kurtag i Szekely, wszyscy oni piszą muzykę lepszą lub gorszą lecz autentyczną — muzykę swojej epoki. Dla niektórych z nich była Warszawa odskocznią do międzynarodowej kariery. W ślad za nią idą Zagrzeb, Darmstadt i paryski „Domaine Musical”.

Wreszcie, od kilku lat, ma miejsce na „Warszawskiej Jesieni” seria debiutów kompozytorów polskich najmłodszego pokolenia. Pod tym względem, polityka Komitetu Organizacyjnego wydaje się szczególnie dalekowzroczna. Utalentowani absolwenci wyż-

1. „Sowiecka Muzyka”, Moskwa, nr 5/66.

szych szkół muzycznych znajdują bez większej trudności okazje zademonstrowania swoich prac, często dalekich od dojrzałości ale na ogół wykazujących duże ambicje jeśli chodzi o język dźwiękowy. Do najciekawszych festiwalowych debiutów ostatnich lat należały kompozycje Tomasza Sikorskiego (syna znanego pedagoga i kompozytora — Kazimierza), Zbigniewa Rudzińskiego, Krzysztofa Meyera i Zbigniewa Bujarskiego. Uzupełnieniem niejako tego aspektu „Jesieni” są festiwale krajowe we Wrocławiu i Poznaniu o orientacji bardziej „umiarkowanej”.

Ta stosunkowo uprzywilejowana sytuacja młodych „awangardystów” wydaje się zresztą kryć pewne niebezpieczeństwa. Daje się na przykład zauważyć tendencja do pisania „muzyki festiwalowej”, efektownej wykazującej duże znanstwo najnowszych technik a przecież pachnącej niekiedy swoistym „akademizmem awangardy”. A może po prostu wczorajsza „awangarda” stworzyła już język uniwersalny i obiegowy — konwencję, w której już nie tylko o „nowe” i „własne” chodzi ale także (trochę) o sukces u słuchacza? Nie byłoby w tym nic zaskakującego i zjawisko, jeśli nie jest odgórnie narzucone wydaje się objawem zdrowym i normalnym. Zastanawia tylko — kto i w imię czego zarzuci wsteczniectwo dzisiejszej awangardzie...

Akcentem uroczystym jubileuszowej X „Warszawskiej Jesieni” był zarówno udział Artura Rubinsteina w inauguracyjnym koncercie (w Symphonie Concertante Szymanowskiego) co wykonanie dwóch dzieł o monumentalnych rozmiarach. Pierwszym była zamówiona przez radio w Kolonii „Pasja według św. Łukasza” Pendereckiego, za którą kompozytor otrzymał ostatnio „paxowską” nagrodę im. Pietrzaka. Ten dwugodzinny kolos wywołał reakcje dość rozbieżne. Mycielski, który poświęcił jej entuzjastyczny artykuł w „Preuves” — „La vraie Passion!” — uważa ją za „syntetyczne dzieło naszych czasów”, Tomasz Sikorski natomiast tak pisze o niej w studenckim magazynie „ITD”: „...większość z tych, którzy uważają Pasję za dzieło wielkie — to ludzie, którzy niewiele rozumieją z ducha muzyki nowej i wciąż tęsknią do starych ideałów”. W każdym razie, nie ulega wątpliwości, że Penderecki, który stał się jedną z najmodniejszych osobistości „nowej muzyki” oddala się w Pasji od radykalizmu swoich wcześniejszych utworów. Czyż nie podobnie czynili, w swoim czasie, Ryszard Strauss i Strawiński? W przeciwieństwie do Pendereckiego Baird jest ciekawym przykładem stylistycznego monolitu. Złośliwi twierdzą, że od lat pisze on właściwie ten sam utwór. Jeśli nawet jest w tej opinii trochę racji i odziedziczony po Schönbergu i Szymanowskim ekspresjonizm jego muzyki nie wolny jest od monotonii, to w każdym razie jest to kompozytor o silnej, świadomej swoich środków, indywidualności. Niemniej jednak, premiera jego opery „Jutro” (z librettem Jerzego S. Sito, wg noweli J. Conrada) przyjęta została dość chłodno, głównie ze względu na brak nerwu dramatycznego i prymitywny naturalizm libretta.

Jedynym niezaprzeczalnym ewenementem X festiwalu stał się

w tych warunkach symfoniczny „Refren” Góreckiego, kompozytora mało o rozgłos dbającego, którego nie waham się uważać za najwybitniejszego polskiego twórcę młodego pokolenia.

Minęły już czasy, w których los „Warszawskiej Jesieni” wydawał się niepewny. Od strony oficjalnej ustały ataki i mimo względnej skromności budżetu, przyszłość jej jest zapewniona. Osiągnięty międzynarodowy prestiż powoduje, że zewsząd kompozytorzy i wykonawcy ubiegają się o festiwalowe wykonania, coraz liczniej zjawia się zagraniczna publiczność, a cykl wydawanych płyt z polskimi premierami stanowi artykuł tyleż poszukiwany co... trudny do znalezienia. Życzyć sobie należy, by następne dziesięciolecie okazało się równie owocne i inspirujące, by dzisiejsza „awangarda” nie stała się wpływową *instytucją*, wreszcie, by muzyka proponowana przez festiwal nie straciła nieodłącznej cechy tego co nowe — mocy oburzania i prowokacji. I nie martwmy się na zapas co z tej muzyki „zostanie”!

Jerzy GAJEK

Komunikat

STYPENDIA „POLONICA TECHNICA”

Stowarzyszenie Polsko-Amerykańskich Inżynierów w Stanach Zjednoczonych, „POLONIA TECHNICA”, Inc., uchwaliło przyznać na rok akademicki 1967/1968 stypendia studentom Polakom matrykulowanym na wyższych uczelniach zagranicznych i studiującym nauki techniczne lub pokrewne. Stypendia, w maksymalnej wysokości \$ 300 (trzysta dolarów) każde, płatne będą w ratach według uznania Komisji Stypendialnej.

Zainteresowani studenci winni nadesłać w terminie do dnia 15 czerwca 1967 roku umotywowane podania pod adresem:

Polonia Technica, Inc.
Komisja Stypendialna,
36 West 56 Street, Apt. 1-C,
NEW YORK, N.Y. 10019, U.S.A.

Do podania należy załączyć życiorys, zaświadczenie uczelni o przyjęciu na rok 1967/1968 oraz rezultatach dotychczasowych studiów, i referencje dwu osób, znających kandydata osobiście.

W myśl regulaminu Funduszu Stypendialnego pierwszeństwo przy równych kwalifikacjach przysługiwać będzie kandydatom bardziej zaawansowanym w studiach.

Zawiadomienia o ewentualnym przyznaniu stypendium wysłane będą w terminie do dnia 15 lipca 1967 roku.

ZARZĄD „POLONIA TECHNICA, INC.”

Jerzy Hoffman,
Prezes

Jan G. Holm,
Przewodniczący Komisji Stypendialnej

O książce Jana Libracha

Praca Jana Libracha pt. *The Rise of the Soviet Empire*¹, poświęcona sowieckiej polityce zagranicznej, osiągnęła w Stanach Zjednoczonych ogromny sukces — w znacznej mierze, moim skromnym zdaniem, zasłużony. Książka jest rzeczywiście jedną z najbardziej wyczerpujących i najlepiej napisanych ze wszystkich, jakie na ten temat dane nam było przeczytać. Autor, były dyplomata polski, posiada, rzecz jasna, pierwszorzędne kwalifikacje do podjęcia tego tematu. Dzięki szerokiej kulturze i niezaprzeczalnemu talentowi pisarskiemu potrafił on, przy jednoczesnym popisie niecodziennej erudycji, uniknąć kompilacji, tym samym utrzymując uwagę czytelnika od początku do końca.

W wypracowanej z dużym znanstwem części pierwszej Jan Librach ukazuje samą istotę sowieckiej polityki zagranicznej, tj. dostosowanie jej do doktryny komunistycznej. Świetna jest zwłaszcza w tym względzie jego analiza „pokojowego współistnienia”. Jego określenie: „Do zdobycia władzy przemoc jest może niepotrzebna, stosować ją zaś należy, gdy się już władzę ma w rękę”, całkowicie się zgadza z poglądem krzewicieli „pokojowego współistnienia”, polegającym na dostosowaniu się Kremla do potrzeb sytuacji międzynarodowej, rządzonej przez fakt istnienia energii atomowej, jak i przez inne nowe czynniki.

Część druga, „Dyplomacja i inne metody”, jest szczególnie ciekawa. Autor dokonuje tu przeglądu polityki zagranicznej młodego „państwa rewolucyjnego”, od jego utworzenia w r. 1917 do tajnego porozumienia sowiecko-niemieckiego w 1939. Bardzo jasno przedstawia Jan Librach rolę „międzynarodówek komunistycznych”, Kominternu i Kominformu, jako narzędzi sowieckiej polityki zagranicznej, przy czym Kominform jest tu potraktowany antycypacyjnie, jako że pojawi się on dopiero w 1947 r. Rozdziały poświęcone następującym sprawom: „Rewolucja i moralność”,

1. Wyd. Frederick Praeger, New York, 1964, II wyd. 1965.

Rapallo, „Armia rekonesansowa”, Locarno i td., są jasne i dobrze skomponowane. Można by jednak autorowi zarzucić to, że w dziedzinie wojskowej nie dość mocno podkreślił doniosłość traktatu w Rapallo — tego nowego wydania bajki La Fontaine’a „Ślepiec i paralityk” — dzięki któremu Reichswehrze i Czerwonej Armii udało się rozwinąć i wzmocnić. Nawet jeśli ten aspekt sprawy wybiega poza ramy polityki zagranicznej, wywarł on z czasem na tę ostatnią niejaki wpływ. Podobnie w rozdziale dotyczącym wpływu Hitlera na politykę sowiecką autor zlekceważył jedną — w moim mniemaniu bardzo ważną — sprawę, mianowicie ustalenie zakresu odpowiedzialności Stalina za dojście do władzy Hitlera. Nawet jeśli nam brak dokumentów o działalności Kominternu w Niemczech lat trzydziestych, wolno nam na podstawie pewnych świadectw wywnioskować, że Stalin, w swej nienawiści do niemieckich socjal-demokratów, podjudził niemiecką Partię komunistyczną względem NSDAP do odegrania roli sprzymierzeńca *de facto*. Pewne jest, że autentyczna koalicja SPD-KPD byłaby mogła Hitlerowi utrudnić dojście do władzy. Stalin, moim zdaniem, tak samo mylnie ocenił sytuację w Niemczech, jak w Chinach w związku z Kuomintangiem. Skoro już jesteśmy przy zarzutach — które zresztą w niczym nie obniżają mojej wysokiej opinii o książce — wydaje się, że autor nie dostrzegł popełnionego przez Stalina błędu taktycznego w Hiszpanii podczas wojny domowej. Błąd ten polegał na prowadzeniu walki na dwa fronty: przeciw Franco i przeciw niekomunistycznym odłamom, istniejącym w łonie koalicji republikańskiej (umiarkowani, anarchiści i td.). Antonow-Owsejenko, który zbuntował się przeciwko temu błędowi, został odwołany do Moskwy ze stanowiska ambasadora w Hiszpanii, i dopiero w 1958 r. został „pośmiertnie” zrehabilitowany.

Część trzecia, zatytułowana „Imperializm”, jest doskonała. Rozdział poświęcony „celom wojny” jest wypracowany po mistrzowsku. To samo dotyczy rozdziału o ekspansjonizmie terytorialnym.

Jeżeli chodzi o część czwartą, omawiającą epokę Zimnej Wojny, jest ona również bardzo zajmująca. Być może, że autor, z racji swojego przygotowania dyplomatycznego, jest jeszcze zbyt przywiązany do klasycznych pojęć pokoju i wojny. Toteż badając zjawisko zimnej wojny nie wyciąga zeń wszystkich wniosków, a mianowicie: 1) że „pokój” jest obecnie formą wojny *par excellence* (prowadzi się pokój, podobnie jak Clémenceau prowadził wojnę); 2) że ten „wojno-pokój” wynika tyleż z marksistowsko-leninowskiej koncepcji walki, ile z istniejącego strasznaka atomowego; 3) że od 1963 r. „trzeci konflikt światowy” zakończył się „zawieszeniem broni” w Moskwie i że od tego czasu weszliśmy w „czwarty konflikt światowy”.

Można by do tego spostrzeżenia, o charakterze ogólnikowym, dorzucić dwa inne, bardziej szczegółowe. Jedno dotyczy dokonanej przez autora analizy paryskiej Konferencji na Szczycie w maju 1960. Podobnie jak większość zachodnich badaczy, popełnia

Jan Librach fatalną pomyłkę zakładając, że Chruszczow przyjechał do Paryża z zamiarem „storpedowania” Konferencji. W istocie sowiecki przywódca przyjechał z niezłomnym zamiarem wyciągnięcia — drogą szantażu, którym poprzedził „usprawiedliwienie się” — jeszcze poważniejszych ustępstw. Szczytem wszystkiego jest to, że o mało nie osiągnął celu, bo nie tylko MacMillan, przerażony, wyszedł w danym wypadku na jego najłepszego sprzymierzeńca, ale, co więcej, sam gen. Eisenhower znalazł się w ogromnym kłopotcie. Nie komu innemu, jak tylko gen. de Gaulle’owi należy ostatecznie zapisać na rachunek zrozumienie sowieckiego manewru i spowodowanie jego klęski. Trzeba było, jak niżej podpisany, przeżyć owo wydarzenie, aby wiedzieć, jak rzeczywiście sprawa wyglądała. Jak już pisałem w *„L’Agonie du régime en Russie soviétique”* (Agonia reżymu w ZSSR*) jedynie *L’Humanité*, przynajmniej raz napisała prawdę, drukując dużymi czcionkami tytuł „De Gaulle storpedował Konferencję na Szczycie”. Ważny to szczegół, bo owa Konferencja oznacza początek upadku Chruszczowa. To również uzasadnia jego zachowanie się podczas omówionej przez Librachę konferencji prasowej, jak też i to, co miało miejsce później.

Co się tyczy „konfliktu chińsko-sowieckiego”, autor, ograniczając się do przestudiowania polityki zagranicznej, nie wydaje mi się dostatecznie zaznajomiony z przesunięciami w ZSSR bezpośrednio po śmierci Stalina, a w szczególności zapomina, że w ciągu całej walki o władzę, toczącej się w Moskwie od 1953 do 1957, Chruszczow był kandydatem chińskim. To wyjaśnia gniew Mao i jego grupy, gdy w 1958-1959 spostrzegli, że się pomylili co do osoby Chruszczowa. Ta ostatnia część, dorzucona do książki, jest, moim zdaniem, najmniej udana, a to z tej przyczyny, że Jan Librach, podobnie jak większość zachodnich specjalistów, nie przywiązuje dostatecznej wagi do „religijnej” istoty rosyjskiego czy chińskiego komunizmu. Ponieważ nie dojrzał tego zasadniczego pierwiastka, nie zdołał też jasno wytłumaczyć zgubnego przesilenia, które wpływa i na teokrację materialistyczną „na drodze do laicyzacji”, i na chińską teokrację materialistyczną w pełni „sawonarolizmu”. Toteż kończy on książkę jedynie na sowieckiej skłonności do przywrócenia godności nowej odmianie „frontów ludowych”.

Przeżywamy jeden z najciekawszych okresów historii świata; tak dobre dzieło, jakim jest książka Librachy, powinno się być zakończyć jakąś prawdziwą wizją przyszłości. Być może, że nie pozwoliła autorowi na to jego ostrożność dyplomaty. Żałuję, tym bardziej, że jego książka bardzo mi się podobała.

Michel GARDER

(Przełożyła z francuskiego Olga Scherer)

* Instytut Literacki, grudzień 1965.

Dwa wydawnictwa

W ubiegłym roku ukazały się, nakładem Gryf Publications w Londynie, dwa wydawnictwa, stanowiące przyczynek do najnowszej historii Polski. Są to: *Materiały historyczne generała Kazimierza Sosnkowskiego*, oraz pamiętniki generała A. J. Narbut-Łuczyńskiego, zatytułowane *U kresu wędrówki*. Oba te dzieła różnią się znacznie tak pod względem formy jak i wartości dokumentarnej. Przyświeca im jednak wspólny cel: dostarczenie historykowi materiałów do dziejów najnowszych.

Książka Kazimierza Sosnkowskiego ma swój poważny ciężar gatunkowy. To ogromne dzieło — ponad 680 stron druku — zawiera wybór źródeł, bez których przysły biograf nie będzie mógł się obyć. Książka składa się z trzech części. Pierwsza nosi tytuł „materiały do życiorysu”, druga „Rozkazy, przemówienia, wywiady”, trzecia „różne”. Najciekawsza jest chyba część pierwsza, na którą składają się nieznane listy, wywiady, telegramy i naświetlenia spraw takich, jak kryzys rządowy w Anglii z lipca 1940 roku, przesilenie w 1941 roku, usunięcie Sosnkowskiego ze stanowiska naczelnego wodza w 1944 roku i inne. Część druga, która stanowi gros całego tomu, obejmuje około stu rozkazów, przemówień i wywiadów, poczynając od mowy do Kraju z Paryża z 31 marca 1940 r. a kończąc na liście do delegatów zjazdu SPK w Stanach Zjednoczonych z 15 sierpnia 1963 r. Z punktu widzenia historyka główna wartość tej części polega na tym, że daje ona możliwość zapoznania się z poglądami generała Sosnkowskiego na szereg kluczowych zagadnień drugiej wojny światowej i lat emigracji. Zarówno treść jak i forma tych wypowiedzi — z charakterystycznym dla pokolenia Generała, częstym cytowaniem wielkich poetów — pozwalają zaznajomić się z jego sposobem myślenia i wyrażania tych myśli. Są to jednak wszystkie oświadczenia publiczne, a więc tylko fragment i to nie najważniejszy działalności politycznej Kazimierza Sosnkowskiego. Pism tajnych, z wyjątkiem rozkazu oficerskiego nr 3 z 20 sierpnia 1944, nie ma. Tom nie obejmuje również tajnej korespondencji naczelnego wodza z Krajem i źródeł do spraw politycznych emigracji. Część tych materiałów, jak stwierdza Józef Matecki we wstępie, będzie osobno ogłoszona.

Jest rzeczą zrozumiałą że nawet obszerny tom nie mógł zamknąć całokształtu wieloletnich prac generała Sosnkowskiego. Pomijając nawet okres emigracyjny, Kazimierz Sosnkowski odegrał ogromną rolę w życiu politycznym Polski od chwili założenia Związku Walki Czynnej w 1908 roku do Powstania Warszawskiego. W wielu wypadkach rola jego była wysoce kontrowersyjna. Stwierdza to on sam, polemizując z zarzutami wobec jego poli-

tyki w latach 1920, 1939, 1940 i 1944. Do dat tych dorzucić by jeszcze należało rok 1926. Nie jest mi wiadome czy generał Sosnkowski pisze swe pamiętniki. Historyk, dla którego takie zagadnienia jak pokój czy wojna z bolszewikami, przewrót majowy, niepowołanie rządu jedności narodowej w 1939 roku, kryzys polityczne na emigracji i kwestia odpowiedzialności za Powstanie Warszawskie należą do kluczowych zagadnień, odczuwa brak szczegółowych wypowiedzi Sosnkowskiego, jako poważną lukę źródłową. Jak wydawca *Materiałów historycznych* zaznacza, „trudność dotarcia do tekstów przedwojennych, ograniczyła znacznie ich ilość w niniejszym tomie”. W praktyce tekstów takich jest minimalna ilość. Oczywiście dokumentów jest mało, ale istnieje ich więcej niżby można przypuszczać. W wydanych w Polsce protokołach Rady Obrony Państwa znajdziemy niejedną wypowiedź generała Sosnkowskiego. W archiwach Instytutu im. Józefa Piłsudskiego jest ich więcej.

Uwagi powyższe nie mają na celu umniejszania wartości *Materiałów historycznych*. Zbiór wypowiedzi Kazimierza Sosnkowskiego a także urywki z korespondencji są materiałem bogatym, ciekawym i cennym. Pomimo drobnych usterek drukarskich, trudnych do uniknięcia w wydawnictwach emigracyjnych, tom jest opracowany starannie i przejrzyście. Dokładny skorowidz ułatwia posługiwanie się wydawnictwem. Dzieło, będące pierwszym tego rodzaju zbiorem materiałów, zasługuje na uznanie. Nasuwa się jednak refleksja o konieczności wydania, a przynajmniej zebrania, pełnych źródeł do politycznej działalności generała Sosnkowskiego, zwłaszcza teraz, kiedy badacz może jeszcze korzystać z naświetleń i osobistych wspomnień głównego aktora wielkich procesów historycznych.

Wspomnienia generała Narbut-Łuczyńskiego mają o wiele mniejszy zasięg, gdyż jak sam autor to podkreśla, nie może on pretendować do roli koronnego świadka czy mentora. Ani zajmowana przez niego pozycja w hierarchii państwowej ani autorytet w życiu politycznym nie uprawniają go do tego. Wspomnienia swe napisał, chcąc wydobyć „z zakamarków pamięci nowe naświetlenia”, które mogą kiedyś pomóc do „wyłuskania ziarna prawdy”. Umieszczając swe reminiscencje w kontekście wielkich wydarzeń, Łuczyński zastrzega się, że nie jest historykiem a więc nie może „rościć pretensji do ścisłości historycznej odtwarzanego tła”.

Książka generała Łuczyńskiego nie wnosi rewelacji, a tło nie jest pozbawione drobnych pomyłek czy uproszczeń. Uważny czytelnik znajdzie w niej jednak sporo ciekawego materiału. Autor traktuje kontrowersyjne zagadnienia z umiarem, nie wykazuje też chęci fryzowania przeszłości. Stosunkowo najmniej interesujące są pierwsze rozdziały: dzieciństwo, wczesna młodość i okres legionowy. Generał Narbut-Łuczyński wspomina parokrotnie osławione pamiętniki Leona Berbeckiego, ale nie znajduje dość miejsca, aby poddać je wnikliwej krytyce. Oczywiście *U kresu wędrówki* nie nadaje się do dłuższej polemiki z wywodami Ber-

beckiego, ale byłoby bardzo wskazane, aby Łuczyński poświęcił im kiedyś osobną rozprawę.

Opis kampanii 1920 roku, a zwłaszcza scen z odwrotu, odznacza się obiektywizmem autora. Zbyt często autorzy emigracyjni pokazują blaski, przemilczając wstydliwie cienie. Jeśli Józef Piłsudski mógł w pewnym momencie wyprawy kijowskiej pisać z goryczą o „naszym grabiącym wojsku”, które utrudniało mu polityczne zadania, jeśli znane są warunki improwizacji, w jakich tworzyła się armia, generał Łuczyński dobrze robi wspominając o błędach i rozprzężeniu, które panowało podczas odwrotu. Kampania bolszewicka była pełna momentów bohaterstwa i poświęcenia, ale, jak każda wojna, miała też swe ciemne strony. Czytelnik czytając o nich nabiera większego zaufania do skrupulatności historycznej autora.

Pisząc o „Litwie Środkowej” i jej twórcy generale Żeligowskim, Narbut-Łuczyński wprowadza trochę elementu anegdotycznego i humoru. Dodaje to kolorytu wspomnieniom, a zarazem uwypukla w dość zabawny sposób polityczną naiwność Lucjana Żeligowskiego.

Rozdział zatytułowany „Pokojoye warunki pracy i życie wojska” oraz następne są interesujące, gdyż na ogół mało jest wspomnień byłych wyższych dowódców, niezaangażowanych czynnie w życie politycznym kraju. Wspomnienia pułkownika Romeyki na łamach „Wojskowego przeglądu historycznego” pachną sensacją i robią wrażenie rozgrywek z byłymi szefami i kolegami. Narbut-Łuczyński nie przeprowadza tego rodzaju rozrachunków z przeszłością. Wśród opisywanych spraw pewną ciekawostkę stanowi kwestia rehabilitacji generała Żymierskiego oraz naświetlenie rzekomo planowanego zamachu ONR. Wspomnienia z kampanii wrześniowej i drugiej wojny światowej — Francja i Szkocja — są dość przygnębiające, ale nie wnoszą wiele nowych elementów.

W ogólnej ocenie *U kresu wędrówki* pamiętać należy o tym, że autor nie spodziewał się, aby jego książka przyniosła rewelacje i ujawniła zupełnie nieznane fakty. Wspomnienia, mimo pewnych błędów w ujęciu historycznego tła, stanowią przyczynek do dziejów najnowszych. Zmiana systemu przypisów, które są dziwolągiem, utrudniającym znacznie posługiwanie się książką, powiększyłaby niewątpliwie użyteczność tej pracy dla historyka.

Piotr WANDYCZ

Niedoszły polski bard

I have never understood why he should be called „the good gray poet”. The color of his language, his temperament, his whole being is electric blue. I hardly think of him as a poet. Bard, yes. The bard of the future.

Henry Miller „Walt Whitman”.

Pytacie, kto jestem.

Na imię — nie wiem, jak mi jest.

Stanisław Piętak „Alfabet oczu”.

I

Jeden z najlepszych krytyków amerykańskich, Leslie A. Fiedler, którego badania mają zazwyczaj szerokie podłoże, w ciekawej pracy poświęconej kryzysowi literatury amerykańskiej XX wieku „Waiting for the End”, twierdzi że współczesny poeta amerykański musi w twórczości swojej pamiętać o takich zjawiskach społecznych, jak demokratyczna tradycja, jak masowa kultura — osiągnięcia typowe dziś dla Ameryki i odgrywające podstawową rolę w jej strukturze — które już w połowie dziewiętnastego wieku wypisał Whitman na swoim sztandarze poetyckim. Poezja romantyczna Europy, przeszczepiona automatycznie na amerykański ląd, rozwijała się w cieniu niemieckich, francuskich i hiszpańskich zamków. Whitman — pisze Fiedler — pragnął odrzucić arystokratyczną przeszłość, na korzyść demokratycznej przyszłości. Jest on jedynym poetą amerykańskim, którego twórczość związana z ziemią, dała początek narodowej literaturze. Wprowadził on do poezji nowy typ człowieka-emigranta, nowe, powstające na jego oczach społeczeństwo, którego on — Whitman — pragnął zostać wielkim bardem:

I will acknowledge contemporary land;

*I will put in my poems, that with you is heroism, upon land,
and sea;*

And I will report all heroism from an American point of view.

Ta rdzenność whitmanowskiej poezji zaskakuje i dopiero teraz możemy zdać sobie sprawę z jej dobrze zrozumianego „nacjonalizmu”.

Nowi przybysze z Europy nie mogli sobie pozwolić na amerykańskie hasła, co dopiero mówić o amerykańskiej literaturze.

Tylko dalekowzroczny poeta mógł o niej wtedy myśleć, siać ziarno, wierząc że zaowocuje ono w odpowiednim czasie.

Uwagi te narzuciły mi się przy czytaniu wierszy i „Notatnika poetyckiego” Stanisława Piętaka. Jeszcze w czasach przedwojennych, w okresie gdy Piętał pisał swoje poematy o ziemi, a Stanisław Czernik starał się je oprawić w ramki autentyzmu, już wtedy wydawało mi się, że twórczość Piętaka należałoby ująć zupełnie inaczej, dać jej szerszy i głębszy rodowód, umiejscowić nie w grupie takiej czy innej, ale na płaszczyźnie spraw ogólniejszych, bardziej związanych z losem człowieka niż kanonami artystycznymi.

Właściwie, żadna poetyka Piętaka nie interesowała. Od pierwszych wierszy był on przede wszystkim sobą i ta jego odrębność zrobiła z niego naturalnego sprzymierzeńca najpierw awangardy krakowskiej, a potem lubelskiej. Nowatorzy sięgnęli po niego, choć sam Piętał należał do grupy poetów, którzy nie dbali o teoretyczne zaplecze. Pamiętam go z mieszkania Rózi na Dobrej i innych, był bezustannie zajęty pisanem wierszy, „układaniem”, jak to potem określi w „Notatniku”, o formę się nie martwił. „Forma — mawiał — jest we mnie, o nią nie potrzebuję się martwić”. Inni, jak Peiper czy Brzękowski, byli nie tylko poetami. W gorącej dyskusji która się wtedy toczyła między Awangardą a Skamandrem, brali oni żywy udział, a walcząc o własne formy poetyckie, torowali drogę nowej poezji.

Jedyną, dłuższą analizą artystyczną, była odpowiedź Piętaka na ankietę „Okolicy Poetów”: „Jak powstaje wiersz”, ale i tu mówi on szeroko jedynie o treści, o wizji. Przytacza całą historię z jej fabularną stroną, której treść w rezultacie powoduje powstanie wiersza, w samym zaś wierszu treść właśnie jest jego jedyną i istotną troską.

II

Przed rozpoczęciem niniejszego szkicu, przeczytałem powtórnie esej Borowego o Eliocie, drukowany w „Przeglądzie Współczesnym” w 1936 roku. Chciałem odświeżyć sobie te momenty, w których Borowy analizuje odkrywcy poemat wielkiego nowatora.

Sprawy wersyfikacyjne w nowoczesnej poezji polskiej dyskutowano już, i to gwałtownie, ale w oparciu o teksty Awangardy, która jednak nie zdobyła sobie wtedy jeszcze pełnego obywatelstwa w literaturze. Pisał o niej Peiper, atakował Zawodziński, teoretyzował na jej tematy Siedlecki, myślałem jednak że pozycja *Ziemi Jałowej* i fachowy autorytet Borowego wyjaśnią czytelnikowi polskiemu tajemnicę jej struktury. Borowy jednak prześliznął się tylko po istocie poematu, rozgadał się natomiast o treści, symbolach, powiązaniach historycznych i poetyckich — interpretował atmosferę, nie styl. Analizy *sensu stricto* czytelnik w niej nie znajdzie, choć biorąc pod uwagę nazwisko autora,

pismo w którym praca Borowego się ukazała, a przede wszystkim gorącą atmosferę ówczesnych dyskusji, jaka powstała między zwolennikami Skamandra i Awangardy, należało spodziewać się że Borowy w pejoratywną tę szermierkę wprowadzi naukowy ład.

„Cóż to — pisze on, zaczynając esej o *Ziemi Jałowej* — czy mamy wrócić z tą lekturą do dawnych dni Jana Nepomucena Millera czy zgoda do Tytusa Czyżewskiego? Tak, to te same czasy... Zresztą przy bliższym wejrzeniu okazuje się, że tu wcale sporo i tradycjonalizmu, i realizmu”.

„Trudność lektury — mówi on w innym miejscu — wynika często stąd, że nie możemy od razu znaleźć postawy, która dla recepcji danego dzieła jest potrzebna.”.

Borowy, jakby celowo omijał w swoim eseju istotę nowatorstwa *Ziemi Jałowej*, a przecież pisze tę rozprawę w roku 1936, kiedy nawet i u nas wiele zostało powiedziane o istocie nowoczesnego wiersza. Było to już po artykułach Peipera w „Zwrotnicy”, po „Życiu w Czasie” (*Linia* — 1931) i *Poezji Integralnej* Brzękowskiego, wydanej w 1933 roku, po dyskusji Przyboś-Irzykowski, na temat książki *Walka o treść*.

III

Wtedy, w latach 30-40, uderzała w wierszach Piętaka niesłychana bezpośredniość obserwacji, żarliwa intensywność gdy mówił o ziemi. To już nie była tematyka ludowa czy wiejska, po którą różni poeci sięgali, to była potrzeba mówienia o Wielowski, roli, obłokach, koniach, zagonach w ten sposób, jakby poeta był również czytelnikiem odnajdującym w opisie siebie i swoje środowisko. Uogólniając elementy natury, z którymi poeta się zrósł i tylko przez ich pryzmat mógł mówić, Piętaś poszerzał i obiektywizował swój wiersz, nadawał mu cechy Whitmanowskiej poezji. Sprzyjały temu Piętaśkowe skłonności ku epice. U Whitmana epikę zastępuje jego egotyzm, widać to najjaskrawiej w wierszach retorycznych i poetycko chybionych:

I am a real Parisian;

I am a habitant of Viena, St. Petersburg, Berlin,

Constantinople;

I am of London, Manchester, Bristol, Edinburgh, Limerick;

I am of Madrid, Cadiz, Barcelona, Oporto, Lyons, Brussels,

Bern, Frankfort, Stuttgart, Turin, Florence;

I belong in Moscow, Cracow, Warsaw —

U Piętaka natomiast akcja w wierszu jest naturalna, zorganizowana, psychologicznie usprawiedliwiona, artystycznie wyczuła. Dramat jej przenosi się z ludzi na drzewa i ptaki, a nawet spokojne krowy wracające z pastwiska stają się jej aktorami. Elementy te wymagają szerszych ram, rozpracowanej akcji, słowem wielkiego poematu, o którym poeta bezustannie myśli.

W „Notatniku poetyckim” pod datą, styczeń 1935 rok, pisze: „Plan poematu o czasach wielkiej wojny nie jest jeszcze skrytaliczowany”, a dalej: „Wiem jedno: będę śpiewał czasy mojej i brata młodości i *czar naszej nizinnej ziemi*”.

Już w tych słowach kryją się podświadome bardowskie elementy: śpiew, jako forma twórczości, czar ziemi, do której bard zazwyczaj nawiązuje w swych pieśniach.

Miedzy 39 a 45 rokiem, w ciągu tych kilku lat kalendarzowych, napiętnowanych okrucieństwami wojny, w twórczości Piętaka zaszły nieoczekiwane zmiany. Mówi o nich pod datą 10 grudnia 45 roku: „Dawniej moje sny były piękne — dlaczego dzisiaj takie puste?” Rozczarowanie, gorycz, zwątpienie, odwrócenie się od ludzi, zejście w siebie — to logiczna rezygnacja z dawnych założeń poetyckich, na korzyść poety-liryka. Bo w okresie powojennym musiał Piętać zrezygnować z wielu dawnych planów i ambicji: „Całość marzy mi się fantastyczna (i mistyczna), dlatego boję się jej w ogóle rozpoczynać. Bo dla kogo? I czy rzecz taka ma w ogóle sens?” Pytanie to coraz częściej nawiedza poetę, powtarza się bezustannie w jego „Notatniku”, a jeszcze głośniej i natęczywiej brzmi w prywatnych listach. Poeta, pod naporem codzienności ugina się. Dezorganizuje ona nie tylko jego świat poetycki, ale rani wrażliwą psychikę, pozbawia wiary w słowo.

10 lutego 1950: „Znów mógłbym pisać liryki najbardziej osobiste. Po co? Mówi mi jedna myśl — po co to pisać, kiedy ni jeden taki wiersz nie może dziś się ukazać”, by ostatecznie przyznać się do klęski i stwierdzić: „Masz słuszność, nie wyraziłem klasy swojej ni narodu”.

Czasem się budzi, ale po to tylko by stwierdzić swoje zaprzepaszczone możliwości: „Ja byłem stworzony i jestem wciąż w możności jako jeden z niewielu dać oryginalną, zrozumiałą, godną czasów, narodową poezję” — pisze 25 kwietnia 1950 roku. I ostatecznie zamyka swoje intymne wyznania słowami: „Na barda nie nadawałem się nigdy, czy na poetę aktualności”. Słowa te wyrażają jego bolesny zawód i dlatego nie możemy ich brać w podanym przez poetę brzmieniu.

IV

W rozwoju poetyckim nie decyduje — niestety — tylko talent. Na poetę czyha cały czas otoczenie i środowisko społeczne. Zastawiają one na niego swoje sidła, wyznaczają często cele doraźne, sztuczne lub zupełnie jałowe. Wtedy poeta zamienia się w rzemieślnika, lub milknie nie mogąc dopasować się do otoczenia.

Poezja Piętaka nie utrzymała w sobie nurtu Whitmanowskiego; wpłynęły na to różnice w czasie i nasilenie talentów: Whitman był bardziej spontaniczny, Piętać ciekawszym i sumienniejszym obserwatorem, Whitman krzyczy, Piętać mówi spokojnie,

Whitman widzi przede wszystkim siebie, Piętak zaś patrzy przez środowisko które opisuje, Whitman często jest tylko sloganem, gdy Piętak zawsze stara się być poetą, Whitman — odrzucając dorobek kulturalny Europy — zawieszony jest w próżni, gdy Piętak czuje w sobie dziedzictwo tysiącletniej kultury polskiej. Różnice jednak w czasie były bardziej decydujące: wojna i jej następstwa. Wiersz Piętaka zatrzymany na marginesach intymnej liryki wypiękniał, nabrał ostrości i blasku, stężał od bolesnych doświadczeń. Słowo zawarte w takich wierszach jak „Zaklinania” i „Plaża” wyszło spod pióra artysty, który posiadał jego tajemnicę. Umarł bard ale dojrzał poeta. Dał on wierszowi polskiemu wiele niezapomnianych linii, a wiersz by się odwdziżyć przyrzekł poecie również pomoc:

*Kiedy zachorujesz z nudy czy rozpacz
zawsze na chwilę ukażemy ci dom twój przeszły
i ludzi, których kochałeś.
Będiesz ich mógł nawet dotknąć
Przez mokrą tkaninę powietrza.*

Wacław IWANIUK

Dwie orientacje

Żadna analiza aktualnych problemów politycznych, przeprowadzana nawet przez najbardziej obiektywnych specjalistów i naukowców nie zostanie przyjęta bez zastrzeżeń. Czy w ogóle istnieje możliwość obiektywnej analizy problemów politycznych? Naturalnie wielu szybko da twierdzącą odpowiedź, ale przy bliższym zbadaniu będzie ją trzeba zrewidować. Owszem, bywa ocena chwilami idealnie zbliżona do obiektywizmu, ale przeprowadzając ją uczeni nie zaangażowani nawet w najmniejszym stopniu. Wolno np. założyć, że francuski specjalista bardziej obiektywnie spojrzy na aktualne problemy brytyjskie aniżeli jego brytyjski kolega. I na odwrót. Ale i to nie jest regułą. Niemałą rolę bowiem odgrywać mogą sympatie i antypatie już nie narodowe, ale społeczne, polityczne czy wyznaniowe. Istnieje więc wiele czynników zwięzających chłodny obiektywizm w przedstawieniu i ocenie aktualnej problematyki. Każdej. Nie tylko politycznej. Aparatura naukowa pozwala jednak na opanowanie tych ubocznych, personalnych aspektów a czasem nawet prowadzi do ich wyrogowania.

Dr Adam Bromke, profesor nauk politycznych na Carleton

University w Ottawie, dyrektor East European Studies Program, specjalizuje się w problematyce państw komunistycznych i zwraca szczególną uwagę na zagadnienia polskie. Nie zamyka się jednak w nich, jak o tym świadczą jego publikacje na inne tematy.

Prof. Bromke dostrzegł w nowożytnych dziejach Polski przewodni pierwiastek konfliktowy w polityce. Zdaniem jego ścierają się tu dwa kierunki realizm i idealizm. Nadaje on geopolitycznym założeniom ideologię. Nie mały jednakże przed sobą teoretycznego dzieła o prądach ideowych w polityce polskiej, ani też dzieła historiozoficznego, ale analityczną pracę o współczesnej Polsce, w której autor śledzi i tropi realizm i idealizm w polityce*.

Położenie geograficzne Polski zdaje się dyktować kierunek polityce. Ale czy naprawdę prawie każde państwo prowadzi określoną politykę, ma wieczne cele, niezależne od ustroju, od sytuacji międzynarodowej? Często głosi się takie poglądy, wskazuje się np. na imperialistyczne tendencje ZSSR twierdząc, iż to kontynuacja polityki carów, na parcie Niemców na wschód, a więc znowu tradycyjna polityka *Drang nach Osten*. Naturalnie rządy poszczególnych państw pragnęłyby kontynuować korzystną linię swoich poprzedników, nawiązywać do chwalebnej przeszłości, ale warunki uległy tak wielkiej zmianie, że nawet przy dużym podobieństwie nie jest to ta sama polityka, a przede wszystkim ma ona inną praktyczną wymowę. Nie przesądza to jednakże utrzymania się pewnych politycznych idei. W zmienionych warunkach ulegają one przeobrażeniom, czasem bardzo poważnym, niemniej jednak pozostają.

Roman Dmowski uważał, że Polska może istnieć w oparciu o jednego ze swoich sąsiadów: Rosję albo Niemcy, i wychodząc z tego założenia wypracował program ideologiczno-polityczny: wypowiedział się za Rosją. Sformułował ten program na początku bieżącego stulecia i trwał przy nim również po ustabilizowaniu się systemu sowieckiego. Naturalnie że jest to pozornie paradoksalne, iż ideolog i rzecznik nacjonalizmu, gospodarki kapitalistycznej, występował przeciwko wojennym planom niektórych państw zachodnich skierowanym przeciwko ZSSR. Ale było to stanowisko jak najbardziej uzasadnione. W kilkanaście lat później można było stwierdzić, że ideologie — wbrew zapewnieniom — nie kierują polityką zagraniczną państw. Stąd też zawarty został sojusz między dwoma państwami, wyznającymi wrogie ideologie: Związkiem Sowieckim a Trzecią Rzeszą.

Rzecznicy idealizmu w polityce polskiej uważali, że sprawa polska jest międzynarodową. Sprawiedliwość dla Polski to obowiązek, i szlachetna część świata nie omieszkła wypełnić tego obowiązku, a więc wszelkimi środkami wesprze walkę narodu polskiego o niepodległość, a po uzyskaniu jej, politykę zmierzającą do zachowania niezawisłości państwowej. Na tych przes-

* Adam Bromke: *Poland's Politics: Idealism vs. Realism*, Harvard University Press, Cambridge, Mass., 1967, pp. X-316.

łankach oparł się program niepodległościowy PPS, wyłoniły się inne organizacje, toczyła się walka aż do odrodzenia Polski w 1918 r. Reprezentantem idealizmu był Józef Piłsudski.

Ale Bromke nie analizuje polityki przedwojennej, daje jedynie jej bardzo zwięzły zarys, gdyż jest to odskocznia do teraźniejszości. Wynika jednak z tego zarysu wcale jasno, że z zakończeniem wojny oba te kierunki — w swej zasadniczej formie — legły w gruzy wraz z nadziejami, związanymi z krwawym wysiłkiem lat wojennych. Na arenę wkracza realizm w innej formie i postaci. Dr Bromke wywodzi rodowód Komunistycznej Partii Polski z realizmu. Formułowała taki program Socjal-Demokracja Królestwa Polskiego i Litwy a przejęła go KPP przeoczywszy jednak iż warunki uległy zmianie. W kraju, który odzyskał niepodległość, nie można występować przeciwko niej. Tego błędu „luksemburgizmu” nie popełnili już komuniści podczas okupacji, ani po zakończeniu wojny. Poszli na drogę kamuflażu, aby nie odkryto ich przeszłości. Uznali bowiem, że muszą formalnie zerwać z przeszłością, z antyniepodległościowym i antynarodowym obliczem, aby móc stanąć przed społeczeństwem jako partia rządząca. Było to tym bardziej konieczne, że bez pełnego i zbrojnego poparcia ZSSR nie doszliby do władzy.

Prof. Bromke nie upraszcza problematyki jednak, ale przedstawia zarówno procesy wewnętrzno-partyjne jak i państwowe, na tle stosunków w rządzącej partii: wpierv PPR a później PZPR. Władzę trzeba było nie tylko utrzymać, ale umocnić. Stosunki z ZSSR — albo raczej stosunek ZSSR do satelickiej Polski — nie ułatwiał rządów nawet najlojalniejszym komunistom, najbardziej oddanym internacjonalistom. Autor przedstawia fazy tych walk i zmagañ i kreśli sylwetki czołowych postaci. Wydaje się, że charakterystyka ich jest trafna. Bromke operuje ogromnym wprost materiałem źródłowym i konfrontuje go z własnymi obserwacjami. Otrzymaliśmy rodzaj politycznej historii PRL oraz analizę tendencji polityczno-ideologicznych PZPR. Poznajemy więc etapy walk komunistów o stabilizację swego stanowiska w społeczeństwie, w państwie. Dysponując aparatem administracyjnym, siłą zlikwidowali kolejno wszystkie ośrodki oporu, co jednak nie było równoznaczne z uzyskaniem poparcia społeczeństwa. Pozostał przy nich jeden sojusznik: PAX.

Analiza tej grupy przez Bromkego jest doskonała, świadczy o świetnej znajomości zagadnienia. Tropi w niej realizm Dmowskiego. Zdaniem jego Bolesław Piasecki widziałby się chętnie w szatach margrabiego Wielopolskiego, podczas gdy niektórzy z jego bliskich współpracowników-ideologów, starają się wtłoczyć w swoje ambicje pewne programowe założenia Dmowskiego.

Znacznie więcej powiązań z Dmowskim dopatruje się w drugiej grupie katolickiej a mianowicie w „Znaku”, jakkolwiek przywódcy tej grupy nie byli przed wojną w Stronnictwie Narodowym. Uważają oni, że rozwój wypadków i aktualny układ sił nakazuje przyjęcie realistycznych założeń Dmowskiego. Innymi

słowy program współpracy, współdziałania, oparcia się — albo jeszcze dokładniej — orientacji na Rosję oznacza przejście tradycji Dmowskiego, oznacza realizm w polityce.

Bromke dowodzi, że ZNAK nie oparł się bynajmniej li-tylko na tej części programu Dmowskiego, lecz iż w niemniejszej mierze przejął założenia pozytywizmu, który rozwinął się po upadku powstania z 1863 r.

Realizm w polityce to kierunek wschodni, idealizm — zachodni. To bardzo daleko idące uproszczenie wynika z analizy prof. Bromke. Nie twierdzi on, że jeden z tych kierunków jest lepszy czy korzystniejszy od drugiego, tym bardziej, iż są zupełnie samorodne, lub też iż kiedykolwiek jeden w pełni i bez reszty zatriumfował. Orientacja prorosyjska — realistyczna — jak określa to Bromke — nie wypływa jedynie z przesłanek geopolitycznych ani też czysto ideologicznych. Dlatego też nie określa ani prekursorów PZPR ani jej obecnych przywódców jako obcych agentów, ale dostrzega obiektywne racje ich działania i programu. Naturalnie nie znaczy to, że nie istnieje zależność i że stosunek ten może być zmienny, zarówno wskutek obiektywnych okoliczności jak i wskutek nastawienia kierowniczych jednostek.

A jeśli nastąpiłaby zmiana na Zachodzie wobec Polski? Jeśliby uznano i zagwarantowano nowe granice? Jeśliby jakiś rząd NRF wyrzekł się wszelkich roszczeń terytorialnych wobec Polski — czy wówczas znikną wszelkie racje dla realistycznego kierunku — jak go sformułował dr Bromke?

Czy zasadnicza teza została bezbłędnie udowodniona? Trudno oprzeć się wrażeniu, że autor nie raz uchylił się przed postawieniem kropki nad i, pozostawiając wcale szeroki margines na wyciąganie wniosków. Dokonał zestawień, uszeregował fakty i bardzo enigmatycznie wypowiedział swój sąd.

W końcowym rozdziale daje nie tyle wielce dyskretną i dyplomatyczną odpowiedź na te pytania ile szkicuje pewne możliwości. Bardzo zresztą idealistyczne.

Praca prof. Bromke jest jedną z bardziej szczegółowych monografii politycznych o współczesnej Polsce. I już z tego tylko powodu zapoznanie się z nią będzie pożyteczne nawet dla tych, którzy nie podzielają poglądów i ocen autora.

Benedykt HEYDENKORN

Szlachectwo rodu Mickiewiczów

O zawsze żywym stosunku do autora „Pana Tadeusza” świadczą liczne prace poświęcone mu w kraju: monumentalne dzieło

o jego języku, na rozległych materiałach oparta kronika jego życia, od lat przygotowywana i wzbogacana jego korespondencja, wreszcie, co najważniejsze, stała poczytność jego dzieł.

W ostatnich latach (1965 i 1966) ukazał się w dwóch zeszytach czasopisma „Archeion” (Nry 42 i 43) interesujący przyczynek dotyczący szlachectwa rodu Mickiewiczów, poparty szeregiem fotokopii dokumentów z Historycznego Archiwum Państwowego w Grodnie. Sprawę wątpliwości szlachectwa Mickiewiczów poruszył przed laty w szeregu artykułów w prasie wileńskiej Euzebiusz Łopaciński. Piotr Bańkowski, autor przyczynku o którym mowa, usiłuje w pewnej mierze przeciwstawić się Łopacińskiemu a jednocześnie dopełnić nowymi dokumentami odkrycia swego poprzednika.

Zastanawiające jest to, że poloniści w Polsce Ludowej poświęcają tyle badawczej pasji w rozplątaniu i wyjaśnieniu sporu toczącego się dziesiątki lat, na treść którego składały się tzw. *nagany szlachectwa* Mickiewiczów, wątpliwości dotyczące przydomku Rymwid, wielokrotne, skomplikowane *oczyszczanie się* z tych zarzutów różnych członków rodu, poparte dekretemi deputacji wywodowych, fantastyczną genealogią sięgającą aż jedenaście pokoleń wstecz i pism tzw. *testymonialnych* (z podpisami świadków) dowodów sprzedaży i kupna posiadłości ziemskich, co także należało do wyvodu szlachectwa, i innych pozwów, dekrétów i kwitów.

Ta pasja badawcza, mimo przedmiotu, który dziś zdaje nam się błahy świadczy o dociekliwości Piotra Bańkowskiego i o tym, że każde omal archiwum kryje swoje tajemnice i kusi rzetelnego badacza.

Jeden z aspektów, który wybija się na czoło pracy Bańkowskiego, a nie był poruszony przez Łopacińskiego, to kapitalne znaczenie w owej epoce przynależności do stanu szlacheckiego. Licznie rozrodzona, zwłaszcza na Kresach Wschodnich, szlachta zaściankowa, często nie posiadająca ziemi, siedząca na czynszach, lub uczepiona klamki pańskiej, była ukazem Katarzyny, już po pierwszym rozbiorze, zagrożona zepchnięciem do stanu chłopskiego z okropnymi tego skutkami jak piętnastoletnia służba wojskowa, nowe podatki, groźba kary cielesnej w wypadkach sądowych, wreszcie perspektywą najgorszą — wysiedlenia do wewnętrznych guberni Cesarstwa.

Po Katarzyńskiej „Gramocie”, nastąpiły ukazy Pawła I, Aleksandra I, wreszcie Mikołaja. Ile było tych „nagan” szlachectwa, ile procesów „oczyszczania” — nie zliczyć, jak również ile tysięcy drobnej szlachty polskiej było wysiedlonych ze swoich dziedzin rodzinnych po każdym powstaniu, każdym zbrojnym polskim „buncie”.

Tadeusz Czacki wspomina o tym w jednym ze swych memoriów:

„Rozrodzeni, rzuceni na pastwę rzeczników (czyli adwokatów), skazani na okropną nieświadomość, deptali drogę do akt, nędzę

i manifesta za dowód swojego rodu i podanie swego nieszczęścia dzieciom zostawiali”.

Kwerendę swoją w Archiwach białoruskich rozpoczął Piotr Bańkowski od poszukiwań dokumentów matki Mickiewicza, Barbary z Majewskich, i jej rodziców. Jednak nie odniosło to skutku, ale zwróciło jego uwagę na proces o szlachectwo. Artykuły Euzebiusza Łopacińskiego, pracownika Wileńskiego Archiwum Państwowego ukazały się w latach 1931-33. Ujawniały one, na podstawie dokumentów, „naganę” szlachectwa rodu Mickiewiczów. Ponadto Łopaciński stwierdził, że antenaci poety byli prostakami, analfabetami i, jak wynikało z aktów sądowych, uprawiali lichwę i dopuszczali się licznych gwałtów.

Te rewelacje, jak pisze Piotr Bańkowski, „oszołomiły i prawdziwie przygnębiły wielbicieli Mickiewicza”, obalały bowiem niejedną legendę, osnutą z pietyzmem wokół dworku Nowogródzkiego.

Autor niniejszych studiów usiłuje odparować chociaż niektóre z tych zarzutów na podstawie dokumentów, których Łopaciński nie znał, a mianowicie analfabetyzm Mickiewiczowskich antenatów, którzy jednak *manu proprio* podpisywali niektóre swoje podania i wywody, oraz wykazuje też, na podstawie dokumentów — i to ich fotokopii — (czego Łopaciński nie czynił), że wątpliwości dotyczące szlachectwa Mickiewiczów zostały wreszcie usunięte. Że ich klejnot rodowy z przydomkiem Rymwid został im przyznany i wpisany do ksiąg genealogicznych.

Cały proces trwał od końca XVIII w. aż omal do połowy wieku XIX i napsuł krwi wielu członkom tego rodu. Nie zapominajmy przy tym, że takich wywodów, takich procesów rewizyjnych i odwołań, było tysiące i że każdy ukaz cesarski dokręcał jeszcze śrubę udręczeń szlachty kresowej. Władzom chodziło bowiem o odpolszczenie w możliwie szybkim tempie tzw. „guberni zachodnich” Cesarstwa, czyli ziem Polsce odebranych i do Cesarstwa włączonych.

W wywodach Piotra Bańkowskiego występuje żal do Euzebiusza Łopacińskiego za ogłoszenie odkryć poczynionych w Aktach Sądowych Archiwów Wileńskich, i nadzieja na ich podważenie.

„Niewątpliwie — pisze Bańkowski — *ktos z historyków literatury, prędzej czy później podejmie próbę zbadania jakie są istotne walory tej waluty puszczanej w obieg z wileńskiej mennicy Łopacińskiego i spod stempla jego współrewizjonistki Marii Czapskiej*”.

Euzebiusz Łopaciński był doświadczoneym i pasjonowanym archiwistą, na zbadanie walorów jego „mennicy” był czas, bo kilka lat za Polski niepodległej i dwadzieścia lat za Polski Ludowej, dokumenty Archiwów Wileńskich były i chyba dziś także są dla badaczy dostępne, nikt ich autentyczności dotychczas nie zaprzeczył, nikt też nie poddał w wątpliwość rzetelności naukowej Euzebiusza Łopacińskiego. Trzeba jednak zauważyć, że o ile akcja odbrażowania samego Mickiewicza, podjęta przez Boya-Zeleńskiego kilka lat wcześniej, miała charakter przekornego hu-

moru przy wielkiej dla poety atencji, o tyle akcja odbrazowania przodków poety pod piórem Łopacińskiego miała akcenty zaćiętego rozdrażnienia, co się tylko tłumaczyć może pasją badacza i nawcy dokumentu przeciwstawionego pobożnej legendzie.

A legenda o sławie rodu i cnotach rodzica naszego poety była oparta, przypomnijmy, na tzw. *Pamiętniku* Franciszka Mickiewicza, starszego brata Adama, od powstania Listopadowego rezydenta we dworze hrabiego Grabowskiego w Wielkopolsce. Namówiony przez przyjaciół aby opisał swoje dzieciństwo i dom rodzinny tak się zaplątał w swoich zmyśleniach, biorąc za wzór dwór hr. Grabowskiego oraz „Pana Tadeusza”, tak daleko zabrnął w panegiryku rodzinnym, że swoją pisaninę musiał przerwać. Władysław Mickiewicz trzymał te kartki sześćdziesiąt lat po śmierci stryja w szufladzie, aż wreszcie w 1921 r. ogłosił je drukiem prosząc w przedmowie czytelnika o pobłażliwość dla autora, za jego „mimowolną przesadę w zachwytach nad rodziną”.

To jednak nie przeszkodziło, że szereg poważnych uczonych, jak Borowy, Kridl i nawet Kleiner korzystali z tej ramoty, podając wiadomości o ojcu poety „wziętym adwokacie, znanym z cnót, uczciwości, wykształcenia i rozumu...” Stanisław Wasylewski nazwał nawet Mikołaja Mickiewicza „fenomenem kultury i mądrości wzbudzającym cześć w całym powiecie”. (*Słowo Polskie*, Lwów, 1924 r. „W atmosferze dzieciństwa Mickiewicza”).

A teraz jeszcze kilka słów *pro domo sua*, jako „współrewizjonistka Euzebiusza Łopacińskiego”.

Dwa dokumenty, których odpisy zawdzięczam Łopacińskiemu wydałam z omówieniem w 1934 r. w „Ruchu Literackim” i zamieściłam ponownie w moich *Szkicach Mickiewiczowskich*, wydanych w Londynie w 1963, w nieco odmienionej, bo mniej polemicznej formie pt. „Rozbójstwa Jmć Pana Mikołaja Mickiewicza”. Nie chodziło mi w tym wypadku o sprawę szlachectwa Mickiewiczów, ale o wykazanie jak łatwo legenda, w tym wypadku rojenia Franciszka Mickiewicza o dziadach właścicielach licznych włości i naddziadzie rycerzu spod Wiednia, wkrada się do prac nawet specjalistów i z jakim upodobaniem zdobi się postać ulubioną nawet zmyśleniem, zacierając lub przemilczając to, co by mogło obraz zaciemnić.

W tym szkicu chodziło mi ponadto o wykazanie, że Mikołaj Mickiewicz, adwokat nowogródzki, który umiał zbić swego rywala, adwokata Haciskiego do krwi („całe kłaki włosów mu wyrwijając”) i za cztery srebrne łyżki wraz z żelazkiem do prasowania wyprocesować cały majątek Żyda Jankiela Josielewicz — nie był bynajmniej wyjątkiem w swojej sferze, bo pchnąć przeciwnika szablą, nasadzić nań zbójców, zająchać nocą, zarąbać po pijanemu na jarmarku — były to w owe czasy rzeczy zwykłe, omal codzienne — o czym czytamy w pamiętnikach współczesnych.

Twierdę również uparcie, że Mickiewicz nie potrzebuje, dla ugruntowania swojej sławy, przodków-dziedziców i liberyjnych lokai, w których go brat wystroił, bo cudem jest właśnie kiedy

się geniusz rodzi jak błyskawica, kiedy powstaje z gleby samorodnie bogatej. Z takiej to gleby kraju rodzinnego, z drobnoszlacheckiego środowiska wziął Mickiewicz twórczą fantazję, żywotność i barwę swojej nieśmiertelnej poezji.

Maria CZAPSKA

Moja odpowiedź Z. Markiewiczowi

Parę tygodni temu otrzymałem zeszyt „Kultury” z recenzją p. Z. Markiewicza książki B. Białokozowicza¹ pt. *Lwa Tołstoja związki z Polską*². Książkę swoją p. Białokozowicz przesłał mi w listopadzie 1966 roku z odpowiednią dedykacją. Autora — uprzejmy to i uczynny młody człowiek — poznałem w roku 1959 w Warszawie, stąd nastawienie jego, jeśli chodzi o zagadnienia literackie nie zdziwiło mnie. Uderzyło mnie natomiast, że w części książki, poświęconej *polonicom* w dziełach Tołstoja (1/3 całości) p. Białokozowicz idzie całkowicie w ślad za moimi pracami i nieraz tekstualnie mnie powtarza. Autor cytuję mnie też kilkadziesiąt razy, ale nie tam, gdzie z moich prac korzysta. W paru wypadkach występuje on z zastrzeżeniami, polemizując z moimi interpretacjami i wnioskami — usiłuje wybielić anty-polskie nastawienie Tołstoja (z pierwszego okresu życia pisarza), ale w swej apodyktycznej argumentacji sam sobie przeczy.

Machnąłem na to ręką, przygotowała mnie do tej przygody zabawna okoliczność. W tomie I *Pamiętników* opowiadam o naszym smoleńskim sąsiedzie, Jerzym Koźlińskim, którego od dzieciństwa i aż do końca jego życia bardzo lubiłem. Był to przemiły człowiek, serdecznie do nas przywiązany, często nas odwiedzał, a i my Niwiszczu Koźlińskich. Odznaczał się wielkim dowcipem, humorem i lubił opowiadać anegdotki, czasem nie całkiem cenzuralne, ale zawsze bardzo zabawne. Niektóre z nich tworzyły cykl anegdotek myśliwskich à la baron Munchausen, jak to określiłem w swoich *Pamiętnikach*. Bohaterem tego cyklu był stale ten sam jakiś Białokozowicz. Nie będę tu przytaczał wszystkich tych fraszek, pozwolę sobie przytoczyć tylko jedną, tę właśnie, która wpłynęła na moje pacyficzne nastawienie do p. Bazylego Białokozowicza, o którym oczywiście nie miałem żadnego pojęcia kiedy pisałem swoje *Pamiętniki* i którego oczywiście na świecie nie było, gdy nasz sąsiad Jerzy Koźliński opowiadał swoje anegdotki.

Otóż jeden z przyjaciół owego fabularnego Białokozowicza przypomniał sobie wyjazd z nim łódką na kaczki:

„Płyniemy sobie łódką po jeziorze, zarośniętym tu i ówdzie szuwarami — naraz widzę, że moja prochownica, która leżała przy Białokozowiczu, jakoś dziwnie spadła do wody. Zanim zdążyłem się opamiętać zobaczyłem, że Białokozowicz sam plusk do wody — i nie ma go. Ja wtedy wychyliłem się z łódki, oczy przyłożyłem do wody i patrzę się. A Białokozowicz siedzi na dnie i z mojej prochownicy proch do swojej przesypuje³”.

1. Zygmunt Markiewicz: *Tołstoj a Polska*, „Kultura”, Nr 1/231-2/232, 1967, str. 225-229.

2. Bazyli Białokozowicz: *Lwa Tołstoja związki z Polską*, Warszawa 1966, Książka i Wiedza, str. 397.

3. Wacław Lednicki: *Pamiętniki*, tom I, str. 554.

Książka p. Białokozowicza zawiera przecież wartościowe osiągnięcia, ale właściwie w innej dziedzinie niż ta, którą ja się zająłem. Z grubsza biorąc, książka ta jest rezultatem starannych poszukiwań materiałów dotyczących osobistych stosunków Tołstoja z Polakami, a więc przede wszystkim listów Polaków do Tołstoja oraz głosów polskich o Tołstoju, reakcji polskich na jego dzieła. W tym względzie p. Białokozowicz, mając dostęp do archiwów w Sowietach zebrał materiał, który dla czytelnika polskiego jest interesujący. Nie wiele dodaje jednak do tego, co napisałem o bezpośrednich wypowiedziach Tołstoja na temat Polski. P. Białokozowicz zadał sobie zarazem trud przewertowania czasopism polskich, szukając w nich ech Tołstojowskich. Nadmienię wszelako, że jeżeli nawet chodzi i o Tołstoja w Polsce, to przewodnikiem młodego autora był prof. Franciszek Sielicki, który w 1960 roku ogłosił w *Slavia Orientalis* świetną rozprawę o Tołstoju w polskiej krytyce literackiej lat 1918-1939. Książka Białokozowicza jest w większym stopniu pracą o Tołstoju w Polsce, niż o Polsce w dziełach Tołstoja. Jeżeli zaś chodzi o funkcję *poloniców* w dziełach Tołstoja, to Białokozowicz szedł moimi śladami i niczego nowego nie dodał, przeciwnie, symplifikował moje interpretacje, niektóre pominął, a poza jego zasięgiem pozostały wszystkie rozważania dotyczące zagadnień czysto literackich związków Tołstoja z literaturą francuską, czemu poświęciłem dużo miejsca w swojej francuskiej a zwłaszcza angielskiej książce.

Nie będę wchodził w żadne szczegóły, nie mam na to ani czasu ani ochoty, parę słów tylko chciałbym zaadresować do recenzenta książki Białokozowicza — p. Z. Markiewicza. Twierdzi on w swej recenzji, że Białokozowicz polemizuje ze mną, że zarazem, potwierdzając niektóre moje wnioski, jeśli chodzi specjalnie o opowiadanie Tołstoja *Za co?*, „rozszerza znacznie stan wiadomości o genezie tego utworu” i, jak oświadcza p. Markiewicz, zachodzi potrzeba sukursu dla „rusycysty z Berkeley”.

Otóż chciałbym p. Markiewicza zapytać, czy zadał on sobie fatygę choćby zajrzenia do moich prac (choćby wymienić je), jeśli nie przestudiowania ich. Sądzę bowiem, że gdyby to uczynił może zastanowiłby się nad charakterem koncepcyjnym moich prac i nad czysto opisową i raczej kompilacyjną (cz. I) książką Białokozowicza, że po tym zestawieniu stwierdziłby, iż Białokozowicz w żadnym stopniu nie rozszerzył stanu wiadomości o genezie *Za co?* i, że chyba nie ma powodu przychodzenia mi w sukurs, który sam zresztą nazywa, mając siebie na względzie, „wątpliwym”. Chciałbym zapytać także czemu nie wzięty go wątpliwości zanim zabrał się do pisania swojej recenzji? Dla porządku nadmienię, że wszystkie moje trzy prace — polska, francuska i angielska — poświęcone Tołstojowi a Polsce — mają ten sam trzon. Francuska, a zwłaszcza angielska, zawierają wiele nowych szczegółów w wyniku nie tylko pogłębienia mojej znajomości dzieł Tołstoja, lecz i ukazania się po ostatniej wojnie nowych tomów *Jubileuszowego wydania* dzieł Tołstoja, co szczególnie dopomogło mi w analizie opowiadania *Za co?* P. Białokozowicz z tych samych tomów również oczywiście korzystał, tak jak i z moich prac poświęconych temu tematowi.

Sądzę, że obowiązkiem recenzenta, występującego z twierdzeniem o rozszerzeniu i pogłębieniu przez takiego, czy innego autora analizy i interpretacji jego poprzednika, jest również (i to przede wszystkim) zapoznanie się z pracami tegoż poprzednika.

Zakończę przytaczając uwagę La Rochefoucaulda: *Si on est faux en approuvant ce qui ne doit pas être approuvé, on ne l'est pas moins le plus souvent par l'envie de se faire valoir par des qualités qui sont bonnes de soi, mais ne nous conviennent pas.*

Nadeślane nowości wydawnicze

- WALCZAK (Antoni Władysław). *BHE Zachodnioniemiecka partia przesiedleńców*. Str. 382 i 2 nlb w tym Bibliografia, streszczenia w językach rosyjskim i angielskim oraz Indeks nazwisk. (Wyd. Instytut Zachodni, Poznań, Nr 12 serii „Studium niemcoznawcze”, 1967, cena 55 zł.).
- Historia Biblioteki Jagiellońskiej. Tom I: 1364-1775* pod redakcją Ignacego Zarębskiego. Cz. I: „Biblioteka Jagiellońska w latach 1364-1492 opracował Jerzy ZATHEY; Cz. II: „Biblioteka Jagiellońska w latach 1492-1655” opracowała Anna LEWICKA-KAMIŃSKA; Cz. III: „Biblioteka Jagiellońska w latach 1655-1775” opr. Leszek HAJDUKIEWICZ. Str. 511 i 6 nlb, w tym Spis ilustracji, Streszczenia w językach: francuskim, rosyjskim, Skorowidze: osób i miejscowości, rękopisów, inkunabułów, cimełliów. (Nakł. Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków, 1966, cena zł. 140).
- SZYSZKOWSKI (Wacław). *Walka o prawa obywatelskie ludności murzyńskiej w Stanach Zjednoczonych*. Str. 183 i 1 nlb. w tym: Bibliografia, Streszczenie w jęz. angielskim i Indeks. (Wyd. Two Naukowe w Toruniu, tom VI, Zeszyt 13 serii „Studia Iuridica”, Toruń, 1966, cena zł. 30).
- URBAŃSKA (Mieczysława). *Liryki*. Str. 39 i 1 nlb. Oprawa graficzna, prace typograficzne i tłoczenia na ręcznej prasie tyglowej wykonał S. Gliwa. (Wyd. Oficyna Stanisława Gliwy, Londyn, grudzień, 1966, cena 18 sh.).
- PIEPER (Josef). *O sprawiedliwości*. Przeł. z niemieckiego Antoni Czuliowski. Str. 101 i 3 nlb. (Wyd. Odnowa, Londyn, 1967).
- GRABOWSKI (Wojciech T.). *Wierze życiu wyrwane*. Str. 35 i 5 nlb. Na okładce i wyklejkach oryginalne linoryty S. Gliwy. (Wyd. Oficyna Stanisława Gliwy, Londyn, sierpień 1966, cena 18 sh.).
- OTWINOWSKA (Jadwiga). *Wpływ języka angielskiego na system fleksyjny rzeczownika w języku dzieci polskich w Londynie*. Str. 64. (Wyd. Polski Uniw. na Obczyźnie — Zeszyt 2 „Zeszytów Naukowych Wyd. Humanistycznego”, Londyn, 1966).
- LEGEŻYŃSKI (Stefan). *Kronika Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie w Zarysie*. Str. 14-24. (Odbitka z „Biuletynu Organizacyjnego” Zw. Pisarzy Polskich na Obczyźnie”, Nr 1-3, Londyn, styczeń, 1967).
- LAURAT (Lucien), HARMEL (Claude). *Les faits contre la doctrine dans l'économie soviétique*. Str. 40. (Wyd. Est & Ouest, suppl. au n° 376, cena F. 3,00).
- SLAVINSKY (Michel). *Le drame des intellectuels en U.R.S.S.* Str. 36. (Wyd. „La Fédération” Mouvement Fédéraliste Français, suppl. au „20^e Siècle”, cena F. 3).
- Consilio non imperio*. Pour le 60^e Anniversaire du Général Johann Adolf Graf von Kielmansegg. Str. 62 i 2 nlb. (Wyd. Markus Verlag G.m.b.H., Cologne, 30 décembre 1966).
- OLSZEWSKI (Ignatius). *Highlights of the Christian Millennium of Poland*. Str. 83 i 5 nlb. (Wyd. Coordinating Committee of Poland's Christianity Millennium, U.S.A., 1966).
- KOVAGO (Joseph). *Have They Died in Vain. (The Lost Concept of the Hungarian Revolution)*. Str. 8. (Varityper).

- SOPICKI (Stanisław). *Eastern Poland with a Preface by Minor H. McLain*. Str. 35 i 1 nlb. (Wyd. The Committee for Polish Eastern Provinces in U.S.A., Londyn, 1965).
- DRZEWIENIECKI (Walter M., Ph. D.). *The Polish Armed Forces in World War II Exhibit*. Str. 65-80. (Odbitka z „Niagara Frontier, Autumn, 1966, Vol. 13, No 3, Copyrighted 1967”).
- BRZEZIŃSKI (Zbigniew). *A New Reality — a New Vision*. Artykuł zamieszczony w Nrze zero pisma „Interplay” — The Magazine of European/American Developments, January 1967, New York).
- Social Science Information. Information sur les sciences sociales*. Dwumiesięcznik wydawany w językach francuskim i angielskim pod egidą Conseil International des Sciences Sociales z pomocą finansową UNESCO i l'Ecole Pratique des Hautes Etudes, Sorbonne. W nrze VI — 1 (Luty 1967) znajdują się m.in. opracowania: Zygmunta Gostkowskiego „Results of the survey on surveys in Poland” oraz Józefa Kądzelskiego i Stefana Szostkiewicza „The Center for Public Opinion and Broadcasting Research: organization, methods and prospects. (Z. Gostkowski jest członkiem Polskiej Akademii Nauk w Warszawie, zaś J. Kądzelski i S. Szostkiewicz członkami Centrum Badania Opinii Publicznej przy Polskim Radio i Telewizji w Warszawie).
- Polnische Prosa des 20. Jahrhunderts*. Cz. II. Str. 419 i 5 nlb. Opracował i przełożył Karl Dedecius. (Wyd. Carl Hanser Verlag, Monachium, 1967).
- ARSCHAK (Nikolai). *Hier Spricht Moskau, und andere Erzählungen*. Str. 216 i 4 nlb. (Wyd. Paul Zsolnay Verlag, Wien-Hamburg, 1967).
- LEWYTZKYJ (Borys). *Das Generationsproblem in der Sowjetgesellschaft*. Str. 24. (Dodatek do tygodnika „Das Parlament”, Bonn, Nr B 2/67, 11 stycznia 1967).
- DIRMANTAS (Gen. St.). *Smalensko Koridorius ir Kas Jame Ivyko Pries 450 Metu Ties Orsa*. Str. 30. (Odbitka z „Tautos Praeitis” II t. 2 kn., Rzym, 1965).
- TERTZ (Abram). *Sąd idzie w języku Gujarati*. (Wyd. Ravani Prakashan Griha, Ahmedabad, Indie, wrzesień 1966).
- DOROSZENKO (Dmytro). *Narys Istorii Ukrainy*. Tom I-II. Str. 360. (Wyd. Dniprowa Chwyla, München, 1966).
- Religia w życiu Ukraińskiego Narodu*. Zbirnyk Materialiw Naukovej Konferencji u Rokka di Papa 18-20. X. 1963. Str. 218. (Nauk. Tow. im. Szewczenka, München-Rzym-Paryż, 1966).
- DUBROWSKYJ (Wasył). *2-yy Widit' Bamtat'u GPU-NKWD*. Str. 76. (Wyd. Nasza Bat'kiwszczyna, New York, 1965).
- ŻURBA (Hałyna). *Todir Sokir*. Roman. I. Str. 336. (Wyd. Nasza Bat'kiwszczyna, New York, 1967).
- Almanach „Homini Ukrainy”*. Str. 200. (Toronto, 1967).
- Almanach OBWU. 1949-1964*. Str. 152. (Wyd. Obiednannia Buw-szych Wojakiw Ukrainciw u W. Brytaniji, London, 1966).
- BYKOWSKYJ (Łew). *Wasył Kuziw*. Str. 103. (Ukr Ewanhel. Obiednannia w Piwn. Ameryci, Winnipeg-München-Detroit, 1966).
- Nowi Poezji*. 1965, cz. 7. Str. 69. (W-wo Niujorskoj Grupy, New York, 1965).
- DE (Oleksander). *Pid czużym ne-bom*. Str. 211. (W-wo Czajka, Londyn, 1966).
- KULISZ (Wołodmyr). *Słowo pro budynok „Słowo”*. Str. 68. (Wyd. Homin Ukrainy”, Toronto, 1966).
- MANDELSZTAM (Osip). *Sobranie Soczinienii*. T. 2. Str. 632. (Inter-language Lit. Associates, New York, 1966).

Humor krajowy

Przed Domem Partii w Warszawie stoi żebrak. Do wychodzącego z Domu Partii Gomułki wyciąga rękę z prośbą o jałmużnę.

— Tu nie wolno żebrać — mówi z gniewem Gomułka — idźcie pod kościół!

— Nie mogę — odpowiada żebrak — jestem partyjny...



Pytanie: — Co się widzi stojąc tyłem do Domu Partii w Warszawie?

Odpowiedź: — Nowy świat.



W podstawowej komórce partyjnej na zebraniu, zwołanym w sprawie przedyskutowania sprawy Kościoła w Polsce, zabiera głos przewodniczący i mówi:

— Właściwie, towarzysze, o wszystkich kuriach w Polsce mówi się źle. Do niczego jest kuria krakowska, zła jest kuria wrocławska, jeszcze gorsza warszawska. Jedyna kuria o której dobrze mówią to Kurja-Skłódowska...



Z bardzo złej książki płk. Janusza Przymanowskiego pt. „Czterej pancerni i pies” (Wyd. Min. Obrony Narodowej, Warszawa, 1964), zrobiono film telewizyjny pod tym samym tytułem, który nadawano w odcinkach. Film ten bardzo widzom się podobał. Ktoś, kto tego felietonu nie widział, ale słyszał o nim wiele dobrego, pyta znajomego:

— Powiedz mi, proszę, kto to są ci czterej pancerni?

— Jak to? Nie wiesz? — odpowiada zapytany — Przecież to jasne! To są: Moczar, Strzelecki, Szyr i Szlachcic!

— A pies? — pada znowu pytanie.

— Pies?... im mordę lizał!

Zebrala Zofia HERTZ

DATA	POLITYKA
16-2-67	Specjalny wysłannik Watykanu, Msgr. Casaroli, bierze udział w konferencji biskupów polskich w Warszawie. Ma on zbadać sytuację Kościoła w Polsce, zanim Watykan określi swe stanowisko wobec rządu.
17-2-67	Gwałtowne walki w Wietnamie. Straty komunistów: 743 zabitych. Straty amerykańskie: 13 zestrzelonych helikopterów.
18-2-67	Sekretarz Episkopatu polskiego, biskup Choromański, ostrzega społeczeństwo przed wyciąganiem zbyt dalekich wniosków z wizyty praelata Casaroli. Wizyta nie oznacza, że bliskie jest zawarcie konkordatu.
19-2-67	Zachodnio-niemiecki minister Finansów F. J. Strauss składa formalny protest przeciw proponowanemu przez Stany Zjednoczone i Sowiety traktatowi o nierozpowszechnianiu broni atomowych. Wywołuje to sprzeciw socjalistów.
20-2-67	Oświadczenie min. Straussa że sytuacja ekonomiczna NRF nie pozwala na subwencjonowanie wojsk brytyjskich w Niemczech Zachodnich zaostrzyło spór między Londynem a Bonn na temat kosztów utrzymania armii Renu.
21-2-67	Min. Spraw Zagranicznych PRL, Rapacki, przybył do Londynu na rozmowy w sprawie bezpieczeństwa europejskiego.
22-2-67	W Warszawie obraduje „Komisja Redakcyjna” 19 europejskich partii komunistycznych przygotowując materiały na ogólnoeuropejską konferencję komunistyczną poświęconą sprawom bezpieczeństwa europejskiego. W obradach nie biorą udziału Rumuni.

KULTURA I NAUKA

Rząd Szwecji przeznaczył około 200 tys. dolarów na stypendia dla pisarzy i artystów.

Królewskie Towarzystwo Naukowe podpisało porozumienie z Bułgarską Akademią Nauk w sprawie wymiany naukowej. Podobne porozumienia zawarte zostały z Rosją i Rumunią.

R. Oppenheimer, twórca bomby atomowej, zmarł w Princeton na raka gardła w wieku lat 62.

Premiera amerykańskiej komedii muzycznej „Skrzypek na dachu”, w Londynie, oparta na noweli pisarza żydowskiego urodzonego w Polsce, Szolem Aleichem.

40 naukowców polskich w W. Brytanii skierowało list do redakcji „Times’a” w obronie Biblioteki Polskiej w Londynie.

Literatka Flora Bieńkowska i poetka Wisława Szymborska, wystąpiły z Partii.

Kompozytor polski K. Penderecki otrzymał zamówienie od p. Kennedy na skomponowanie utworu poświęconego pamięci tragicznie zmarłego prezydenta.

Prasa amerykańska zamieszcza pochlebne recenzje z koncertu H. Szerynga w Nowym Jorku.

Prasa bułgarska zapowiada znaczne zwiększenie publikacji literatury zachodniej. Po raz pierwszy ma się ukazać m.in. „Proces” Kafki.

RÓŻNE

Prezydent Johnson zarządził szczegółowe badania w sprawie mieszania się wywiadu CIA do organizacji studenckich.

Liczba bezrobotnych w NRF dochodzi do 700 tysięcy.

P. Anieli Steinsbergowej, znanej z procesów politycznych ostatnich lat w Polsce, odmówiono paszportu zagranicznego. P. Steinsbergowa kontynuuje wielkie tradycje obrońców politycznych polskiej adwokatury.

Sejm PRL uchwalił nową ustawę o paszportach wprowadzającą szereg udogodnień dla posiadaczy paszportów konsularnych oraz turystów wyjeżdżających z kraju.

Życie Warszawy krytykuje RWPg za ukrywanie danych statystycznych, które i tak są znane na Zachodzie.

Telewizja warszawska nadaje program poświęcony działalności wywiadu NRF a następnie działalności RWE.

Policja angielska przenosi swą kwaterę główną ze Scotland Yard'u na pobliską Victoria Street.

DATA	POLITYKA
23-2-67	Wybory parlamentarne w Indiach przyniosły znaczne osłabienie partii Kongresu. Ministrowie spraw zagranicznych Rapacki i Brown podpisują w Londynie konwencję konsularną. Jest to pierwsza tego rodzaju konwencja, zawarta między PRL a państwem zachodnim.
24-2-67	Pod presją armii i studentów dyktator Indonezji, prezydent Sukarno, przekazał władzę generałowi Suharto.
25-2-67	Premier Chou En-lai krytykuje Czerwoną Gwardię za stosowanie zbyt ostrych metod i po raz pierwszy staje w obronie jednego z głównych „wrogów” rewolucji, b. burmistrza Pekinu Peng Chen.
26-2-67	Obrady RWPG w Moskwie z udziałem wice-premierów krajów członkowskich zakończyły się przyjęciem propozycji „nawiązania kontaktów z innymi międzynarodowymi organizacjami ekonomicznymi”. Dotychczas rządy komunistyczne nie uznawały istnienia Wspólnego Rynku czy „Efty”.
27-2-67	Przywódca węgierskiej partii komunistycznej, Kadar, zapowiada, że Węgry tylko wtedy nawiążą stosunki dyplomatyczne z Niemcami, gdy NRF uzna NRD i granicę na Odrze i Nysie.
28-2-67	W. Brytania ostrzega Niemcy Zachodnie, że wycofa swe wojska z NRF, jeśli koszty ich utrzymania nie zostaną pokryte.

KULTURA I NAUKA

Włoski wydawca, Mondadori, wydał w językach rosyjskim i włoskim wspomnienia Jewgienii Siem. Ginsburg pt. „Krutoj marszrut, chronika wremien kulta licznosti”. Ten wstrząsający dokument jest obecnie tłumaczony na wszystkie języki. J. Ginsburg, mieszkająca obecnie w Moskwie, spędziła 18 lat w obozach na Kółymie. Jest ona matką znanego sowieckiego pisarza Aksjonowa. Wśród polonistów znajdujemy w tej książce pierwszą wiadomość o śmierci Brunona Jasińskiego w obozie przejściowym pod Władywostokiem w pierwszych dniach lipca 1939 r. Jasiński zmarł wskutek głodowej dystrofii.

Brytyjski cenzor filmowy nakazał wycięcie 400 słów i 30 scen z filmu opartego na powieści J. Joyce „Ulysses”. Reżyser filmu zamierza wydrukować broszury podające wycięte słowa i fotografie ocenizowanych scen, które będą rozdawane widzom.

Ogólny nakład gazet w Polsce dochodzi do 7 i pół milionów dziennie.

Roman Brandstaetter, znany pisarz i dramaturg, obchodził w Polsce 40-lecie pracy pisarskiej.

Piosenkarka polska, Anna German, zdobywa popularność we Włoszech, gdzie zaproszono ją na ponad 40 występów.

Polski PEN-Klub przyznał nagrodę tłumaczy H. C. Stevens'owi, tłumaczowi powieści polskich na język angielski.

RÓŻNE

Małżeństwa chińskie nie powinny opierać się na „burżuazyjnym uczuciu miłości” lecz na „wzajemnej krytyce ideologicznej” — stwierdza prasa chińska.

Prokurator w Nowym Orleanie, Garrison, oświadcza, że zamach na prez. Kennedy'ego zorganizowany był przez spisek.

29-letni Andrzej Żabiński zostaje prze wodniczącym ZMS na miejsce 42-letniego S. Hasiaka.

W Indiach zmarł ostatni Nizam Hyderabadu, uchodzący niegdyś za najbogatszego człowieka świata.

W Krakowie zmarł pisarz i działacz społeczny Jan Wiktor.

Władze PRL utworzyły nową agencję Interpress, której działalność skierowana jest głównie na emigrację polską.

DATA	POLITYKA
1-3-67	PRL i Czechosłowacja wznowiają Traktat Przyjaźni zawarty na 20 lat w 1947 r. Cyrankiewicz mówi o konieczności zacieśnienia związków między Polską, Czechosłowacją i Niemcami Wschodnimi.
2-3-67	Kancelerz NRF, Kiesinger, wypowiedział się za dokonaniem przeglądu całokształtu stosunków amerykańsko-niemieckich. Kancelerz złożył to oświadczenie po skrytykowaniu Stanów Zjednoczonych za zajmowanie się tylko swymi problemami, bez uwzględniania interesów sojuszników.
3-3-67	Prezydent Johnson oświadczył, że Sowiety zgodziły się na rozmowy w sprawie obustronnej redukcji pocisków kierowanych. Sen. R. Kennedy ogłosił swój plan pokoju w Wietnamie. Przewiduje on zaprzestanie bombardowań Północy i zastąpienie wojsk amerykańskich oddziałami ONZ-tu.
4-3-67	Premier Wilson krytykuje posłów labourzystowskich z „tylnych ław” za brak dyscypliny partyjnej i grozi rozpisanem nowych wyborów i cofnięciem poparcia partii dla „rebeliantów”.
5-3-67	<i>Prawda</i> zamieszcza artykuł stwierdzający, że masy potrzebują „wodza i zjednoczonej, silnej partii”.
6-3-67	Pierwsze rezultaty francuskich wyborów parlamentarnych wskazują na sukces prezydenta de Gaulle’a. Wice-prezydent Humphrey oświadcza, że „Żelazna Kurtyna” może być zastąpiona „otwartymi drzwiami”.
7-3-67	Socjaliści i komuniści francuscy zawarli porozumienie dotyczące współdziałania w drugiej fazie francuskich wyborów parlamentarnych.

KULTURA I NAUKA

Wystawa malarstwa angielskiego z XVIII i XIX wieku w Muzeum Narodowym w Warszawie.

Uczony sowiecki światowej sławy, Piotr Kapica, wypowiedział się — na łamach pisma *Junost'* — za rozpowszechnianiem swobodnych dyskusji.

W Lublinie dokonano odkryć archeologicznych, które wskazują, że istniała tam osada 1300 lat temu.

Nowy Mir ogłosił w nrze 1 (1967) fragment autobiograficzny Borysa Pasternaka pt. „Ludzie i Sytuacje”. Ukazały się również nowe publikacje wierszy Pasternaka.

J. J. Lipski był aresztowany i przetrzymany przez 33 godziny. Lipski był też aresztowany w związku z „apelem 34-ch”. Jak i poprzednio UB zabrało mu przy okazji książki i rękopisy.

We Wiedniu ukazała się książka znanego pisarza słowackiego, Ladislava Mnacko, skonfiskowana w Czechosłowacji. Jest to, bezlitosna satyra na elity komunistyczne.

Dwaj redaktorzy pisma *Nowyj Mir*, Domientiew i Zaks zostają zwolnieni ze stanowisk za opublikowanie wspomnień Konstantina Simonowa krytykujących Stalina.

RÓŻNE

Zmarł Henry R. Luce, właściciel największego koncernu wydawniczego w Ameryce *Life and Time Inc.*

Władze PRL odmówiły wizy b. wiceprezydentowi Stanów Zjednoczonych, Nixonowi, który wybiera się w podróż po krajach Europy.

Telewizja norweska nadała 20-minutowy program przedstawiający dorobek Polski na Ziemiach Zachodnich.

Sąd w Hamburgu odrzucił roszczenia Anny Anderson, że jest ona Wielką Księżną Anastazją.

Papież Paweł Szósty mianował biskupa Rubina Sekretarzem Generalnym Synodu Biskupów.

Prokurator w Nowym Orleanie aresztował i oskarżył o udział w spisku na życie prez. Kennedy'ego 54-letniego przemysłowca Clay Shaw.

Chiny komunistyczne starają się zrekrutować inżynierów i techników zachodnio-niemieckich, zwolnionych z pracy przez fabryki samolotów.

DATA	POLITYKA
8-3-67	Komisja Bezpieczeństwa Senatu amerykańskiego zażądała utrzymania wojsk amerykańskich w Europie na obecnym poziomie, ostrzegając, że redukcja sił zbrojnych wpłynęłaby demoralizująco na sojuszników Ameryki.
9-3-67	Przewodniczący prezydium Najwyższego Sowietu, Podgorny, oświadczył, że Pekin i Hanoi nie mogą uzgodnić wspólnego stanowiska w sprawie proponowanych przez Wietnam rozmów pokojowych.
10-3-67	Rozłam w kierownictwie skrajnie prawicowej partii zachodnioniemieckiej NDP.
11-3-67	W Waszyngtonie ogłoszono oficjalnie, że lotnictwo amerykańskie dokonuje bombardowań Północnego Wietnamu z baz położonych na terytorium Syjamu.
12-3-67	Wybory parlamentarne we Francji przynoszą w drugiej rundzie tylko nieznaczne zwycięstwo gaullistom. Ministrowie Spraw Zagr. i Obrony tracą mandaty. Komuniści znacznie wzmacniają swą pozycję.
13-3-67	Indira Gandhi zostaje ponownie wybrana premierem Indii i zapowiada utworzenie nowego rządu z udziałem przedstawicieli młodszego pokolenia.
14-3-67	Przywódca komunistów wschodnioniemieckich, Ulbricht, przybył do Warszawy, by podpisać Traktat Przyjaźni i Wzajemnej Pomocy.
15-3-67	Premier Kuby, Fidel Castro, wystąpił z ostrą krytyką Sowietów za udzielanie pomocy krajom Ameryki Łacińskiej, które używają jej do zwalczania „komunistycznego ruchu rewolucyjnego”.

KULTURA I NAUKA

Siniawski i Daniel zostali przeniesieni do innego obozu o równie surowym reżymie, mogą jednak otrzymać paczki żywnościowe od rodzin.

Prasa brytyjska zapowiada wystawienie w Londynie, w poniedziałek Wielkanocny, sztuki Mikołaja z Wilkowiecka „Historia Chwalebnego Zmartwychwstania”.

RÓŻNE

W Budapeszcie zmarł Zoltan Kodaly jeden z najwybitniejszych kompozytorów węgierskich.

Zachodnioniemiecka firma Krupp ma otrzymać pożyczkę rządową pod warunkiem przekształcenia się w spółkę akcyjną.

Sowiecki Raznoeksport zakupuje w Anglii suknie damskie za sumę 2 milionów funtów .

Córka Stalina Swietlana odmawia powrotu do Sowietów i otrzymuje prawo tymczasowego pobytu w Szwajcarii.

Egzekutywa Zjednoczenia Narodowego w Londynie ukonstytuowała się następująco: K. Sabbath — przewodniczący; pp. T. Drzewicki, K. Ostrowski, J. Poniatowski, J. Starzewski, J. Zieliński — członkowie.

Uniwersytet Warszawski

Jak wiadomo wszystkie wyższe uczelnie w Polsce posiadają własne organy wymiaru sprawiedliwości: są to tzw. komisje dyscyplinarne. Był to szczytek tradycji autonomii uniwersyteckiej z okresu przedwojennego. Utrzymywały się one zapewne dlatego, że rozpatrywały na ogół jedynie sprawy kwalifikujące się jako lżejsze czy cięższe ekscesy chuligańskie. Niezależnie od rodzaju przestępstwa istniała tylko jedna norma — złamanie przysięgi studenckiej, składanej przy immatrykulacji przez dopuszczenie się czynu uwłaczającego godności studenta. Komisje składały się z przewodniczącego, rzecznika oskarżenia i ławników. Te wszystkie funkcje są wybieralne i pełnić je mogą jedynie pracownicy naukowci danej uczelni. Obwinionemu przysługiwał obrońca z wyboru lub z urzędu (również pracownik naukowy). Obrady komisji toczyły się przy drzwiach otwartych — jedynie w wypadkach wyjątkowych rozpatrywany był wniosek o przewód zamknięty. Procedura śledcza należała wyłącznie do członków komisji i proces mógł się opierać wyłącznie o materiały zgromadzone przez komisję. Obrady były jawne, czego symbolem były tablice ogłoszeń, na których podawano terminy i bliższe szczegóły sprawy. Komisje odznaczały się przeważnie dużym liberalizmem i nikłym stopniem biurokratyzowania.

W ostatniej dekadzie 1966 r. wprowadzono ustawę radykalnie zmieniającą regulamin komisji. Rozprawy odąd są prowadzone przy drzwiach zamkniętych; oskarżony nie ma prawa do obrońcy, Komisja może odrzucać świadków obwinionego. Wreszcie, rektor ma prawo zawieszania studenta w prawach uniwersyteckich na okres 3 miesięcy bez podania motywów.

Te zmiany były spowodowane zebraniem dyskusyjnym zorganizowanym przy Wydz. Historii U.W. pod auspicjami ZMS, które odbyło się dn. 21. X. 1966. Było ono poświęcone 10-ej rocznicy października. Odczyty na zebraniu wygłosili prof. L. Kołakowski i dr K. Pomian. W części dyskusyjnej studenci zgłosili rezolucje i na skutek tego zebranie zostało rozwiązane. 7 osób, które solidaryzowały się z prelegentami i zgłosiły te rezolucje, zostało z miejsca zawieszonych w prawach studenckich. Kołakowski i Pomian zostali usunięci z PZPR. Sprawa ta miała szeroki rozgłos w polskim środowisku intelektualnym i reperkusje jej trwają dotychczas. Władze U.W. zmobilizowały wszystkie możliwe środki i przystąpiły do likwidacji problemu. Jednym z pierwszych kroków było wprowadzenie nowego regulaminu Komisji Dyscyplinarnych.

Wśród zawieszonych studentów znalazł się Adam Michnik, student histo-

rii na U.W. Po upływie trzech miesięcy przedłożono mu 180 stronicowy akt oskarżenia. Główne punkty oskarżenia sprowadzają się do:

— A. Michnik zhańbił dobre imię studenta, ponieważ w dn. 21. X. 66. zabrał głos na zebraniu dyskusyjnym przy czym jego zachowanie było niewłaściwe;

— A. Michnik zhańbił dobre imię studenta, ponieważ w dn. 3. XI. 66. wziął udział w dyskusji, zorganizowanej przez uniwersytecką organizację ZMS w obecności zaproszonego przez władze prelegenta p. Rakowskiego, redaktora „Polityki”. Nietakt popełniony przez Michnika przez zabranie głosu rzuca cień na cały uniwersytet.

— A. Michnik zhańbił dobre imię studenta, ponieważ w rozmowie z jednym z zasłużonych uniwersyteckich funkcjonariuszy PZPR usiłował go zastraszyć.

— A. Michnik zhańbił dobre imię studenta ponieważ napisał list do Dziekana Wydziału Historii, w którym domagał się wyjaśnienia powodów zawieszenia i prosił o przyspieszenie załatwiania jego sprawy.

Jak wygląda rzeczywistość?

Punkt pierwszy oskarżenia został wniesiony na porządek obrad anonimowo. Został zapewne sformułowany przez władze uniwersyteckie, ale inicjatora można się domysleć. Mianowicie przedstawiono komisji taśmę magnetofonową z nagraną dyskusją. Taśma ta została udostępniona przez Min. Spraw Wewnętrznych. W nagranych wystąpieniach Michnika nie znaleziono jednak nic zdrożnego. Znaleźli się wtedy z miejsca nieliczni zresztą, świadkowie, którzy twierdzili, że nawet jeśli Michnik „nic takiego” nie mówił, to jego zachowanie było najbardziej podejrzane. Na rozprawę natomiast nadesłano opinie, podpisane przez 169 uczestników zebrania, które stwierdzały, że zachowanie Michnika nie kolidowało z przyjętymi normami a jego wypowiedzi nosiły charakter merytoryczny.

Podobne opinie nadesłał i L. Kołakowski i K. Pomian. Zostali oni jednak skreśleni przez Komisję z listy świadków.

Punkt drugi był wniesiony osobiście przez prorektora U.W., prof. Rybickiego. Oświadczył on, że na skutek zachowania się Michnika był zmuszony, jako organizator zebrania, przeproszać w imieniu Uniwersytetu red. Rakowskiego. Rakowski jednak przesłał oświadczenie, że osobiście nie ma nic do zarzucenia. Przesłuchiwany w pierwszym dniu obrad Komisji jako świadek stwierdził, że nie zamierza zeznawać na żadną okoliczność, gdyż sam zwrot budzi jego głębokie zastrzeżenia. Podtrzymuje złożoną uprzednią opinię. Na stwierdzenie, że Michnik podobno obraził w swych wystąpieniach zaprzyjaźnione z PRL mocarstwo p. Rakowski stwierdził, że w takim razie przeprosiny p. Rybickiego powinny być skierowane nie pod jego adresem. Natomiast wyraził zdziwienie, że zebranie, na które został zaproszony, odbyło się przy drzwiach zamkniętych. Może więc z tego powodu p. Rybicki chciał go przeprosić.

Trzeba tu dodać, że zebranie z Rakowskim odbyło się parę dni po zebraniu z Kołakowskim i miało być dowodem, że na U.W. atmosfera jest zdrowa, że studenci się uczą a ponadto są „pro”. Z tego powodu prawo wstępu miały jedynie osoby mające imienne zaproszenie a selekcję przeprowadzało ZU, ZMS i KU PZPR. Rezultant był taki, że gdy przybył Rakowski sala świeciła pustkami, a przed drzwiami tłoczyły się setki studentów. Ich oblicze ideowe pozostawiało widocznie dużo życzenia więc odmówiono im wstępu. Rakowski otworzył drzwi i szerokim gestem zaprosił wszystkich do środka. Prof. Rybicki rzucił się wtedy do usuwania intruzów.

Specyficzny folklor uniwersytetu oddają jednak najlepiej ostatnie punkty oskarżenia.

Znany i zasłużony działacz partyjny, p. Bonawetura Chojnacki, od

wielu lat pracuje nad pracą magisterską na Wydziale Filozofii lecz nadmiar obowiązków organizacyjnych stale uniemożliwia mu dobrnięcie do zwycięskiego końca. Będąc opiekunem ZMS z ramienia PZPR przewodniczył kurs-konferencji aktywu ZMS, na której omówił bieżące wypadki. Aprobował usunięcie Kołakowskiego z partii, wyraził zdziwienie, że reorganizacja Wydziału Filozofii wywołuje poruszenie, stwierdził że o Kuroniu i Modzelewskim nie warto mówić od czasu gdy „celem wyrobienia sobie życiorysu” siedzą w więzieniu, oraz zaapelował do zebranych o wykazanie należytej postawy wobec niebezpieczeństwa. Na U.W. bowiem działa szajka wywrotowa, mająca kryptonim „komandosi”. Są zakonspirowaną, nielegalną grupą. Działają prężnie. Z przekonani są antypaństwowi, z powiązań — prozachodni. Niestety są popularni i ich wpływy rosną, gdyż posługują się frazeologią komunistyczną i twierdzą że walczą o demokrację. Grupa ta jest grupą Kuronia i Modzelewskiego a ich obecnym przywódcą jest Michnik. Michnik na kurskonferencji nie był. Rozmówił się potem krótko z Chojnackim. Chojnacki proszony o wyjaśnienia — swoją opinię podtrzymał. Michnik stwierdził, że postępowanie Chojnackiego nadaje do wszczęcia sprawy sądowej. Chojnacki określił to jako szantaż i wystąpił do Komisji Dyscyplinarnej skargę, motywując, że jest to próba zastraszenia pracownika naukowego U.W. (Notabene od tego czasu jest powszechnie nazywany BonaGenturą Chojnackim).

Ostatni punkt jak na stosunki warszawskie jest prozaiczny. Michnik przedstawił jednemu z pracowników naukowych Wydz. Historii brulion swego listu do dziekana, aby się naradzić nad jego treścią. Brulion napisany na kartce wyrwanej z zeszytu, znikł tajemniczo z biurka owego pracownika naukowego, do adresata nie dotarł a wyładował na biurku Komisji Dyscyplinarnej.

W tej „grze pozorów” musiał ktoś wreszcie zrobić aluzję do meritum sprawy. W liście protestacyjnym, skierowanym do Rektora U.W., czytamy co następuje:

„Nizej podpisani studenci U.W. zwracają się do Jego Magnificencji Rektora, profesora doktora Stanisława Turskiego, z prośbą o umorzenie postępowania dyscyplinarnego, prowadzonego przeciw studentowi Adamowi Michnikowi, wobec którego sformułowane są zarzuty w związku z udziałem w zebraniach dyskusyjnych. Sądzymy, że jakakolwiek forma represji za udział w dyskusji przynosi dużo większe szkody zarówno wychowawcze jak i polityczne, niż najbardziej nawet ostre i krytyczne wystąpienia studentów”.

Pod protestem figuruje 1036 podpisów studentów U.W.

W ślad za nim wpłynął do rektora analogicznej treści protest podpisany przez ok. 150 pracowników naukowych U.W. W ich liczbie znalazło się wielu profesorów i docentów.

Zasięg tej akcji protestacyjnej jest zjawiskiem bez precedensu w historii PRL.

Władze zareagowały natychmiast. Zaczęto przesłuchiwać członków ZMS w ZU ZMS — szereg ich z miejsca usunięto z organizacji. Min. Spraw Wewn. też zdwoiło swoje wysiłki: studenci są permanentnie zywani na przesłuchiwanie do pałacu Mostowskich. Powstają sytuacje paradoksalne. Tak np. grupa studentów po powrocie z wycieczki w okresie ferii świątecznych została wezwana do Min. Spraw Wewn., gdzie w czasie przesłuchania pokazano im zdjęcia grupowe, dopytując się przeciw komu spiskowali na wycieczce.

Jeden ze studentów, który odmówił zeznań, został spoliczkowany przez funkcjonariusza Min. Spraw Wewn.

W tej sytuacji prorektor Rybicki mógł sobie pozwolić na zerwanie obrad Komisji dyscyplinarnej, motywując to koniecznością dołączenia do akt materiałów przygotowywanych DOPIERO przez Min. Spraw Wewn. Prace komisji, po 9-godzinny dniu obrad, w czasie których wysłuchano wstępnego słowa oskarżonego i przesłuchano świadków, zostały odroczone. O wznowieniu obrad będzie decydowało Min. Spraw Wewn.

Ta ścisła współpraca władz U.W. z Min. Spraw Wewn. nie jest nowością. Już jesienią 1965 r., gdy 8 studentów było oskarżonych o sympatyzowanie z Kuroniem i Modzelewskim, Min. Spraw Wewn., łamiąc statut Komisji, dostarczyło w przededniu zakończenia śledztwa materiały, w swoim przekonaniu obciążające, i zmusiło Komisję nie tylko do włączenia ich do akt sprawy, ale delegowało swego funkcjonariusza jako głównego świadka.

Nacisk był tak brutalny, że spowodował gwałtowną reakcję w obronie resztek, autonomii uniwersyteckiej i brak wyroku relegacji był wtedy przyjęty jako zwycięstwo środowiska.

Ale to było półtora roku temu, proces toczył się przy drzwiach otwartych, obecność na sali przedstawicieli intelektualnej lewicy w osobach: prof. prof. Kotarbińskich, prof. Brusa, Baczko, Mączaka, Waluka i in., obrona w osobach prof. Ossowskiej, prof. Kuli, doc. Zakrzewskiej, doc. Bauman, nieśmiała jeszcze władze U.W.

Dziś jest inaczej. Czekając na epilog sprawy trzeba już teraz oddać pod sąd opinii publicznej takich ludzi jak prorektor Rybickiego, tow. Chojnackiego i ich anonimowych współpracowników, jak również tych, którzy milczą.

Cichej refleksji polecamy także postać rektora U.W. — Jego Magnificencji prof. dra Stanisława Turskiego.

U.W. stało się dziś problemem samym w sobie i rosnącym w znaczenie ośrodkiem nowej myśli politycznej. A paradoksem PRL jest to, że właśnie sądownictwo dostarcza jedynych i coraz częstszych dowodów na istnienie podskórnego życia politycznego w skostniałym systemie.

FRAGMENT PRZEMÓWIENIA L. KOŁAKOWSKIEGO NA UNIwersYTECIE WARSZAWSKIM

21. X. 1966

... Jednakże w tej chwili zdajemy sobie bodaj sprawę z tego, że gospodarka nie jest dziedziną wyłączoną, którą dałoby się w rzeczywistości naprawić przy zachowaniu niezmienionego systemu sprawowania władzy, systemu, w którym panuje nieodpowiedzialność rządzących przed opinią społeczną; system ten sprawia, że ludzie których jest przecież wielu, bardzo wielu, w aparacie państwowym, ludzie samodzielni i z inicjatywą, z poczuciem odpowiedzialności, znajdują się bardzo często pod władzą ludzi niekompetentnych, którym nade wszystko zależy na tym, żeby nie zmieniać tego co jest, żeby nie powodować jakichkolwiek przeobrażeń, wśród których owa niekompetencja mogłaby się ujawnić. Okres poprzedzający bezpośrednio wydarzenia październikowe był w Polsce powojennej okresem najwyższej, jaka istniała, swobody krytyki, swobody, która później — wskutek systemu represji — znikła (zamykanie wielu pism, klubów i zrzeszeń). System informacji jest obecnie również

gorszy niż w ostatnim okresie przed październikiem. On, niestety, sprzyja popularności obcych radiostacji i gazet. Znajdujemy się w zadziwiającej sytuacji, w której wiadomości, które każdy może usłyszeć po przekręceniu gałki radia, w Polsce drukowane są w tajnych biuletynach z numerowanymi egzemplarzami. Pod tym względem nie obserwujemy zmian na lepsze. Samo słowo „wolność” stało się podejrzane. Prawda, w okresie stalinowskim słowo „wolność” było powszechnie nadużywane i oznaczało tyle co brak wolności. W związku z tym może ta sytuacja jest prostsza. W ustawie o szkołach wyższych z okresu stalinowskiego jest mowa o wolności nauki. W ustawie wydanej po 1956 r. nie ma już tego zwrotu.

Panuje dalej doktryna, która wydaje mi się absurdałna, i która została zresztą porzucona przez większość partii komunistycznych w krajach zachodnioeuropejskich, doktryna, że socjalizm jest z natury samej brakiem swobód politycznych, brakiem możliwości krytyki, brakiem udziału społeczeństwa w rządzeniu, a wobec tego każde żądanie jakichkolwiek swobód politycznych jest automatycznie żądaniem powrotu do kapitalizmu. Doktryna, która zakłada, że całkowita monopolizacja decyzji politycznych, brak odpowiedzialności przed społeczeństwem, brak możliwości wyrażania się opinii publicznej, brak informacji i strach przed konfrontacją — że to należy do natury ustroju socjalistycznego tak samo, jak należy do niego fakt, że banki są własnością państwową, a nie prywatną. Jest prawdą, że nie żyjemy w tym strachu przed represjami, jaki był charakterystyczny dla tamtych czasów, że nie ma tego poczucia potencjalnego zagrożenia w każdej okoliczności. Jest jednak również prawdą, że nie ma żadnych urządzeń instytucjonalnych, które by uniemożliwiały powrót do tamtego systemu.

Organizacja życia politycznego (można to raczej nazwać brakiem życia politycznego) jest z tego punktu widzenia niedobra.

Leszek KOŁAKOWSKI

TEKST LISTU PROTESTACYJNEGO

W nrze 1/231-2/232 „Kultury” informowaliśmy o proteście pisarzy, w związku z usunięciem Leszka Kołakowskiego z partii. Obecnie podajemy pełny tekst protestu. Jak dotąd, szesnastu pisarzy bądź zostało usuniętych z partii, bądź sami z niej wystąpili.

My, niżej podpisani, członkowie Podstawowej Organizacji Partyjnej przy Związku Literatów Polskich chcemy dać wyraz naszemu niepokojowi z powodu usunięcia z Partii tow. Leszka Kołakowskiego. Tow. Leszek Kołakowski, znakomity filozof marksistowski i pisarz, stał się jednym z najgłębszych i najbardziej utalentowanych, w skali polskiej i międzynarodowej, wyrazieli poglądów identyfikujących socjalizm z pełną wolnością twórczą, postulujących przeto taki układ stosunków, w którym publiczna, choćby i najostrzejsza, krytyka filozoficzna i społeczna różnych zjawisk rzeczywistości egzystowałaby na zasadzie dnia codziennego, nie zaś aktu wyjątkowego, skazującego krytyka na represje natury bądź partyjnej bądź administracyjnej. Taką wizję socjalizmu podziela z Kołakowskim wielu intelektualistów komunistycznych zarówno w Polsce jak i w innych krajach socjalistycznych i kapitalistycznych. Dlatego też wykluczenie tow. Kołakowskiego z Partii

wykracza daleko poza zasięg sprawy indywidualnej i staje się poważnym i nader niepokojącym wydarzeniem o charakterze politycznym. Może się wydać smutnym symbolem, iż wykluczenie to nastąpiło w 10-tą rocznicę polskiego Października, który niósł nadzieję na swobodny i autentyczny rozwój demokracji i kultury socjalistycznej. Obawiamy się, by nie przyczyniło się to do pogłębienia kryzysu ideowego w życiu partyjnym licznych środowisk intelektualnych i artystycznych Kraju. Z tego też względu, powodowani szczerą troską o dalszy rozwój sytuacji, gorąco apelujemy do Kierownictwa Partii o zrewidowanie pochopnej decyzji Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej i o przywrócenie praw członkowskich tow. Leszkowi Kołakowskiemu. Pozostawienie go poza Partią przyniosłoby jej uszczerbek zbyt wielki, by można nad nim przejść do porządku dziennego.

Listy do Redakcji

New York, 5 lutego 1967.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W lipcu r.z. „Wiadomości” londyńskie, w artykule „Metody i praktyki Bezpieki w pierwszych latach dwudziestolecia”, podały niedokładne wiadomości o śmierci mego brata śp. Doktora Grzybowskiego, byłego Profesora chorób skórnych i wenerycznych Uniwersytetu Józefa Piłsudskiego w Warszawie.

Prawdziwe imię Profesora Dra Grzybowskiego było Marian, a nie Stefan, jak mylnie podano. Prof. M. Grzybowski aresztowany został 1 grudnia 1949 r. w swoim mieszkaniu przez funkcjonariusza w czapce studenckiej, podającego się za studenta. Zmarł w czasie śledztwa 11 grudnia, a nie w jesieni tego roku.

W czasie mojego pobytu w Polsce w 1958-1959 roku zebrałem informacje od osób wiarogodnych, w ten czy inny sposób związanych z okolicznościami aresztowania i śmierci mego brata. Otrzymałem następujące wiadomości: Profesor M. Grzybowski aresztowany był na podstawie, między innymi, doniesień Dra S. Jabłońskiej (Apfelbaum), która, będąc asystentką mego brata, pracowała jednocześnie dla Bezpieki. W czasie śledztwa, podczas indagacji, brat mój, nie mogąc widocznie nerwowo wytrzymać badań, zmierzył się krzesłem na funkcjonariusza departamentu śledczego. Ten rzucił się na brata i w rezultacie walki własnoręcznie go zadusił. Zmarłego zawinięto w dywan i przeniesiono do celi w podziemiu, rozpuszczając jednocześnie pogłoskę, że Prof. Grzybowski popełnił samobójstwo. Szereg lekarzy, którym polecono zrobić sekcję i wydać oficjalne świadectwo o śmierci, odmówiło tego, twierdząc, że nie będzie im wolno napisać prawdy w protokole. Niedługo potem Dr S. Jabłońska mianowana została na katedrę, którą tak długo i chlubnie zajmował Prof. Grzybowski. Po wypadkach 1956 roku brata mego „rehabilitowano”.

Drugi mój brat, śp. Dr Józef Grzybowski, Profesor chirurgii operacyjnej na tym samym Uniwersytecie, został zamordowany przez Niemców w czasie Powstania 1944 r., jako jeden z chirurgów Armii Podziemnej.

Aby uczcić pamięć mych braci, w testamencie swym ustanowiłem „The Grzybowski Foundation” — Stypendium Rodziny Grzybowskich. Fundacja ta jest zapisana dla Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Warszawskiego (obecnie Akademia Medyczna); będzie ona miała na celu pomoc w studiach dla studentów medycyny lub asystentów Wydziału Lekarskiego tego Uniwersytetu. Fundacja ta, dla różnych powodów, wejdzie w życie w szereg lat po śmierci mojej i mojej żony. Gdy byłem w Warszawie, Dr Jabłońska, wiedząc już o tym, ośmieliła się zaproponować abym nie czekając przekazał pieniądze Akademii Medycznej. Tego oczywiście nie zrobiłem, w braku jakiegokolwiek zaufania.

Łączę Panu wyrazy wysokiego szacunku,

Inż. Jan GRZybowski HOLM

New York, w lutym 1967.

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z listem p. Artura Tarnowskiego, poddającym krytyce moją relację o ucieczce Siczynskiego, śpieszę przypomnieć, że relacja ta stanowi zaledwie fragment większej całości, w ramach której omawiam wszystkie te aspekty, których brak wytyka mi autor listu do Redakcji, oraz wiele innych, o których w liście tym nie wspomniał.

Wkrótce już ukaże się w druku obszerna opowieść o zamachu z próbą podryśowania psychologicznego i politycznego tła tej zbrodni, w oparciu — jak łatwo będzie stwierdzić — nie tylko o wspomnienia sprawy.

Całość sprawy była przedmiotem odczytu, jaki wygłosiłem ubiegłego grudnia pod auspicjami Instytutu Piłsudskiego w Nowym Yorku.

Wyjaśnić muszę mimochodem, że pytanie o to, czemu Siczynski tyle razy strzelał, postawił mu jego dozorca więzienny, Pyłypczuk, o którym opowiadam.

Nie było tu z pewnością miejsca na rozważanie dlaczego Siczynski to zrobił, skoro na innym miejscu motywy i okoliczności zbrodni oświetlone być mają możliwie wyczerpująco.

Nie wiem, niestety, kiedy uda mi się przedstawić zainteresowanym czytelnikom całość pracy badawczej, jakiej poświęciłem w ostatnich latach sporo czasu, zebrawszy materiały pozwalające na zobaczenie tej smutnej sprawy na historycznym tle epoki, jako jeden z wielu dramatów w stosunkach polsko-ukraińskich.

Łączę wyrazy poważania,

Aleksander JANTA

Londyn, 20 lutego 1967.

Do Redakcji „Kultury”.

W związku z pracą „Władysław Studnicki w świetle dokumentów hitlerowskich II wojny” („Zeszyt Historyczny” nr XI) przypomniał mi się przypadek opowiedziany mi przez Stanisława Mackiewicza.

Po swym ostatnim przybyciu do Londynu i osiedleniu się tutaj, W. Studnicki chciał być w czytelni biblioteki British Museum. Udał się tam ale nie pozwolono mu wejść do czytelni, bo nie posiadał biletu wstępu. Wyjaśniono Studnickiemu, że roczne bilety wstępu otrzymuje się po złożeniu pisemnego podania, zawierającego rekomendację petenta przez osobę o ustalonej reputacji naukowca, stwierdzającą, że petent zasługuje na wydanie mu karty wstępu. Studnicki poprosił o katalog biblioteki, znalazł w tym katalogu 17 tytułów swoich dzieł (osobiście to teraz sprawdziłem w czytelni biblioteki) i spytał, czy to nie mogłoby wystarczyć. Przepraszono Studnickiego i dano mu stałą kartę wstępu.

Stanisław LUBODZIECKI

Nowość

Tom 143 BIBLIOTEKI « KULTURY »

BONIFACY MIĄZEK

ZIEMIA OTWARTA

Poezje

Str. 40

Cena egz. 6 F (9/-; dol. 1,25)

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London. W. 4. — Telefon: CHIswick 1860



Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI,
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 387456.



Kanadyjski korespondent „Kultury”. Wacław IWANIUK.
263 Keewatin Ave., Toronto 12, Ont. Telefon: 481 93 63.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 2^e Trimestre 1967.

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Roman Krolikowski, 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg	75 cent.	R 4,20	R 8,00
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	\$ A 1,00	\$ A 5,35	\$ A 10,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14		145 szyl. a.	280 szyl. a.
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, Bruxelles 3, Nr konta pocztowego 7315-20	60,00 F. b.	300.000 F. b.	560.00 F. b.
BRAZYLIA : Seweryn A. Hartman, rua Barao de Itapetininga 221, s. 1203, Cx. Postal 30.750, Sao Paulo, tél. : 35-5584.			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F.
HOLANDIA : M. Barczyk, P. Calandlaan 50, Amsterdam; tél. : 1533311; Konto pocztowe Nr 617512.	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto 3, Ont, K. Krakowska, 2318 Hingston Ave. Montreal 28, Quebec, tél. : HU 8-5224; « ZWIAZKOWIEC », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491; W. T. Drymer, 31, Argyle Ave., Ottawa, Ont., Tél. : LE 33407.	1,50 \$ Can.	8,00 \$ Can	13,00 \$ Can.
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss. ..	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm.	6,00 Kor.	30,00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A. : J. Bienkowski, 627 Tracy St. Utica, N.Y. 13502; S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 N° Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoya Av., Hollywood 46, Cal.; M.K. Dziewanowski, 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; Adam J. Galinski, 1727 Mass. Ave. N.W., Washington, D.C. 20036; T. Konopacki, 11839 Edgewater Dr., Lakewood, O. 44107, tel. LA-1-2305 ; Christian M. Kretowicz, 4477 Wilson Ave., San Diego, Cal., 92116; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083; Polish Amer, Book Co 1136 Milwaukee Av., Chicago Ill. 60622; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia, Pa 19125; The Polish Book Importing Co, Inc., 156 Fifth Ave., New York, N.Y. 10010; R. J. Sas-Babczynski, 9530 East Rosecrans Ave, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik, 131, Gold Street, New Britain, Conn. 06053; Jan Zych, 5515 Tarnow, Detroit, Mich 48210, Tel. : 899-5165.	1,25 dol.	7,00 dol.	12,00 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W. 11.....	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27 Tél. : 75-67-241	700 L	3.600 L.	7.000 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, 78-Measil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18.228-56.

Nowości

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM 140

SERIA - "ZESZYTY HISTORYCZNE"

ZESZYT JEDENASTY

Styczeń 1967

zawiera m.in. prace:

J. Weinsteina: *Władystaw Studnicki w świetle dokumentów hitlerowskich II wojny*

St. Kota: *Wspomnienia* (Cz. I.)

M. Młotka: *Samodzielna Brygada Strzelców Karpackich* (Cz. I.)

T. Nowackiego: *Ludowe wojsko polskie*

St. Lubodzieckiego: *Wspomnienia oficera drugiej grupy*

Str. 240.

Cena 15 F (dol. 3,00; 20/-)



TOM 141

OLGA SCHERER

W CZAS MOROWY

P o w i e ś ć

Str. 208.

Cena 13,50 F (dol. 3,00; 20/-)



TOM 142

ALICJA ZAWADZKA-WETZ

REFLEKSJE PEWNEGO ŻYCIA

W s p o m n i e n i a

Str. 240.

Cena egz. 16,50 (dol. 3,50; 24/6)

Cena 5,00 F